MOCNY TEKST ZIEMKIEWICZA

Czy Jerzy Owsiak potrafi szanować przeciwników

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 5/308 28 STYCZNIA–3 LUTEGO 2019

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Hiszpańskie feministki prześladują mężczyzn

CENCKIEWICZ ZE STAŁYM FELIETONEM W „DO RZECZY"

Putin chce odebrać Białoruś Łukaszence

STEFAN W.

ŚLEDZTWO „DO RZECZY" PO ŚMIERCI PAWŁA ADAMOWICZA

Co kierowało mordercą?

TEORIE SPISKOWE – CO W NICH JEST PRAWDĄ, A CO NIE JEST

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 05 >

Nakład: 79 tys. egzemplarzy

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl d95acbd8fa

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Ile kosztuje demokracja

Dawno, dawno temu wierzyłem, że wolny rynek idei sprawia, że prawda sama wygrywa z fałszem, a rozum bierze górę nad głupotą. Istnieje przecież, mówili klasycy, coś takiego jak ludzki zdrowy rozum, mniej więcej rozłożony równo.

Dzisiaj takiej pewności nie mam. Więcej. Jestem pewien, że to, co nazywamy zachodnią demokracją liberalną, jest coraz częściej formą ukrytej oligarchii, w której to wpływowe grupy, najczęściej są to mniej lub bardziej lewicowe formacje feministyczno-tęczowo-postępowe, próbują zapanować nad wciąż oporną, niezrewoltowaną wystarczająco opinią publiczną.

Przeczytałem właśnie, że we wstępnym planie budżetu Unii przyjętym przez Parlament Europejski przewidziano blisko 2 mld euro na walkę z „brakiem praworządności" czy „zagrożeniem dla demokracji". Niebywałe! Dwa miliardy euro pójdą na wsparcie dla organizacji pozarządowych, które będą walczyć przeciw dyskryminacji, za równością i praworządnością. Ważnym celem ma być, jak mogłoby być inaczej, walka z „mową nienawiści". Oczywiście o tym, co jest, a co nie jest mową nienawiści, dyskryminacją czy praworządnością, będą decydować silniejsi, czyli unijne elity. Będzie tak jak do tej pory, tylko jeszcze bardziej. Jeśli we Francji dochodzi do masowych demonstracji, walk ulicznych i odrzucenia władzy, to jest to zwykły przejaw kultury politycznej; jeśli przeciw polskiemu rządowi protestuje kilka tysięcy osób, to dowód na działający nad Wisłą system represyjny i powód, aby walczących z reżimem wspomóc finansowo.

Parlament Europejski nie tylko jednak przeznaczył na walkę o demokrację (jak to pięknie brzmi, dokładnie jak w czasach PRL) prawie 2 mld euro, lecz także ogłosił, że Komisja Europejska ma prawo do stosowania szybkiej ścieżki przyznawania pieniędzy z tej puli w sytuacjach „poważnego i szybkiego pogorszenia się sytuacji w państwie członkowskim". Oznacza to praktyczne pogwałcenie zasady suwerenności. Gorzej. Oznacza usankcjonowanie ponadnarodowej władzy, która zyskuje prawo do bezpośredniej ingerencji w życie poszczególnych społeczeństw. Najwyraźniej Parlament Europejski nie wierzy w to, że demokracja w unijnych państwach obroni się sama, i w to, że ludzie sami decydują, jakiej jej formy chcą. Nie. Setki milionów euro będą od tej pory mogły być wykorzystywane przez różne lewackie organizacje do utrwalania politycznej poprawności i atakowania prawicowych oponentów. Używając modnego ostatnio języka, toż to korupcja polityczna na niebotyczną skalę.

Ciekawe, że jakoś nie słychać oburzenia. Ciekawe, że ci, którzy tak bardzo krytykują państwowe wsparcie, np. mediów publicznych, w tym wypadku milczą. Uznają, jakby to było normalne. Jakby rzeczą zwykłą i właściwą było przeznaczanie gigantycznych sum na ingerowanie przez niepochodzącą z wyborów Komisję w prawo poszczególnych narodów. Nie bardzo tylko rozumiem, jaka w tym wypadku ma być rola organizacji pozarządowych, które te pieniądze będą otrzymywać. Czy w ogóle można mówić o „pozarządowości", skoro pieniądze te będą przeznaczane właśnie na cele ściśle polityczne, a więc jak najbardziej „rządowe", tyle że będzie tu chodziło o „rząd" w formie Komisji?

Może zatem należałoby wprowadzić do prawa osobną kategorię „organizacji pozarządowych inaczej"? Takich, które po prostu realizują interesy Brukseli w starciu z suwerennymi rządami, są opłacanymi z zewnątrz instrumentami dyscyplinowania opornych? Trudno nie widzieć w tej decyzji Parlamentu Europejskiego zamachu na wolność i dowodu na degrengoladę pojęcia demokracji. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl d95acbd8fa

TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PORTRET PAMIĘCIOWY
Zabójca prezydenta Gdańska nie zwierzał się z politycznych poglądów, za to skarżył na niesprawiedliwy wyrok. Koledzy z celi zapamiętali go jako samotnika

20 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZATRZYMAĆ ZŁYCH

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WIELKA ORKIESTRA SZCZUCIA NA PRAWICĘ
WOŚP wyraźnie dołącza do „obywatelskiej" koalicji na rzecz odsunięcia PiS od władzy

28 ROZMOWA Z JOANNĄ LICHOCKĄ
UDERZENIE W PAŃSTWO

30 ŁUKASZ WARZECHA
CO MOŻNA POWIEDZIEĆ

32 PIOTR GOCIEK
CZY PIS MOŻE WYGRAĆ WYBORY

34 KAMILA BARANOWSKA
RAZEM, CZYLI OSOBNO

36 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
KOŚCIELNA PRZESTRZEŃ POJEDNANIA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NORWEGIA NIE CHCE POLSKIEGO KONSULA

KULTURA

44 KRYSTIAN KRATIUK
POWRÓT KRÓLA
„Król lew" był kreskówką na wskroś chrześcijańską. Jaki będzie jego remake?

46 RADOSŁAW WOJTAS
SEN O ZŁOTYM RYCERZU

48 PIOTR SEMKA
HITLER, WŁADZA, OPERA

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 TOMASZ KWAŚNICKI
WIELKA GRA
Amerykanie prawdopodobnie przegrali rozgrywkę w Syrii. Czeka nas nowy układ sił

HISTORIA

62 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ŚMIERĆ PREZYDENTA
Kim był morderca prezydenta Narutowicza i dlaczego nie zależało mu na uniknięciu kary śmierci

ŚWIAT

76 PIOTR KOŚCIŃSKI
JAK RADZI SOBIE ŁUKASZENKO
Białoruski prezydent odrzucił rosyjskiego rubla! Nie poddał się naciskom Putina

80 JACEK PRZYBYLSKI
DWUWŁADZA W PIEKLE

82 MAŁGORZATA WOŁCZYK
POLOWANIE NA MĘŻCZYZN

EKONOMIA

84 MAREK BUDZISZ
GEOPOLITYCZNA MARCHEWKA
Najgorszy scenariusz dla 2019 r. to ocieplenie i kłopoty z żywnością

86 ŁUKASZ MAJCHRZYK
PŁACZ ZE SZCZĘŚCIA I PŁAĆ

O ZDROWIU

94 KATARZYNA PINKOSZ
WYLECZYĆ SERCA POLAKÓW
Co roku 175 tys. Polaków umiera z powodu chorób serca. Lekarze mają pomysł, co zrobić, by serce nas nie zabijało

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (9), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (72), WARZECHA (79), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (96), CENCKIEWICZ (104), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (105), KATARYNA (106), ŁYSIAK (107)

eprasa.pl d95acbd8fa

PWPW

POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

ROK ZAŁOŻENIA 1919

od 100 lat razem

ZAWSZE PRZY TOBIE

www.pwpw.pl

eprasa.pl d95acbd8fa

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu w listach wracamy do sprawy sprzed tygodnia. Zachęcamy do korespondencji, przypominając nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl.

„Przezydent »Roman«" – Piotr Woyciechowski, „DRz" 4/2018

Oświadczenie Andrzeja Malinowskiego, prezydenta Pracodawców RP

Nie byłem niejawnym współpracownikiem ani pracownikiem służb PRL. Rzekome zobowiązanie do współpracy, na które powołuje się autor artykułu w „Do Rzeczy", zostało napisane w całości na maszynie do pisania. Podpis i data na uwidocznionym w gazecie dokumencie nie zostały napisane przeze mnie. Nie ma także danych osobowych, wymaganych przy tego typu oświadczeniach. To nie było zgodne z ówczesną praktyką służb. I „ekspert" powinien to wiedzieć.

Nie przechodziłem żadnych szkoleń sugerowanych w tekście. Notatki prezentowane w artykule nie zostały napisane przeze mnie. Do rzekomej współpracy miało dojść w roku 1985, ale klauzula tajności została nadana dopiero w roku 2001. Dziwić musi fakt, że oświadczenie o współpracy zostało uznane za tajne, a rzekome notatki uznano za ściśle tajne. Ciekawe, ile takich wypadków znajduje się w zasobach IPN? Warto także zwrócić uwagę na co najmniej trzykrotną zmianę numeracji kart.

Nie mam wątpliwości, że teczka została spreparowana. W swoim zawodowym życiu pełniłem wiele odpowiedzialnych funkcji, tworząc szereg dokumentów. Dostęp do nich miały zapewne służby. Zdobycie brudnopisów moich notatek urzędowych czy wzorów podpisów nie nastręczało problemów. Dzisiaj, dla znanych tylko sobie potrzeb, autor tekstu rzuca bezpodstawnym i krzywdzącym mnie pomówieniem. Ale nieświadomie stworzył mi szansę do obrony. Artykuł umożliwia mi zwrócenie się do sądu i Instytutu Pamięci Narodowej o autolustrację. O wynikach poinformuję niezwłocznie, a do tego czasu nie zamierzam więcej komentować tej sprawy.

Rozumiem, że działania Pracodawców RP i moje osobiste zaangażowanie przeszkadzają, że trzeba mnie uciszyć. Ale to się nie uda. Ja nie mam powodów do wstydu.

Warszawa, 21 stycznia 2019 r.

Odpowiedź autora tekstu „Prezydent »Roman«"

Z uwagą i pewnym rozbawieniem przeczytałem oświadczenie Andrzeja Malinowskiego – prezydenta organizacji pracodawców Pracodawcy RP, będące odpowiedzią na mój artykuł zatytułowany „Prezydent »Roman«" opublikowany w ubiegłotygodniowym numerze „Do Rzeczy", w którym opisałem udokumentowaną współpracę Andrzeja Malinowskiego z komunistycznym wywiadem wojskowym w latach 1983–1990 w charakterze niejawnego współpracownika tej służby ps. Roman.

Przede wszystkim chcę wyrazić nadzieję, że złożona publicznie obietnica poddania się autolustracji zostanie przez zainteresowanego niezwłocznie dotrzymana. Będziemy wnikliwie śledzić wykonanie tego zobowiązania. To po pierwsze.

Po drugie, Andrzej Malinowski idąc utartą w przeszłości ścieżką swoich poprzedników (np. Lecha Wałęsy), oczywiście zaprzeczył współpracy ze służbami specjalnymi PRL, zakwestionował swoje podpisy znajdujące się pod zobowiązaniem do współpracy i zachowania w tajemnicy kontaktów z wywiadem wojskowym jako podrobione oraz – co najważniejsze – sformułował zarzut znacznego kalibru: o spreparowaniu (sfabrykowaniu) teczki personalnej współpracownika ps. Roman. Chociaż są to absurdalne zarzuty, to bohater artykułu taką przyjął linię obrony i należy to przyjąć do wiadomości. Niemniej taka linia obrony zainteresowanego rodzi określone prawne konsekwencje: a mianowicie podjęcie na wniosek lub z urzędu przez prokuratora Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu śledztwa w kierunku popełnienia przez funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa państwa PRL przestępstwa polegającego na domniemanym sfabrykowaniu dokumentacji operacyjnej wywiadu wojskowego PRL. Takie postępowanie prowadzone będzie niezależnie od postępowania lustracyjnego wszczętego na podstawie wniosku Andrzeja Malinowskiego, jeżeli zainteresowany w ogóle się na taki krok zdecyduje.

Po trzecie, Andrzej Malinowski w swoim oświadczeniu próbuje świadomie wprowadzać czytelników w błąd, licząc na ich – naturalną zresztą – nieznajomość przepisów określających zasady nadawania dokumentom klauzuli tajności. Na podpisanej dobrowolnie przez Andrzeja Malinowskiego deklaracji współpracy z wywiadem wojskowym z dnia 24 czerwca 1985 r. widnieje klauzula „tajne spec. znaczenia", która to klauzula i jej oznaczenie obowiązywała w realiach PRL pod rządami Ustawy z dnia 14 grudnia 1982 r. o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej. Klauzula oznaczona „ściśle tajne" nadana na tej samej deklaracji w dniu 28 lutego 2001 r. przez oficera WSI – ppłk. Zbigniewa Grzeca – została zaś

eprasa.pl d95acbd8fa

naniesiona w ramach przepisów przejściowych nowej ustawy o ochronie informacji niejawnych, uchwalonej przez Sejm RP w dniu 22 stycznia 1999 r. (ustawa, odwołując się do tradycji II RP, wprowadziła nowe oznaczenia klauzul tajności).

Podniesiona przez Andrzeja Malinowskiego uwaga dotycząca zmiany numeracji stron na publikowanych dokumentach ma naturalne wyjaśnienia. Zmiany numeracji w archiwistyce są zjawiskiem dość częstym i naturalnym. W przypadku materiałów operacyjnych aparatu represji państwa komunistycznego podlegających przekazaniu do IPN, zmiana numeracji związana jest np. z wyłączaniem z teczek tych niepodlegających przekazaniu dokumentów do instytutu, które zostały wytworzone już przez nowe służby w ramach kontynuowania rozpracowania lub współpracy (np. WSI lub UOP). To po czwarte.

Po piąte, Andrzej Malinowski twierdzi, że opublikowana notatka informacyjna dotycząca Jana Kulczyka (jego byłego pracodawcy i współpracownika biznesowego) nie została przez niego napisana. Należy podnieść, że teczka personalna współpracownika „Romana" zawiera kilkanaście własnoręcznie sporządzonych dokumentów sygnowanych zarówno przez Andrzeja Malinowskiego, jak i współpracownika „Romana". Ponadto zachowały się z tego okresu akta paszportowe Andrzeja Malinowskiego zawierające własnoręcznie wypełnione kwestionariusze osobowe. Jest to, wedle mego przekonania, wystarczający materiał porównawczy dla biegłego powołanego w przyszłym postępowaniu lustracyjnym do przeprowadzenia tzw. ekspertyzy pismoznawczej. Podobne badanie miały miejsce w przypadku badania wiarygodności teczki pracy i personalnej TW „Bolek".

Reasumując – życzę czytelnikom szybkiej i sprawnie poprowadzonej autolustracji bohatera artykułu.

Piotr Woyciechowski

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

Andrzeja Lissa

pedagoga, samorządowca,
posła IV i V kadencji,
działacza opozycji w PRL,
wieloletniego członka „Solidarności".

Odszedł wspaniały Człowiek
Żegnam go z największym smutkiem

Rodzinie i Bliskim Zmarłego
przekazuję szczere wyrazy współczucia i słowa otuchy

Marek Kuchciński
Marszałek Sejmu

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Ewa Polak-Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress)
Współpraca: **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Przemek Świderski/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 79 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl d95acbd8fa

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Słabe nerwy ministra

Robert Mazurek zaprosił do RMF ministra kultury Piotra Glińskiego. Gdy zaczął pytać o obcięcie kwot przez resort kultury na gdańskie Europejskie Centrum Solidarności, Gliński próbował ominąć temat. Po ponawianiu pytań opuścił studio. Potem zatweetował: „Na rozmowę z red. Mazurkiem zgodziłem się tylko pod warunkiem nieporuszania tematów w jakikolwiek sposób związanych z tragiczną śmiercią prezydenta Pawła Adamowicza. Uważam, że wymaga tego okres żałoby. Wszyscy potrzebujemy więcej ciszy i refleksji, a nie młócki medialnej. Redaktor dał słowo. A następnie je złamał na antenie. To widocznie było dla mnie za wiele".

Na forach internetowych wśród komentujących sprawę dziennikarzy dominowało oburzenie lub „szydera". Ci nastawieni bardziej opozycyjnie pytali ironicznie, czy aby Gliński zbytnio nie przyzwyczaił się do rozmów bez trudnych pytań. Ci bardziej krytyczni wobec opozycji irytowali się, dlaczego nie wytłumaczył spokojnie, z jakiego powodu źle ocenia ECS.

Ja w nerwowej reakcji Piotra Glińskiego zauważyłem coś, co wiele mówi o psychicznym klinczu, w jakim obóz PiS znalazł się po gdańskiej tragedii. Z jednej strony politycy dobrej zmiany otrzymali nakaz, aby unikać krytyki Adamowicza, by nie zrazić do siebie zwykłych Polaków. Dla osób wyznających zasadę „o zmarłych dobrze albo wcale" – takich jak Gliński – zbiegło się to z ich własnym poczuciem taktu. Jednakże Platforma natychmiast zaczęła oskarżycielsko rozliczać PiS z każdej krytyki Adamowicza na zasadzie moralnego szantażu: Skoro dziś chylicie głowy nad zmarłym, dlaczego wcześniej go atakowaliście? A wszystko to działo się już po mściwym upokorzeniu przez władze Gdańska prezydenta i premiera usadzeniem ich w piątym rzędzie ławek w bazylice mariackiej. I po tym, jak mianowana komisarzem Gdańska przez rząd Aleksandra Dulkiewicz nazwała zarzuty wobec swego byłego szefa pomówieniami.

Gdyby Gliński chciał odpowiedzieć na pytanie Mazurka, musiałby opowiedzieć, jak prezydent Adamowicz, gdańska PO i Lech Wałęsa uczynili z ECS opozycyjny bastion. Miejsce, gdzie w ekspozycji stałej nie sposób znaleźć uczciwego przedstawienia racji solidarnościowych przeciwników Okrągłego Stołu i gdzie nie zająknięto się choćby słowem o sprawie TW „Bolka".

Gliński nie chciał wchodzić w takie rozważania. Zareagował nerwowo. Dał pole do ataków na siebie i zaszkodził rządowi.

Z tego, jak się zdaje, wyciągnął wniosek Andrzej Zybertowicz, który tego samego dnia wieczorem odwiedził Monikę Olejnik.

Gdy dziennikarka TVN powiedziała, że zginął „świetny prezydent Gdańska", szybko odparował: „Mam wątpliwości, czy świetny. [...] Przy »wspaniałym«, »świetnym« od 20 lat prezydencie miasta Gdańska rozkwitała mafia". I dodał: „Z Owsiaka, Wałęsy i Adamowicza próbuje się robić świeckich świętych w celu zarządzania ludzkimi emocjami".

Gliński rano nie chciał mówić takim językiem i nie sprostał sytuacji. Zybertowicz porzucił zasadę „o zmarłym dobrze lub wcale" i wyszedł z tarczą.

Kto z nich zachował się w tej sytuacji lepiej? ©℗

FOT. VATICANMEDIA-FOTO/EAST NEWS

PAPIEŻ Z MŁODYMI W PANAMIE

Ćwierć miliona młodych pielgrzymów ze 156 krajów wzięło w zeszłym tygodniu udział w ceremonii inauguracji panamskich Światowych Dni Młodzieży. Wśród wiernych było też około 4 tys. Polaków. – Wiemy, że inny świat jest możliwy, a ludzie młodzi zapraszają nas do udziału w jego budowaniu, aby marzenia nie pozostały czymś chwilowym czy ulotnym – oznajmił papież Franciszek. Wizyta w Panamie – niewielkim kraju, łączącym Amerykę Środkową z Południową – to już 26. podróż zagraniczna Franciszka. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Oczyszczająca moc hejtu

Moralne wzmożenie przeciwko „mowie nienawiści" (oczywiście tylko takiej, którą da się przypisać wrogom) w dziwny sposób przypomniało mi czasy, gdy Stefan Niesiołowski, wtedy jeszcze odgrywający w politycznym teatrze rolę katolickiego fundamentalisty, nazywał Ryszarda Kalisza i Aleksandra Kwaśniewskiego „pornogrubasami". Chodziło o to, że ówczesny prezydent, spełniając oczekiwania liberalnych salonów, zawetował i udaremnił próby prawnego zwalczania pornografii, szczególnie w Internecie.

Jak się zbok naogląda, to się właśnie rozładuje, a tak by kogoś zgwałcił w realu

Dlaczego wracam do zamierzchłych lat 90.? Bo to dokładnie te same środowiska, te same salony, które robią dziś cały ten klangor wokół „mowy nienawiści", występowały wtedy w obronie nieograniczonego czynienia zła, szczególnie w Internecie. Można się domyślać, że swoje robiły tu pieniądze ogromnie dochodowego pornolobby, ale na powierzchni zdarzeń wysuwano argumenty wolnościowe. Pornografia, niech będzie, że jest obrzydliwa (choć byli i tacy, którzy mrugając znacząco, sugerowali, że kto tak uważa, to coś z jego życiem seksualnym jest nie tak), ale to wolność, a wolności nie wolno naruszać itd.

Był jeszcze inny argument: szeroka dostępność porno to mniejsze zło, bo dzięki niej najgorsze instynkty są rozładowywane wirtualnie. Dogmatycznie i apriorycznie odrzucali lewicowi liberałowie wszelką myśl, że obcowanie z propagowanymi przez pornografię wzorcami może skłaniać do naśladownictwa. A skąd, jak się zbok naogląda, to się właśnie rozładuje, a tak by kogoś zgwałcił w realu.

Bez trudu wyobrażam sobie analogiczny argument: hejt w Internecie rozładowuje nienawiść. Kto naubliża wirtualnie na profilach i forach, ponarzeka, temu ulży – a tak wziąłby nóż i kogoś w realu zarżnął. Gdyby obrońcy „wolności słowa" chcieli być konsekwentni albo przynajmniej takich udawać… Jednak narracja o „zabijaniu słowami" jest im tak na rękę, że w tej kwestii nikt takiego wariantu nawet nie wziął pod uwagę.

Ja wiem, że kolekcjonowanie przykładów obłudy salonów i instrumentalnego traktowania przez nie wszelkich wartości i wzniosłych haseł to najprostsza praca pod słońcem i nie ma książki tak grubej, by je wszystkie pomieściła. Ale po prostu mi się przypomniało. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Zaszczuwanie służb

Mąż był grillowany żywcem […]. Urzędy skarbowe wymyślały absurdalne zarzuty, kontrolowały naszą rodzinę kilka pokoleń wstecz" – skarżyła się telewizji TVN24 Magdalena Adamowicz, żona prezydenta Gdańska zamordowanego przez bandytę, cierpiącego – jak wiele wskazuje – na psychotyczne schorzenia.

Wynurzenia żony Adamowicza wywołały sporo emocji i hejtu pod adresem prokuratury i „PiS-owskiego CBA". No bo jak tu się nie wzruszać, gdy zrozpaczona wdowa opowiada o rzekomym zaszczuwaniu? Gdzieś w tym wszystkim umknęło, że pani Adamowicz i jej mąż usłyszeli jakiś czas temu zarzuty prokuratorskie dotyczące zaniżenia podatku dochodowego.

Tragedia w Gdańsku nie wpłynęła na wyciszenie emocji w Polsce. Mamy za to kolejną odsłonę politycznej wojny, w której niedawni koledzy Adamowicza bez ceregieli wykorzystują jego śmierć. Słysząc łzawe zwierzenia pani Adamowicz, jestem przekonany, że śmierć gdańskiego włodarza zostanie cynicznie w przyszłości wykorzystana do paraliżowania działań służb tropiących nieprawidłowości urzędników w ich małych ksiąstewkach Polski lokalnej. Nie jest wszak trudno sobie wyobrazić kolejnych samorządowców, zagrożonych prokuratorskimi zarzutami, powołujących się na „casus Adamowicza" i krzyczących, że są ofiarami politycznej nienawiści.

Po samobójczej śmierci Barbary Blidy czy też wystąpieniu skorumpowanej posłanki Beaty Sawickiej z jej teatralnym „ja walczę o życie" wśród ludzi służb dało się słyszeć, że lepiej tropić wyłącznie drobnych przekręciarzy, wokół których nie da się mediom i partyjnym fighterom zrobić politycznego show.

Teraz odczucia wśród ludzi służb mogą być podobne, tylko ich skala znacznie większa. ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Czas apokalipsy

W połowie stycznia libijscy przemytnicy ludzi pobrali od 170 migrantów po 2 tys. dol., wsadzili ich do pontonów i wysłali na pewną śmierć. Te pontony toną najpóźniej po kilkunastu godzinach. Chińczycy sprzedają je po 500 dol.

Śmierć niewinnych, jak dziś w Polsce każdy wie, jest potężnym narzędziem walki politycznej

Tonących migrantów dostrzegł samolot patrolowy i dał znać Włochom. Ci wyjaśnili, że za tę strefę odpowiadają Libijczycy i do nich należy się zwrócić. Libijczycy przez wiele godzin nie odbierali telefonu. Wreszcie odebrali i poinformowali, że wysyłają jednostkę ratunkową. Ta jednak nie dotarła. Libijczycy tłumaczyli poniewczasie, że statek ratunkowy uległ awarii, w co uwierzyć trudno. Gdy na miejsce dotarły włoskie helikoptery, zdołały uratować trzech migrantów. Reszta utonęła.

Znawcy przedmiotu tłumaczą, że o tej porze roku, gdy jest zimno, a morze wzburzone, nikt z Libii nie wysyła pontonów. Stąd wniosek, że Libijczycy, skazując 117 osób na śmierć, chcieli wysłać Włochom subtelny sygnał. Półtora roku temu Włosi przekupili oba libijskie rządy i lokalnych kacyków na wybrzeżu. W efekcie ruch migrantów przez Morze Śródziemne niemal zamarł. Jednak – jak informuje „Corriere della Sera" – po pierwsze Włosi przestali się wywiązywać ze zobowiązań, a po drugie Libijczycy uznali, że najwyższy czas podbić stawkę. Stąd ostatnia hekatomba zaledwie 50 mil od libijskiego wybrzeża.

Śmierć niewinnych, jak dziś w Polsce każdy wie, jest potężnym narzędziem walki politycznej. Stąd włoska opozycja, pani kanclerz i wysoki komisarz ds. uchodźców ONZ, pośrednio lub bezpośrednio, za tragedię obwinili Italię, bo zamknęła swoje porty dla zagranicznych statków z migrantami. Hipokryzja polega na tym, że Włosi by te statki przyjmowali, gdyby choć część przybyszów moraliści ugościli u siebie.

A najnowszy argument włoskich zwolenników totalnej migracji brzmi: bez przybyszów tysiące ludzi w Italii stracą pracę. Martwią się też plantatorzy. Skąd wziąć w lecie niewolników, którzy zgodzą się pracować za 3 euro za godzinę?

„Człowiek" coraz rzadziej brzmi dumnie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Związek Bojowników z Nienawiścią

Nie ma w kontekście aktualnych wydarzeń rzeczy ważniejszej niż walka z językiem nienawiści. Jest ona jednak tak ważna, że nie można oddać jej w ręce byle kogo. Co zrozumiałe, muszą się tym zająć specjaliści. „Kłamcy i hejterzy pierwsi będą teraz walczyć z nienawiścią. Postawmy im przed twarzą lustro, to zdemaskowało niejednego bazyliszka" – zaapelował Paweł Rabiej. Kto się w tym lustrze odbije? Według prof. Wojciecha Sadurskiego będzie to – żeby nikogo w PiS nie obrażać z nazwiska – „moralny gnom".

U niektórych pojawiła się również autorefleksja. „Rachunek sumienia należy zaczynać od siebie. To zaczynam. Za mało krzyczałem, gdy państwowa machina nienawiści i kłamstwa niszczyła najlepszych Polaków. Za słabo protestowałem, gdy ich – na oczach Polski – kopano, lżono i poniewierano. Proszę o wybaczenie. Obiecuję poprawę" – wyznał na co dzień niezwykle stonowany Tomasz Lis.

Refleksji ciąg dalszy, tym razem również u dziennikarza, który został politykiem. „Dorżnięcie watahy to nie była mowa nienawiści. Tak jak trener powie w przerwie: »Chłopaki, w drugiej połowie dobijcie ich«. To była zachęta do walki w kolejnej debacie" – usprawiedliwił się Radek Sikorski. „Trzeba odróżnić epizody od systematycznej kampanii nienawiści, jaką uprawia PiS TV!" – przytomnie zauważył Leszek Balcerowicz.

Od słów trzeba jednak przejść do czynów. „Postanowiłem skierować do prokuratury wszystkie zasługujące na to komentarze/wpisy na moim blogu i w mediach społecznościowych. Jest tego trochę!" – podsumował Janusz Palikot. „Napisał to człowiek, który jest głównym dyrygentem zmiany naszej debaty w jeden wielki hejt. Pistolety, wibratory, świńskie łby, puszki po piwie na krzyżu i wiele innych..." – nie uszanował jednak tego pięknego świadectwa fotograf prezydenta, Jakub Szymczuk.

Na koniec najmocniejszy z moralnych apeli. „OSKARŻAM. Odpowiedzialny za język nienawiści w Polsce jest PiS" – otworzył wszystkim oczy Ryszard Petru. „Jaki kraj, taki Emil Zola" – skomentował niestety złośliwie Piotr Pałka. Wstyd, prawico. ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl d95acbd8fa

TANIEC BEZ GWIAZD

Telewizja Polsat jest w trakcie kompletowania uczestników kolejnej edycji tanecznego show „Taniec z gwiazdami". Tym razem na parkiecie wystąpią m.in. Daniel „Qczaj" Kuczaj, Macademian Girl, Justyna Żyła, Dominika Tajner-Wiśniewska, Jakub Kucner, Joanna Mazur i Czadoman. Na szczęście dla Polsatu ostatnio swój udział potwierdziła także Agnieszka Radwańska. Wszyscy musieli odetchnąć z ulgą. Będzie przynajmniej jedna osoba, którą ktokolwiek kojarzy!

BEZCENNE MĄDROŚCI

Łukasz Jakóbiak popularność zdobył dzięki swojemu amatorskiemu programowi „20m²". Zapraszał celebrytów na wywiady do swojej kawalerki i publikował to wszystko na YouTube. Im więcej gwiazd z pierwszych stron gazet przyjmowało zaproszenia, tym bardziej Jakóbiak sam stawał się celebrytą. Musiał więc w końcu odlecieć. I odleciał. Został bowiem coachem, czy – jak sam określa – „mówcą motywacyjnym i inspiracyjnym". Prowadzi wykłady, na których opowiada, że trzeba uwierzyć w siebie i spełniać marzenia. I – uwaga – ponoć na tym zarabia. Teraz wpadł na pomysł, jak zarabiać więcej. Zorganizował w Internecie zbiórkę, aby profesjonalnie nagrać swój wykład motywacyjny. Potrzebuje na to 15 tys. zł. – Wiem, że nie wszyscy mają możliwość dojechania tam, gdzie akurat jest wykład – tłumaczy. I dodaje, że chce, by wszyscy „poczuli energię moją, publiczności". Na zachętę dla wpłacających zamieszcza próbki swoich możliwości motywacyjnych. „Uczucie nieszczęścia jest wytworem umysłu". „Czy potrafisz być wdzięczny za to, że możesz oddychać? [...] Jeżeli się nauczysz, każda sekunda będzie przynosić radość". Nam pan Jakóbiak już przynosi radość. Lepszą niż niejeden kabaret!

MĄŻ IDEALNY?

Mariola Bojarska-Ferenc, która uważa się za pierwszą trenerkę Polek i wszędzie podkreśla, że to ona wypromowała fitness w Polsce, a nie jakieś tam Chodakowskie i Lewandowskie, uchyliła rąbka tajemnicy na temat swojego życia prywatnego. W „Fakcie" opowiada o swoich relacjach z mężem, którego nie może się nachwalić. Podkreśla, jak bardzo jest wyrozumiały i jak szanuje jej potrzeby. – Nie wolno hamować drugiej osoby w realizacji jej pasji. Mąż wie, że praca jest dla mnie ważna jak oddychanie i że zwariowałabym, gdybym siedziała w domu i mieszała zupę – wyznaje. – Mój mąż jest szczęśliwy, kiedy ja jestem szczęśliwa. Nie trzyma mnie na siłę w domu – zaznacza. Pewnie pozwala jej też oddychać. Taki facet to skarb!

FOT. PAWEŁ GROMADA

NIE Z TEJ STRONY

Lara – córka znanej restauratorki Magdy Gessler – coraz lepiej czuje się w show-biznesie. W rozmowie z kolorowymi mediami chwali się, że ma już swoich pierwszych fanów! – Ludzie piszą do mnie, że kiedyś mieli mnie za wyniosłą, bogatą dziedziczkę, a okazało się, że jestem normalna – opowiada. Dzieli się też swoimi refleksjami na temat wychodzenia z cienia sławnej mamy. – Długo sądziłam, że nie mam nic do zaoferowania – mówi. – Dopiero gdy popracowałam nad sobą, pokonałam kilka wewnętrznych „kamieni milowych", pomyślałam, że mogę odwrócić się twarzą do ludzi i spróbować im coś dać od siebie – opowiada. I dała coś od siebie! Zamieściła na Instagramie zdjęcie swojej gołej pupy. To, jak rozumiemy, w ramach „odwracania się twarzą do ludzi".

CO NA TO ZUS?

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Aktorka Anna Mucha przyznała w wywiadzie, że jest pracoholiczką i że to w sumie normalne w tym zawodzie. – Niedawno rozmawiałam z koleżankami na planie jednego z seriali. Jedna z nich miała problem ze zdrowiem, poszła do lekarza, który zalecił jej dwa tygodnie chorobowego. Bardzo nas to rozbawiło – przyznała ze śmiechem. Opowiedziała też swoją historię, jak kiedyś uciekła ze szpitala, by móc zagrać w teatrze. – Skończyło się to dla mnie fatalnie. Mój organizm wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że przeginam – relacjonowała. – Krótko mówiąc, wygląda na to, że zarabiam po to, żeby w przyszłości mieć za co się leczyć – stwierdziła na koniec. ZUS lubi to! ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, tak jak przypuszczaliśmy, Rafał Trzaskowski jest OSOM prezydento-osobą Warszawy i bardzo podoba nam się jego projekt LGBT+.

Analogicznie do programu „500+" polegać on będzie na tym, iż każda warszawska rodzina heteronormatywna dostanie reprezentanta środowisk LGBTQWERTY, któremu będzie miała obowiązek zapewnić utrzymanie, studia humanistyczne, pracę w korpo i kiełki sushi przynajmniej raz w tygodniu. To postępowa inicjatywa, której szczerze dopingujemy, i mamy nadzieję, iż niedługo z Trzaskowskiego wezmą przykład prezydenci kolejnych miast w tym kraju. Mamy nadzieję, iż w naszym reakcyjnym Krakówku niedługo doczekamy się podobnej akcji.

Dotarły do nas wieści, iż polski piłkarz Krzysztof Piątek został zawodnikiem AC Milan. Włoski klub podobno zapłacił za jego przyjście ponad 35 mln euro. W tej sytuacji chcielibyśmy zapytać: Czy rzeczywiście warto jest płacić podobne pieniądze za Polaka?

W dodatku Piątek ma zarabiać w Milanie prawie 2 mln euro za sezon. Według naszych obliczeń jest to naprawdę dużo i trochę się dziwimy, iż Włosi nie woleli zatrudnić zamiast Polaka jakiegoś stażysty, praktykanta czy juniora na umowie o dzieło. Martwi nas po prostu, kiedy polski pracownik rozpycha się na włoskim rynku pracy i zamiast pracować na zbiorach płodów rolnych kopie sobie jeszcze piłkę w ramach hobby. Naszym hobby jest wyplatanie figurek z wikliny – czemu więc nikt nam nie zapłaci za to podobnych pieniędzy? Przecież hobby to hobby, nie można ich dzielić na lepsze i gorsze!!!

Otrzymaliśmy bulwersującą wiadomość, iż fallusoosoby, które posiadają osobodzieci, zarabiają o prawie 14 proc. więcej niż fallusoosoby dziecionegatywne.

To straszna dyskryminacja nie tylko osób identyfikujących się jako mężczyźni, którzy po prostu nie chcą osobodzieci, ale także środowisk LGBTQWERTY, w których – mimo wszystko warto o tym pamiętać – rodzi się więcej szczęśliwych dzieci niż w parach heteronormatywnych.

Badacze analizujący to zjawisko są zdania, iż po prostu mężczyźni-ojcowie poszukują coraz to lepiej płatnej pracy. Jednak powinniśmy mieć na uwadze, iż to pracodawcy powinni poszukiwać osób bezdzietnych oraz LGBTQWERTY, iżby wyrównać te nierówności płacowe i nie dopuszczać do podobnych form dyskryminacji płacowej!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

MICHAŁ
GOŁKOWSKI
stalowe szczury
OTTO

fabryka słów

Radosna, lekka okopowo-szturmowa historia o przygodzie, przyjaźni i złocie z Wielką Wojną w tle.

Jeśli do tej pory wydawało ci się, że wiesz, co może wydarzyć się na wojnie… No cóż. Najwyraźniej twoje źródła historyczne nie miały dość ani faktów, ani fantazji.

PREMIERA 25.01.2019

eprasa.pl d95acbd8fa

My w sprawie ustawy wprowadzającej jawność wynagrodzeń w NBP. Nie tak miało być. PiS do końca liczył, że Adam Glapiński okaże dobrą wolę i sam odtajni wszystkie informacje. Problem polega na tym, że Adam na razie nie bardzo chce, choć dostał jasne i mocne sugestie.

Jest i drugi problem. To znaczy wysokość zarobków w NBP. Jak mówią rządowe wiewiórki, nie ma wątpliwości, że próba uregulowania ich ustawą skończy się darciem japy przez Europejski Bank Centralny, iż niszczona jest niezależność najważniejszej instytucji finansowej kraju. PiS i w tej kwestii wysłał do Glapińskiego jasny i mocny sygnał z sugestią, żeby obniżać, skoro szef NBP wysokość pensji może regulować sam. Może. Tylko wiecie, jak to jest z tym „może". My też możemy nie prowadzić rubryki, a mimo to ją prowadzimy.

Wiewiórki potwierdzają. W nowym programie PiS czy też jego nowej odsłonie, zwanej trzecią piątką Morawieckiego, dużo będzie o kwocie wolnej od podatku, rozmaitych składkach, a nawet o zmianach stawek PIT. Chodzi o to, że ze wszystkich badań wyszło, iż Polacy chcą zarabiać więcej i ktoś wreszcie się zorientował, że jakby im mniej zabierać, to więcej zostanie.

Bardzo ciekawią nas z kolei medialne doniesienia o nowym wielkim społecznym programie PiS, który „ma być równie spektakularny jak »500+«". Tak się bowiem składa, że w ministerstwie rodziny, dzieci i rozdawania pieniędzy nic o takim programie nie wiedzą.

Uwaga, zgadzamy się z opinią, że w sprawie tragicznej śmierci Pawła Adamowicza wiele złego da się powiedzieć o tzw. atmosferze. Chcielibyśmy tylko zwrócić uwagę, że to od pewnego lidera PO usłyszeliśmy pół roku temu zdanie: „My nie mamy problemu Adamowicza, problem Adamowicza rozwiąże wkrótce CBA". Taki konkurs z pytaniem: „Jak nazywał się ów lider i dlaczego Schetyna?".

Życia Ryśka Petru. Rysiek niczego tak nie pragnie, jak być ważnym, docenianym i dostrzeganym. Dlatego gdy po śmierci prezydenta Gdańska prezydent Andrzej Sebastian zaprosił partyjnych liderów na spotkanie do pałacu, Rysiek natychmiast potwierdził, że jedzie, i zamówił sejmową limuzynę. Pół godziny później odwołał limuzynę, gdyż w tak zwanym międzyczasie Grzegorz Ludojad Schetyna wydał dyspozycję, że Eine Totalopposition nie jedzie.

Kiwanie Ryśka to nie jest jakaś wielka sztuka. Nawet Kaśka Lubnauer potrafiła go wykiwać

Uwaga, będzie jeszcze ciekawiej: kiedy tydzień później premier Mateusz zaprosił szefów klubów sejmowych oraz kół poselskich na spotkanie, Rysiek – pamiętając poprzednią lekcję – wyrwał się pierwszy z deklaracją w mediach, że nie ma sensu iść na spotkanie, nie wiadomo o czym. Co za pech, następnego dnia Grzegorz Schetyna oświadczył, że sprawa jest poważna i trzeba iść na spotkanie. A Rysiek został jak Himilsbach z angielskim.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Obydwie te historie przypominają nam termin z lat dziecinnych, kiedy o podwórkowych dryblerach ogrywających konkurencję mówiło się z uznaniem: „Kiwał go, jak chciał". Aczkolwiek kiwanie Ryśka to nie jest jakaś wielka sztuka. Nawet Kaśka Lubnauer potrafiła go wykiwać.

Mamy kolejnego kandydata do Hienki Roku. Tytuł z TVN24.pl, powtórzony na pasku telewizyjnym: „Służba Więzienna wiedziała o poglądach politycznych Stefana W. Co z tym zrobiła?". Mamy dla hienek z tefauenów równie dobre hasło: „Służba Więzienna wiedziała, że w więzieniach większość głosuje na PO. Co z tym zrobiła?". Chociaż oczywiście ważniejsze pytanie brzmi: Co zrobił z tą wiedzą TVN24?

Dla niedowiarków mam fragmencik tekstu z poznańskiej „Wyborczej", który ukazał się zaraz po wyborach parlamentarnych 2015 r. „Gdyby rządzących mieli wybierać więźniowie, pełnia władzy należałaby do Platformy Obywatelskiej. Zdobyła ona wśród osadzonych ponad 47 proc. głosów. Kukiz zdobył 11,2 proc. głosów, PiS – 9,9 proc. głosów. Pozostałe ugrupowania nie przekroczyłyby progu wyborczego".

Ponieważ bardzo poważnie traktujemy walkę z mową nienawiści, postanowiliśmy skrupulatnie odnotowywać jej przejawy. „PiS terroryzuje polską demokrację". „Od 13 lat PiS i PO podpalają Polskę". Dzisiaj, jak widać, Robik Biedroń. Świeżutkie cytaciki, jeszcze gorące.

eprasa.pl d95acbd8fa

Luty, niebezpieczna dla Polaków pora! Na początku miesiąca Robik Biedroń i czerwoni bracia (ale nie bracia Biedronia) z SLD, a w połowie miesiąca zieloni bracia z Peezelu ogłoszą co, kiedy, jak i z kim na czele do europarlamentu! Aż zamarliśmy z ekscytacji w bezruchu! A nie, przepraszamy, to nie z ekscytacji. To była po prostu drzemka.

Kurski sam wie, że przegiął" – usłyszeliśmy od pewnego wpływowego polityka PiS, kiedy poprosiliśmy o komentarz na temat manewrów wokół TVP. Czyli jak w życiu. My też wiemy, że przeginamy, a mimo to nie przyszło nam do głowy, żeby przestać.

Z życia elit. Przywódca jednej z partii Eine Totalopposition relacjonuje nam rozmowę z taksówkarzem. „Na początek opowiedział gruby dowcip o Kaczyńskim. A kiedy go zapytałem, czy to aby nie jest mowa nienawiści, powiedział: »Wie pan co, mam w dupie mowę nienawiści«". Liczymy, że kiedy nasz rozmówca usłyszy od taksówkarza równie gruby dowcip o Adamowiczu, opowie go nam z równie szerokim uśmiechem na twarzy.

Andrzej Rzepliński, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, ogłosił tymczasem w tefauenach, że w Polsce jest ok. 160 skrajnie niebezpiecznych osobników, których należałoby jego zdaniem natychmiast izolować. Policzyliśmy i jesteśmy zdziwieni. Przecież Klub Parlamentarny Zjednoczonej Prawicy liczy więcej osób.

Ach, te pieniądze. Europosłowie je mają, krajowe chudopachołki – nie, co jest przyczyną wielu napięć. Słyszeliśmy od naszych zielonych braci, że czas z tym skończyć i kto nie zobowiąże się do oddawania części brukselskich dochodów na Peezel, ten nie może liczyć na miejsce biorące do europarlamentu. „A jak starzy europosłowie się nie zgodzą?" – zapytaliśmy zielone wiewiórki. „To się wskaże nowych" – odpowiedziały zielone wiewiórki.

Tymczasem negocjacje w sprawie wielkiej koalicji opozycji stanęły. Powód? Misiek Kamiński, śniący o powrocie na eurodietę. Ponieważ Misiek wkradł się w łaski Kosiniaka-Kamysza, szefa Peezelu współpracującego w Sejmie z miśkową Unią Europejskich Demokratów, Peezel zaproponowało Peło, żeby Misiek dostał wchodzącą dwójkę w jakimś dobrym okręgu. Okrutnie rozwścieczyło to Grzegorza Ludojada (i Miśkojada).

Przy Unter den Linden nadal straszy dziura w ziemi. Co prawda inwestycja znów ruszyła, ale kwestia „kto utopił 150 baniek" niestety się przedawniła

Komunikat z gmachu MSZ: „Houston, mamy problem!". Nie chodzi jednak o lot Apollo 13, tylko otwarty z wielką pompą dwa lata temu polski konsulat w tym mieście. Otwierał sam Srebrny Lis Dyplomacji, znaczy Waszczu. Nowe władze resortu odkryły, że placówka jest w stanie kompletnej rozpierduchy, a jej otwarcie to był pic na wodę fotomontaż polegający na zawieszeniu tabliczki z napisem. Próbujemy znaleźć głębszy sens: A może to po prostu tanie państwo?

Przy osiągnięciach Radka Sknerusa Sikorskiego i jego poprzedników to jednak drobiazg. Utopili oni w budowie polskiej ambasady w Berlinie drobne 150 baniek. A przy Unter den Linden nadal straszy dziura w ziemi. Co prawda inwestycja ostatnio znów ruszyła, za kadencji ambasadora Przyłębskiego, ale kwestia „kto utopił 150 baniek" niestety się przedawniła.

Pocztówki z apokalipsy, jaką przyniosło przejęcie przez PiS władzy w województwie śląskim. Były marszałek (teraz już tylko radny sejmiku) i szef śląskiej Peło Wojciech Saługa musiał szukać nowej roboty. Znalazł. Jest wiceprezesem miejskich wodociągów w Piekarach Śląskich. Czy w jakimś regionie lokalny lider Peło upadł tak nisko?

Wiatr zmian porwał też Jarosława Makowskiego, radnego i lidera katowickiej Peło. Po opuszczeniu posady szefa marketingu Silesia Film wygrał konkurs na dyrektora muzeum w organizacji w Kędzierzynie-Koźlu. Nową pracę podejmie od 1 lutego. Naszym zdaniem ma kwalifikacje. Przecież uczył w Pszczynie, pracował w Krakowie, a urodził się w Kutnie. Wszędzie tam pielęgnował skrycie w swym sercu drzewko miłości do pięknej ziemi kozielskiej oraz jej historii. Drzewko dojrzało i wkrótce wyda owoce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Portret pamięciowy

Wojciech Wybranowski

Koledzy z celi zapamiętali go jako samotnika. Strażnicy – jako nic nieznaczącego osadzonego. Nie zwierzał się z politycznych poglądów, za to wciąż się skarżył na niesprawiedliwy wyrok

Nie był trójmiejskim gangsterem, nie utrzymywał relacji politycznych, które mogłyby go zachęcić do zbrodni, nie było też podstaw do zatrzymania go w więzieniu. Wokół Stefana W. narosło wiele teorii spiskowych. Prawdopodobne jest natomiast, że zabójca prezydenta Gdańska od lat borykał się z problemami psychotycznymi, a Paweł Adamowicz stał się ofiarą, bo akurat znalazł się „w zasięgu" sprawcy.

Od tragicznej śmierci Pawła Adamowicza zasztyletowanego podczas gdańskiego finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy minęły zaledwie dwa tygodnie, a już jego śmierć stała się instrumentem w politycznej walce. Przy okazji pojawiło się wiele nieprawdziwych lub półprawdziwych informacji dotyczących przeszłości zabójcy, politycznych uwarunkowań jego działań, powiązań, wreszcie ulokowania w środowisku przestępczym. Cześć z nich udało się już zweryfikować.

ZŁY CZŁOWIEK Z DOBREGO DOMU

Młody, gniewny, sfrustrowany i najprawdopodobniej chory. W zasadzie młodość Stefana W. do czasu, kiedy trafił do aresztu, a następnie więzienia skazany za cztery napady na placówki bankowe nie stanowi już tajemnicy. Częściowo opisaliśmy je w poprzednim wydaniu tygodnika „Do Rzeczy". Urodzony w wielodzietnej, niezbyt zamożnej, ale absolutnie niepatologicznej rodzinie – matka pracująca w gdańskim przedszkolu, ojciec na rencie, dobrze wykształcone rodzeństwo. On sam skończył edukację na szóstej klasie szkoły podstawowej, od tego momentu wolny czas spędzał, włócząc się po gdańskich podwórkach i blokowiskach, grając w salonach z automatami. Lubił hazard, w ten sposób

eprasa.pl d95acbd8fa

Stefan W., zabójca prezydenta Gdańska, podczas procesu za napady na banki w 2014 r. FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

roztrwonił pieniądze, które otrzymał po tragicznej śmierci ojca. Można założyć, że imponował mu tzw. wielki świat celebrytów – stąd na swoim Facebooku pochwalił się m.in. zdjęciem, do którego pozuje w towarzystwie popularnego kulturysty – Roberta Burneiki, znanego jako „Hardkorowy Koksu".

Nasze źródła mówią, że nie miał zbyt wielu znajomych, uchodził raczej za typ samotnika, nie widywano go dłużej ze stałą partnerką przez dłuższy czas.

– Nie był towarzyskim typem, ale tym znajomym, który lubił imponować, miał taki ciąg, żeby go uważali za „gościa" – mówi nam o Stefanie W. jeden z jego facebookowych znajomych. Zresztą znajomych w sieci też nie miał zbyt wielu, część z nich po zbrodni na Adamowiczu pospiesznie usunęła się z grona jego kolegów.

Stefan W. fascynował się nożami i walką nimi, intensywnie trenował na niewielkiej, domowej siłowni, niewykluczone, że wspomagał się sterydami, z których niektóre powodują wzrost poziomu agresji.

Wiadomo też, że w związku z problemami, które pojawiły się w czasie, gdy uczęszczał do szkoły, był leczony w poradni zdrowia psychicznego, ale w pewnym momencie zaprzestał terapii.

GANGSTER?

W ostatnich dniach w kilku mediach pojawiły się informacje, jakoby Stefan W. miał być związany z trójmiejskimi grupami przestępczymi. – Miał problemy, ale nie był gangsterem. Przeczytałam, że wynosił sprzęt z domu i dawał do lombardu. A ja potem rzekomo odkupowałam. To też nieprawda – mówiła mama Stefana W. w poruszającym wywiadzie dla „Dużego Formatu".

Z kolei program „Uwaga!" TVN wyemitował rozmowę ze świadkiem, rzekomo znajomym Stefana W., który opowiadał, że zabójca prezydenta Gdańska chciał zostać płatnym zabójcą i współpracować ze znanymi w trójmiejskim podziemiu przestępczym gangami: „Olgierda", „Zachara" i „Banana". – Nie dysponujemy żadnymi informacjami, które mogłyby potwierdzać fakt zaistnienia jakichkolwiek związków Stefana W. z grupami przestępczymi – mówi nam prokurator Grażyna Wawryniuk z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku.

Mikołaj Podolski, dziennikarz śledczy z Trójmiasta, napisał na portalu Onet.pl, że świat przestępczy imponował Stefanowi W., próbował on kręcić się wokół gangu „Zachara", ale przestępcy odepchnęli nastolatka, którego uważali za „ześwirowanego".

– Nie był dobrym kandydatem na wiernego żołnierza gangu. Od czasu wejścia w życie ustawy o świadku koronnym podstawą funkcjonowania gangów stała się zasada „nie przyjmujemy wariatów, bo napytają nam biedy". To były zwarte struktury, których członkowie mieli do siebie pełne zaufanie. Stefan W. na takie nie mógł liczyć – ocenia w rozmowie z „Do Rzeczy" Dariusz Loranty, doświadczony były policjant.

W 2013 r. Stefan W. dokonał w Gdańsku czterech napadów rabunkowych na banki. Łup był mizerny, w dodatku ostatni napad zakończył się wpadką. Aresztowany i skazany na pięć lat i sześć miesięcy Stefan W. trafił do więzienia. Wyszedł na wolność 8 grudnia 2018 r. W celi kiełkowała w nim nienawiść do sprawującej w tamtym czasie władzy Platformy Obywatelskiej, którą uważał za sprawcę swojego uwięzienia. Siebie uważał za niewinnego. W 2013 r., w trakcie sądowego procesu, przekonywał: – Nie zabrałem nikomu pieniędzy. To były pieniądze banku. Niczyje.

13 stycznia tego roku, tuż po ataku na prezydenta Adamowicza, ze sceny wykrzyczał: – Siedziałem niewinny w więzieniu! Platforma Obywatelska mnie torturowała, dlatego właśnie zginął Adamowicz!

SYMPATYK PIS? NIENAWIDZIŁ PLATFORMY?

Skąd mogły wziąć się słowa o torturowaniu? Stefan W. zaczął opowiadać współwięźniom i rodzinie podczas widzeń, że jest podtruwany jajami tasiemca. Mężczyzna, jak wynika z ustaleń śledczych, miał też obwiniać Platformę za problemy ze zdrowiem. Przekonywał, że ktoś chce go zamordować.

Czy był sympatykiem Prawa i Sprawiedliwości? To jedna z teorii, która pojawiła się w przestrzeni publicznej. Trudno już teraz uznać ją za uzasadnioną.

W ubiegłą środę program TVN „Uwaga!" ujawnił notatkę dyrektora ostatniego zakładu karnego, w którym karę więzienia odsiadywał Stefan W. Sporządzono ją tuż przed wyjściem przyszłego zabójcy na wolność. Pytany o to, co zamierza robić po opuszczeniu murów więzienia, Stefan W. miał powiedzieć, że „wyjedzie do innego województwa, gdzie rządzi PiS, bo jest zwolennikiem PiS". Miał też powiedzieć, że „chciałby, by Kaczyński został dyktatorem". Miał przy tym mówić, że pragnie „zostać bezdomnym i jeździć z województwa do województwa, pomijając pomorskie, bo to »siedlisko PO«".

– Stefan W. nie podał w trakcie składania wyjaśnień motywów swojego ataku na Pawła Adamowicza. Składał obszerne wyjaśnienia, ale ten wątek w ogóle pominął. Nie przyznał się do zarzucanego mu czynu – mówi nam prokurator Grażyna Wawryniuk. Gdy pytamy, czy Stefan W., który ochoczo rozmawiał nie tylko z prokuratorem,

eprasa.pl d95acbd8fa

lecz także z policjantami, chwilę po zatrzymaniu, mówił o swoich poglądach politycznych, dłuższą chwilę panuje cisza w słuchawce. – Jesteśmy na etapie weryfikacji informacji dotyczących jego osoby. Nie mamy nowych informacji – odpowiada po chwili prokurator.

Nasze źródła z kręgów bliskich śledztwu twierdzą jednak, że Stefan W., zeznając ochoczo, mówił o swojej nienawiści do Platformy Obywatelskiej. Interesował się polityką, twierdził, że oglądał serwisy informacyjne. Miał też deklarować się jako osoba, która uważa PiS za jedyną alternatywę wobec Platformy. – Mamy pewien problem z jego zeznaniami. Składne, sensowne wypowiedzi przemieszane są z totalnymi fantasmagoriami. Potrafił mówić składnie, po czym nagle wtrącał zdania zupełnie nie na temat, mówił, że ktoś chce mu zrobić krzywdę, zawieszał wypowiedzi… – opowiada nasz informator.

Śledczy mają problem z zeznaniami Stefana W. Sensowne zdania ma przeplatać fantasmagoriami, wtrąceniami nie na temat

CO OGLĄDAŁ I CZYTAŁ

Mężczyzna, który przez pewien czas siedział ze Stefanem W. w jednej celi, w rozmowie z portalem Onet.pl twierdził, że zabójca Adamowicza nie deklarował sympatii politycznych. Skarżyć się miał jedynie na za wysoki, niesprawiedliwy jego zdaniem wyrok.

Już po zabójstwie pojawiła się też informacja, podsycana przez część mediów lewicowo-liberalnych, jakoby do zbrodni miała go popchnąć „mowa nienawiści" pod adresem prezydenta Gdańska, która docierała do niego poprzez telewizję publiczną i prawicowe media. „Zabójca Pawła Adamowicza ostatnie lata spędził w zakładzie karnym. Odkąd rządzi PiS, w placówkach publicznych puszcza się tylko TVP. Jest więc dosyć jasne, jaki przekaz do niego docierał. Aż dotarł..." – napisał na Twitterze Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej". Służba Więzienna szybko tę informację zdementowała, podając zestaw stacji, do których dostęp mieli osadzeni. – Oglądaliśmy czasem wiadomości. Jeśli już, to przeważnie na Polsacie i TVN. Na pewno nie oglądaliśmy ich wtedy w TVP – opowiadał Onetowi kolega z celi Stefana W.

Jeden z naszych rozmówców mówi jednak, że Stefan W. miał przyznać śledczym, iż lubił oglądać „Teleexpress" w TVP.

Wiadomo za to na pewno, jakie gazety czytał Stefan W. Wśród tych tytułów nie było konserwatywnych periodyków. Jego współtowarzysz z celi mówi, że pożyczał mu „Gazetę Wyborczą" i „Agorę", a strażnicy dostarczali mu jeszcze „Dziennik Bałtycki".

GROŹNY CZY NIEPOCZYTALNY

Krótko po zamachu na prezydenta Adamowicza część komentatorów zarzuciła służbom więziennym i policji niedopełnienie obowiązków. Wskazywano, że sygnał od jego matki – która ostrzegała, iż syn jej się zwierza, że zamierza zrobić „coś strasznego" – oraz deklarowana przez niego nienawiść polityczna powinny wywołać działania służb. Jednak wobec Stefana W. nie można było np. zastosować „ustawy o bestiach" i zamknąć go po zakończeniu odsiadki. Nie odbywał bowiem kary w systemie terapeutycznym – w momencie skazywania za napady na banki został uznany za całkowicie zdrowego psychicznie i taka kara nie mogła być zasądzona. Późniejsze ewentualne wystąpienie u niego objawów choroby psychotycznej nie kwalifikowało do zastosowania tego środka izolacji.

Odpowiadając na pytania „Do Rzeczy", Służba Więzienna stwierdziła, że nie zanotowała przypadków, by był on ofiarą agresji współwięźniów, co mogłoby pogłębić stan chorobowy Stefana W. – Nigdy nie było potrzeby stosowania wobec niego siły fizycznej ani innych środków przymusu bezpośredniego. Skazany nie był uczestnikiem podkultury przestępczej, a w środowisku współwięźniów nie pełnił znaczących ról. Podczas pobytu w zakładzie karnym nie był agresywny ani autoagresywny – informuje Elżbieta Krakowska, rzecznik Służby Więziennej.

Wiadomo jest dziś, że w trakcie odsiadywania przez Stefana W. kary zdiagnozowano u niego (w 2016 r.) początki schizofrenii. Podczas jednego z widzeń miał się skarżyć matce, że nie może oglądać telewizji, bo „głowy wychodzą z ekranu". Miał też słyszeć głosy.

– Przez okres dwóch miesięcy przebywał w więziennym oddziale psychiatrycznym. Żaden ze specjalistów nie widział potrzeby stosowania oddziaływań specjalistycznych w postaci np. kierowania osadzonego do oddziału terapeutycznego lub psychiatrycznego, a w diagnozach psychiatrycznych i psychologicznych nie wskazano, że jest osobą stwarzającą zagrożenie dla innych ludzi – twierdzi rzeczniczka SW. Dodaje, że zabójca Adamowicza był 20-krotnie konsultowany psychiatrycznie przez specjalistów, w tym dwukrotnie w tygodniu poprzedzającym jego zwolnienie.

Jak powiedziała nam rzecznik Prokuratury Okręgowej w Gdańsku, śledczy zabezpieczyli już dokumentację medyczną mężczyzny, zostanie ona przekazana biegłym, którzy mają przeprowadzić badanie psychiatryczne Stefana W. Jego data jeszcze nie została wyznaczona.

ZAGADKOWE DNI

Śledczy jeszcze nie są pewni, jak mężczyzna spędzał czas między 8 grudnia, gdy wyszedł z więzienia, a 13 stycznia – dniem zabójstwa. Z kim się spotkał i co planował w okresie po wyjściu z więzienia? Zabezpieczono jego komputer, telefon, sprawdzane są e-maile. Jeszcze nie wiadomo, czy na Targ w Gdańsku, na finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, wybrał się „spontanicznie", szukając osoby – być może polityka PO – na którym będzie mógł dać ujście nagromadzonej frustracji, czy też już idąc tam, zaplanował zabójstwo Pawła Adamowicza.

Nie wiadomo też, czy Stefan W. rzeczywiście zamierzał wcześniej – jak twierdziły niektóre media – wedrzeć się na teren Pałacu Prezydenckiego w Warszawie, o czym miał opowiadać śledczym. Pewne jest, że pojechał do Warszawy, wydał tam w klubach tzw. wypiskę – czyli pieniądze, które otrzymał przy wyjściu z zakładu karnego.

– Wiemy już, że był w Warszawie, nie było informacji, że zamierza wedrzeć się na teren Pałacu Prezydenckiego, tylko że rozważał wejście. Jesteśmy na etapie weryfikacji, czy doszło do takiej próby – mówią nam gdańscy śledczy. Z ustaleniem tego może być spory problem, w czwartek bowiem okazało się, że nagrania z kamer wokół Pałacu Prezydenckiego zostały już skasowane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Widoki
na zimowe wyjazdy

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 BYDGOSZCZ +48 519 535 300 GDAŃSK +48 519 535 311 GORZÓW WLKP. +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 KIELCE +48 519 535 304 KRAKÓW +48 519 535 305 LUBLIN +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 OLSZTYN +48 519 535 314 OPOLE +48 519 535 307 PŁOCK +48 519 535 334 POZNAŃ +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 SZCZECIN +48 519 535 310 WARSZAWA +48 519 535 302 WROCŁAW +48 519 535 307

eprasa.pl d95acbd8fa

Zatrzymać

Łukasz Zboralski

Próbujemy budować system ochrony przed takimi ludźmi jak zabójca prezydenta Gdańska. To niełatwe, ale inne kraje też zdały sobie sprawę z tego, że więzienie to czasem za mało

Stefan W., który zamordował prezydenta Gdańska, nie był pod wpływem narkotyków ani alkoholu. Nie wiadomo, czy jest psychicznie zdrowy – to wyjaśni dopiero badanie zaplanowane w postępowaniu (w ubiegłym tygodniu nie zaplanowano jeszcze nawet jego terminu). Toczymy już jednak publiczną debatę o tym, czy tacy skazani powinni wychodzić na wolność. I jak rozpoznawać, czy są niebezpieczni dla społeczeństwa. Czy w przypadku Stefana W. przesłanki były mocne? Czy fakt, że wobec służby więziennej wyrażał swoje preferencje polityczne i że matka ostrzegała, iż może zrobić coś złego, był wystarczający, aby dalej go izolować? I jakie do tego mamy narzędzia – a jakie mieć powinniśmy w Polsce?

SYSTEMOWA ŁAGODNOŚĆ

Nie da się tego problemu rozpoznać bez przyjrzenia się całemu systemowi sprawiedliwości. Za kilka napadów z bronią w ręku na placówki bankowe Stefan W. dostał karę 5,5 roku więzienia – i wydaje się to powszechnie wyrokiem niewielkim. Tymczasem w świetle tego, jakie kary wymierzają polscy sędziowie, W. dostał wyrok surowy.

Polski system wymierzania sprawiedliwości jest bowiem niezwykle łagodny. A dyskusje toczą się głównie o tym, jak resocjalizować skazanych i jak wszyscy mają wspierać wychodzących na wolność, by udało im się zbudować nowe życie. To oczywiście jest potrzebne, bo też w pewien sposób zabezpiecza społeczeństwo przed tym, by przestępcy nie wracali do czynienia zła. A jak to działa w praktyce?

Wystarczy zajrzeć w dane statystyczne Ministerstwa Sprawiedliwości. Jeszcze w 2012 r. wśród wszystkich skazywanych w Polsce na pozbawienie wolności 84 proc. dostawało karę w zawieszeniu (224 185 skazanych z 265 876). To zmieniło się po roku 2015, gdy odgórnie postanowiono sędziom ograniczyć tak lubiane przez nich narzędzie zawieszania wyroków. Od tego czasu zapada mniej kar w zawieszeniu. Wciąż jednak takie wyroki stanowią większość. W ostatnim roku, który obejmuje

eprasa.pl d95acbd8fa

Czy polskie prawo znajdzie sposób na kontrolowanie osób kończących karę więzienia, a wciąż stanowiących zagrożenie dla innych – takich jak Stefan W. (na zdjęciu w gdańskiej prokuraturze), który zabił prezydenta Gdańska? FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

złych

ministerialne zestawienie – 2016 – wyrok w zawieszeniu usłyszało 65 proc. skazanych (81 673 na 125 368).

Najczęstszą karą więzienia jest w Polsce kara sześciu miesięcy pozbawienia wolności, z czego większość to wyroki w zawieszeniu (w 2016 r. 26,5 tys. skazanych, w tym 19,5 tys. skazanych w zawieszeniu). Liczba skazanych radykalnie maleje w przedziale wyroków sięgających ponad dwa lata więzienia. W 2016 r. wyroki dwóch–trzech lat pozbawienia wolności usłyszało 1687 osób (z tego w zawieszeniu – 96). Przy wyższych karach liczba na nie skazanych jeszcze się zmniejsza.

Już przy dawaniu szansy na poprawę, czyli zawieszaniu wykonania kary, widać, że nadzieje sędziów twardo zderzają się z rzeczywistością. Słyszący takie wyroki nabierają przekonania, że pozostają bezkarni, bo prawie wszyscy ostatecznie trafiają za kratki. Jak wynika z danych resortu sprawiedliwości za lata 2010–2015, połowa skazanych w taki sposób popełniała przestępstwo zaledwie rok po pierwszym wyroku. Co czwarty popełnia przestępstwo przed upływem pięciu lat od momentu, gdy usłyszał łagodną karę z ust sędziego.

Ma to jednak niewielki wpływ na decyzje sędziów. Dość dobrym przykładem są kierowcy, którzy jeżdżą pijani i – to udowodnione wieloma danymi – poważnie zagrażają życiu oraz zdrowiu innych ludzi na drogach. Nawet wobec recydywistów sędziowie nie orzekali bezwzględnego więzienia. Zdarzało się to zaledwie w co czwartym przypadku (przy tym starostowie zaniedbywali obowiązek kierowania takich ludzi na leczenie – wykazała to kontrola NIK). Ba, gdy minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro znów zaostrzył prawo w tej kwestii i w myśl obowiązującego prawa powtórne złapanie pod wpływem alkoholu za kółkiem równa się bezwzględnemu więzieniu, nadal zdarzają się sędziowie w wyrokach ignorujący te zapisy.

Wiadomo, że najrzadziej do przestępczości powracają najciężej ukarani – to ci, którzy odsiadywali 25 lat więzienia i dożywocie. Chociaż resocjalizacja to mit, to jedni i drudzy mogą liczyć na przedterminowe zwolnienie z więzienia. Wychodzą jednak po dłuższym czasie i zwykle są starsi, trudno im wrócić do przestępczego życia. Muszą się też liczyć z tym, że recydywa w ich przypadku może oznaczać prawdziwe dożywocie. To dlatego tylko niewielki odsetek z nich popełnia przestępstwa po opuszczeniu celi.

Wyroki 25 lat pozbawienia wolności w ostatnich latach rocznie otrzymuje 60–70 osób, wyroki dożywocia ok. 20 osób.

ŁATANIE DZIUR W KRATACH

Inne myślenie o chronieniu przestrzegających prawa obywateli przed tymi, którzy prawa nie przestrzegają, przebija się do głównego dyskursu prawie jedynie wtedy, gdy rządy obejmuje prawica, a także wtedy, gdy dochodzi do spektakularnych przestępstw lub gdy sytuacja staje się głośna medialnie w inny sposób.

Tak było, gdy nagle w Polsce zorientowano się, że na wolność zaczną wychodzić niebezpieczni mordercy. To ludzie, którzy za przestępstwa na tle seksualnym zostali w latach 1988–1994 skazani na karę śmierci, a po moratorium zamieniono im wyroki na 25 lat pozbawienia wolności, bo ówczesny kodeks nie przewidywał dożywotniego więzienia.

Politycy zareagowali, gdy tabloidy pokazały, że w 2014 r. na wolność wyjdzie m.in. Mariusz T. To człowiek, który najpierw za molestowanie chłopca z podstawówki został skazany w zawieszeniu – i w tym czasie dopuścił się molestowania innego, 12-letniego chłopca. Poszedł do więzienia na 2,5 roku, ale w 1988 r., w związku z chorobą matki, udzielono mu przerwy w odbywaniu kary. Wówczas w Piotrkowie Trybunalskim zwabił do swojego mieszkania przypadkowo spotkanego 13-latka. Molestował go i udusił. Niedługo potem zwabił do siebie i zabił nożem jeszcze trzech chłopców.

W 2013 r. uchwalono tzw. ustawę o bestiach (Ustawa o postępowaniu wobec osób z zaburzeniami psychicznymi stwarzających zagrożenie życia, zdrowia lub wolności seksualnej innych osób). Spotkało się to – co nie jest zaskoczeniem – z publicznym sprzeciwem nie tylko

eprasa.pl d95acbd8fa

takich polityków jak ówczesna posłanka Wanda Nowicka, lecz także części polskich karnistów. Otwarcie przeciw tym przepisom występowała np. w ubiegłym roku w mediach prof. Monika Płatek. Na pytanie dziennikarza Gazeta.pl, co robić z ludźmi, którzy deklarują, że nadal chcą krzywdzić innych po wyjściu z więzienia, odpowiedziała: „Nie karze się dwa razy za to samo, nie przedłuża wydanego wyroku i nie zmienia się go w trakcie jego trwania na niekorzyść człowieka. Czy naprawdę nie powiedział pan nigdy, że ma pan ochotę kogoś walnąć w łeb? Czy nie słyszy pan na co dzień: »Zamknij się, bo cię zabiję«?".

Mimo wzburzenia środowiska prawniczego ustawa zadziałała. T. – którego żona (bo zdążył się ożenić) twierdziła, że w podróż poślubną pojadą do lasku, w którym zakopał zwłoki dzieci – wyszedł na wolność, ale długo się nią nie cieszył i dzięki nowym przepisom został umieszczony w Krajowym Ośrodku Zapobiegania Zachowaniom Dyssocjalnym w Gostyninie. W dodatku ma jeszcze oddzielny wyrok – za posiadanie pornografii dziecięcej sąd skazał go w 2015 r. na 5,5 roku pozbawienia wolności – który jest w zawieszeniu do czasu, gdy przestępca przebywa w ośrodku.

A Trybunał Konstytucyjny – do którego podpisaną wcześniej ustawę skierował ówczesny prezydent Bronisław Komorowski – w 2016 r. orzekł, że takie przepisy są zgodne z konstytucją i dają narzędzie do ochrony innych osób przed realnym zagrożeniem ze strony najgroźniejszych przestępców.

Spór o tzw. ustawę o bestiach wrócił też przy zbliżającym się terminie zwolnienia z więzienia innego mordercy – „wampira z Bytowa". Leszek P. złapany w latach 90. twierdził, że dokonał wielu zabójstw kobiet. Ostatecznie został skazany za jedno morderstwo i gwałt. Dyrektor zakładu karnego zwrócił się do sądu, by uznał P. za niebezpiecznego i zdecydował o jego dalszej izolacji od społeczeństwa. Sąd zasięgał opinii kilku biegłych i na tej podstawie uznał, że P., tak jak wcześniej Mariusza T., należy umieścić w ośrodku w Gostyninie. I tam trafił. Jak wszyscy izolowani na podstawie tej ustawy może co pół roku wnioskować o weryfikację swojego stanu zdrowia.

PRZYPADEK STEFANA

Po morderstwie Pawła Adamowicza władze zapowiedziały kolejne zmiany. I znów część z nich napotyka opór środowiska prawniczego.

Po pierwsze – zdaniem ministra Zbigniewa Ziobry sprawcy napadów z niebezpiecznym narzędziem w ręku mają odpowiadać tak jak za zbrodnie. To wykluczałoby sytuacje, w których seryjny bandyta, taki jak Stefan W., może wyjść zza krat po odsiedzeniu relatywnie niedługiego czasu. Rozszerzona ma też zostać paleta kar o wyrok 30 lat pozbawienia wolności. Minister zakłada, że sędziowie będą mogli wyznaczać wyższe kary, nie będąc spętani odnośnikiem maksymalnego więzienia wynoszącego dziś 25 lat.

Do tego w prawie pojawić ma się też kara bezwzględnego dożywocia. Takiego, przy którym skazani nie mogą się już wydostać na wolność przedterminowo. I znów część karnistów zaczęła ubolewać nad tym, że to odbierze im nadzieję i wiarę w resocjalizację. Tak, jakby ważniejszy był interes morderców od interesu tych, których państwo powinno przed takimi osobnikami bronić.

Rząd chce ustanowić karę bezwzględnego dożywocia i wprowadzić badania psychologiczne ludzi opuszczających więzienia

Nowe propozycje uzupełnił minister zdrowia Łukasz Szumowski, który zwrócił uwagę na problem z leczeniem skazanych, u których pojawiły się zaburzenia psychiczne w trakcie odbywania kary, ale niezwiązane z popełnionym wcześniej przez nich przestępstwem. Minister chce, by dyrektorzy więzienia mogli kierować wnioski o leczenie takich osób, także w zakładach zamkniętych. Przed wyjściem na wolność więźniowie mieliby też być badani psychologicznie.

Takich jak Stefan W. „ustawa o bestiach" dziś nie obejmuje – ponieważ nie są to skazani odbywający karę w systemie terapeutycznym.

Gdy w Polsce takie próby uszczelniania systemu chroniącego ludzi przed osobami im zagrażającymi budzą „kontrowersje", w Niemczech od dawna obowiązuje dużo szersze prawo pozwalające wobec skazanych kończących karę na zastosowanie środka postpenitencjarnego dzięki przepisowi o izolacji niebezpiecznego sprawcy w celu zapewnienia bezpieczeństwa publicznego (Sicherungsverwahrung). Niemcy, inaczej niż Polacy, nie ograniczyli tego prawa jedynie do sprawców przestępstw skierowanych przeciw wolności seksualnej.

Też przechodzili perypetie ze swoim przepisem. Głównej osi sporu nie stanowiła jednak kwestia, czy w ogóle można – tak jak w Polsce twierdzi część karnistów – „ponownie karać" kogoś, utrzymując go w zamknięciu po odbyciu kary, ale jak długo można takich ludzi izolować. Niemieckie reguły się docierały i ustalano m.in., że początkowo można izolować groźnych przestępców do 10 lat, ale system miał też furtkę pozwalającą w zasadzie na bezterminowe przetrzymywanie groźnych ludzi z dala od wszystkich. W nowelizacji z 2013 r. doprecyzowano warunki, jakie muszą spełniać placówki, w których przetrzymuje się takich ludzi. Utrzymano możliwość izolowania na czas nieokreślony, ale pod ciągłą kontrolą sądu i tylko wobec osób, które są winne co najmniej trzech ciężkich przestępstw.

Oczywiście z pomocą prawników tak izolowane osoby w Niemczech próbują walczyć o uwolnienie przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. O to starał się np. Karl-Heinz Bergmann, skazany w 1986 r. na 15 lat więzienia za dwukrotne usiłowanie zabójstwa, usiłowanie gwałtu i dwie napaści. Biegli orzekli, że istnieje wielkie ryzyko, iż ponownie popełni przestępstwa, więc najpierw izolowano go na 10 lat, a potem okres ten przedłużono bez konkretnego terminu (wyrok ETPC z 7 stycznia 2016 r. w sprawie Bergmann przeciwko Niemcom). ETPC przyznał jednak rację niemieckim sądom i niemieckiemu rządowi – uznając, że skoro postpenitencjarna izolacja wiąże się z zapewnieniem takiemu człowiekowi terapii, która może tę izolację zakończyć, nie jest de facto ponownym karaniem za to samo.

Polskie władze korygując czy tworząc nasz system ochrony przed niebezpiecznymi ludźmi, mają więc już podane na tacy rozwiązania, które ugruntowują się w systemach europejskich. Widać wyraźnie, że nie chodzi o „wsadzanie do psychuszek" – a takie argumenty padają dziś w Polsce – przypadkowych więźniów, a o izolowanie społeczne ludzi groźnych. A fakt, że niebezpieczeństwo widzą w tym polscy karniści i niektórzy politycy, wiele mówi o systemie, skoro sami nie mają do niego zaufania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

NOWOCZESNY SPOSÓB NA NOWE AUTO!

SIXT drivesmart by bp

Unikalny program długoterminowego najmu samochodów opracowany wspólnie przez Sixt rent a car oraz BP. W naszej ofercie znajdziesz bogato wyposażone auta wielu marek w każdym segmencie. Okres najmu od 6 do 24 miesięcy. Po zakończeniu umowy po prostu zwracasz nam auto i wybierasz nowe. Proste i nowoczesne!

TYLKO **750 zł** MIESIĘCZNIE

Fiat 500
bp limited edition

TYLKO **1060 zł** MIESIĘCZNIE

Toyota Yaris

Wyróżnia nas niska opłata miesięczna, bez kosztów wstępnych oraz szeroki wachlarz świadczeń zawartych w cenie:

- **Ubezpieczenie** – pełne ubezpieczenie AC/OC
- **Assistance 24h** – pomoc drogowa 24h
- **Opony** – opony letnie i zimowe
- **Serwis** – przeglądy, serwis, naprawy
- **Karta paliwowa** – paliwa w korzystnej cenie

Więcej informacji na www.sixtdrivesmart.pl

eprasa.pl d95acbd8fa

Rafał A. Ziemkiewicz

Wielka Orkiestra Szczucia na Prawicę

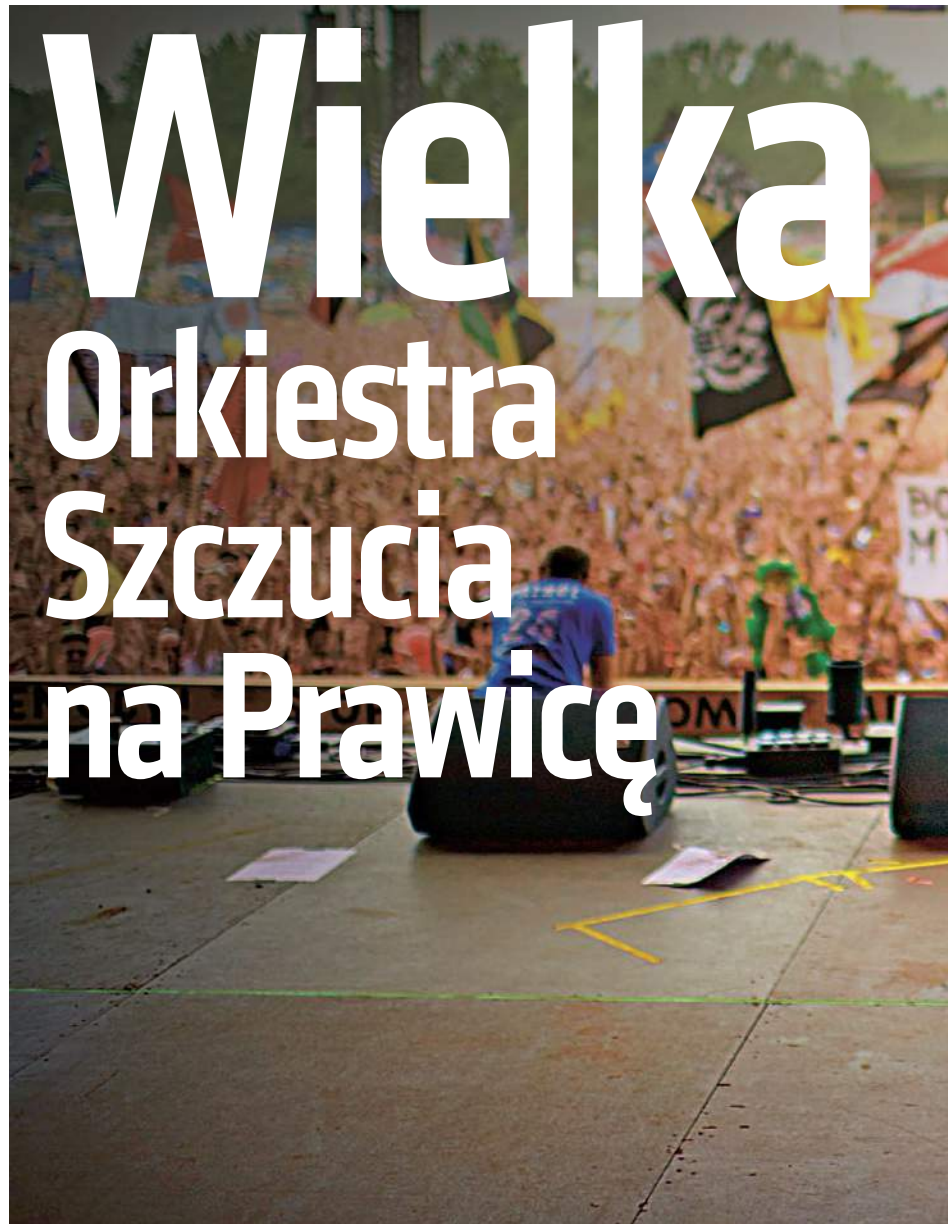

Jerzy Owsiak rozpoczął nową misję. WOŚP wyraźnie dołącza do „obywatelskiej" koalicji na rzecz odsunięcia od władzy Prawa i Sprawiedliwości

Nie wp...aj się w nasze życie z butami, nie mów mi, k..., że tu jest jakieś ryzyko – bo kłamiesz, kłamiesz, kłamiesz!" – wykrzykuje ekstatycznie ze sceny schrypnięty Jerzy Owsiak, otoczony tłumem podrygujących transowo w rytm mocnej rockowej muzyki młodych ludzi, niczym szaman przewodzący jakimś plemiennym rytuałom. Polityka, przeciw któremu kieruje tę pełną wulgaryzmów inkantację, nie wymienia z nazwiska, ale dla wszystkich jest oczywiste, że chodzi o Mariusza Błaszczaka, wówczas ministra spraw wewnętrznych w rządzie PiS.

Nagranie z finału Przystanku Woodstock 2017 dostępne było w sieci od dawna, ale dopiero tragedia w Gdańsku uczyniła jego cytowany wyżej fragment wielokrotnie odtwarzanym i udostępnianym hitem mediów społecznościowych. Kilka tygodni przed festiwalem minister Błaszczak uznał Przystanek za „imprezę podwyższonego ryzyka" i zażądał od fundacji WOŚP dodatkowych działań służących zabezpieczeniu porządku. To właśnie wywołało graniczącą z furią reakcję Owsiaka i jego wyznawców oraz sekundujących im mediów. Bez jakiejkolwiek próby wysłuchania argumentów ministra okrzyknięto go wrogiem Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy i uczyniono celem nienawistnej kampanii, której obelgi miotane przez Owsiaka z roztańczonej sceny stanowiły ukoronowanie.

Niewątpliwe zwycięstwo odniesione wtedy przez szefa WOŚP nad ministrem brzmi dziś zupełnie inaczej, kiedy uświadomimy sobie, że panująca od lat beztroska przy organizowaniu przez WOŚP masowych imprez, jej programowe wręcz łamanie wszystkich przepisów i zasad bezpieczeństwa były warunkiem sine qua non zbrodni dokonanej przez Stefana W. Gdyby gdański finał WOŚP nie został dla uproszczenia zarejestrowany jako „zajęcie pasa ruchu", a nie impreza masowa, którą w istocie był, gdyby ochrona wynajęta „po taniości" nie była fikcją, gdyby należycie chroniono scenę, sprawdzano identyfikatory, przeszukiwano uczestników (wniesienie ponad 30-centymetrowego, ciężkiego noża na zwykłą imprezę sportową czy koncert chroniony zgodnie z przepisami nie powinno się udać). Słowem, gdyby nie owo narzucone przez Owsiaka poczucie, że tu, na naszej scenie, w naszej wielkiej wspaniałej rodzinie, którą stanowi WOŚP, nie ma i być nie może żadnego ryzyka, a pytanie o bezpieczeństwo to tylko PiS-owskie czepianie się i szkodnictwo, Paweł Adamowicz mógłby nadal żyć.

@

Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy bardzo krótko była spontaniczną, oddolną akcją muzyków i fanów rocka zbierających pieniądze na leczenie chorych dzieci. Elity rządzące III RP szybko odkryły jej wspólnototwórczy potencjał i wystąpiły ze wsparciem, które, chętnie przyjęte, przekształciło doroczne finały WOŚP w państwowy festyn z udziałem władz i elit, kojarzący się z gierkowskimi „turniejami miast".

Koncerty w dniu finału zaczęły organizować jednostki administracji i samorządu z funduszy pochodzących od podatników, a zakładanie sztabów w szkołach wytworzyło swoisty niepisany przymus uczestnictwa w zbiórce wszystkich dzieci, tak jak za czasów PRL w formalnie dobrowolnych „pracach społecznych"; szczególnie że punkty za WOŚP poprawiają ocenę ze sprawowania. Oczywiście największym beneficjentem WOŚP była państwowa

eprasa.pl d95acbd8fa

FOT. SZYMON AKSIENIONEK/REPORTER

telewizja, która zyskiwała atrakcyjny dla widzów „kontent" na cały dzień – to z kolei narzuciło dramaturgię publicznego zwożenia i liczenia w studiu pieniędzy, niczym w sławnym teledysku grupy Genesis „Jesus he knows me", oraz przymus corocznego ustanawiania kolejnych rekordów.

Aby móc je stale bić, od pewnego momentu Owsiak otworzył swą akcję na przekaz reklamowy. Serduszka z logo orkiestry pojawiły na pudełkach proszku do prania i wszelkich możliwych produktów, a sam Owsiak – w kolejnych reklamach. Stałym biznesowym partnerem WOŚP stały się jedna z telefonii komórkowych oraz bank, należący do głównych graczy na rynku kart płatniczych. Fundacja w dorocznych rozliczeniach nigdy nie ujawniła, jaka część rekordowych wpływów pochodzi od podobnych wielkich reklamodawców, a jaka z datków wrzucanych do puszek przez przechodniów.

Wszelką krytykę zawsze znosił Owsiak bardzo źle. Fakt, że Orkiestra kupuje sprzęt dla szpitali, często ratujący życie i nieodmiennie chwalony przez lekarzy, ucina od lat wszelkie dyskusje. I choć zaangażowanie w zbiórkę państwa i bogatych reklamodawców sprawia, że tak naprawdę sponsorujemy WOŚP wszyscy, czy to jako podatnicy, czy jako konsumenci, wątpliwości nieodmiennie tłumione są demagogicznym argumentem, że komu się nie podoba, niech nie korzysta ze wspieranej przez Owsiaka służby zdrowia i umiera.

Owsiak ma niewątpliwie rację, że nic podobnego do jego akcji nie funkcjonuje nigdzie indziej na świecie – pytanie, czy to powód do chwały, czy raczej dowód naszej nienormalności, nawyku działania wielkimi, stadnymi zrywami, po których zapadamy w roczny letarg? Nie ma tu miejsca na analizę fenomenu WOŚP, faktem niewątpliwym jest, że sukces Owsiaka uczynił go „brandem" niezwykle pożądanym nie tylko dla reklamodawców, lecz także dla polityki. WOŚP został wpisany w ustrojowy porządek państwa ustanowionego przy Okrągłym Stole jako element afirmacji jego „historycznego sukcesu", całego porządku i hierarchii społecznej.

Sam Owsiak nie ukrywał nigdy, że politycznie całkowicie identyfikuje się z obozem Okrągłego Stołu, choć w czasach, gdy dominacja tego obozu wydawała się zapewniona na zawsze, a inaczej myślącym wróżono, iż „wyginą jak dinozaury", nie obnosił się z tym. Wystarczało, że swą obecnością uświetniał i uwiarygadniał salony III RP i że na swój Przystanek Woodstock zapraszał wyłącznie samą śmietankę salonu i władzy III RP. Przez 27 lat nigdy nie dopuścił, aby do zwoływanej przez niego młodzieży mógł przemówić ktoś, kto „zdeprawowałby" ją bodaj odrobiną krytycyzmu wobec jedynie słusznej wizji „największego sukcesu w dziejach Polaków".

Czyniło to oczywiście i WOŚP, i jej twórcę obiektem podejrzliwości, czasem wyraźnej niechęci środowisk tradycjonalistycznych, patriotycznych oraz katolickich, kontestujących umowę z Magdalenki i oparte na niej hierarchie. Przez wiele lat tylko przydawało to Owsiakowi chwały na salonach. Do ostatniej chwili uważano tam przecież, że prędzej przejechano by ciężarną zakonnicę na pasach…

Rok 2015, gdy niemożliwe stało się faktem, był przełomem – i w dziejach WOŚP, i samego Owsiaka.

@

Chociaż dla mniej uważnego obserwatora ten przełom zauważalny stał się dopiero teraz. Dopiero tragedia w Gdańsku, sposób, w jaki ją medialnie wykorzystał, wydobyła z Owsiaka i pokazała wszystkim coś, co okazało się trudne do zaakceptowania nawet dla jego zwolenników. Ostrożnie, gryząc się w język i dobierając słowa, skrytykowali jego zachowanie nawet pojedynczy dziennikarze „Polityki", „Gazety Wyborczej" czy serwisu Natemat.pl.

Reakcja szefa WOŚP na pierwsze wiadomości o ataku nożownika na prezydenta Gdańska była w istocie zdumiewająca. Ledwie wspomniawszy o samym Adamowiczu, jednoznacznie dał wyraz przekonaniu, że

eprasa.pl d95acbd8fa

właściwym obiektem nienawiści i ataku jest on sam oraz jego Orkiestra. Kiedy śmiertelnie rannego Pawła Adamowicza reanimowano na scenie, Owsiak żalił się na państwową telewizję, obsesyjnie wracając do pokazania tam swojej plastelinowej karykatury, wzywał, by się tej nienawiści wrogów orkiestry nie poddawać, i w końcu zakomenderował: „Gramy, bawimy się dalej, bez focha!". Decyzja o tym, by choćby symbolicznie nie przerwać zabawy (i tak już się kończącej) nasuwała podejrzenie, że „Jurkowi" zwyczajnie nie powiedziano, co naprawdę zdarzyło się na gdańskim finale.

Następny dzień rozwiał jednak wątpliwości. Kilkadziesiąt minut po podaniu wiadomości o śmierci Pawła Adamowicza Owsiak powtórzył te same żale i apele, co dzień wcześniej, znowu poświęcił dużo czasu filipikom przeciwko satyrycznym „plastusiom" w TVP Info, posuwając się do absurdalnego stwierdzenia, że gdy zobaczył ten program, „poczuł się jak więzień w Auschwitz" – w końcu oznajmił, że wobec tej fali nienawiści rezygnuje z dalszego kierowania fundacją.

Wywołało to oczywiście zalew publicznych błagań, by nie odchodził, nie uginał się przed „hejtem". Żałoba po zamordowanym polityku w dziwny sposób stała się zarazem kampanią na rzecz Owsiaka, potępienie dla jego mordercy – potępieniem dla krytykującej Orkiestrę „złej", prawicowej części Polski. Media społecznościowe obiegło charakterystyczne zdjęcie ze Żnina, gdzie nad żałobnymi zniczami, ustawianymi spontanicznie w kształt serca, będącego logo WOŚP, góruje transparent z dwoma fotografiami – po lewej zamordowanego Adamowicza, po prawej Owsiaka, z hashtagiem „Murem za Owsiakiem".

„Jurek" nie dał się długo prosić: na ogłoszenie decyzji o powrocie do fundacji wybrał dzień pogrzebu Adamowicza. Na dodatek część internautów dowiedziała się o tej decyzji od prezydenta Wrocławia, który opatrzył wpis zdjęciem obu panów w grupie szeroko uśmiechniętych, wręcz rozradowanych znajomych, podpisanym jako chwila postoju na stacji benzynowej podczas wspólnego powrotu z pogrzebu.

@

Jak rozumieć zachowanie Owsiaka? Najbardziej mu niechętni oskarżają go wręcz o cyniczną, uprzedzającą sformułowanie zarzutów próbę wyparcia odpowiedzialności za skutki notorycznego lekceważenia zasad bezpieczeństwa. Istotnie, w tej kwestii Owsiak nie ma sobie nic do zarzucenia. W wywiadzie telewizyjnym nazajutrz po pogrzebie – rozwodząc się nad swoimi stanami emocjonalnymi, nad tym, jak płakał wraz z milionami innych i jak poczuł powrót sił, kiedy tylu ludzi prosiło go o zmianę decyzji – powtórzył, acz w spokojniejszych słowach, to samo co na przywołanym na wstępie finale Przystanku Woodstock 2017: na koncertach WOŚP „czuć przyjaźń", to miejsca wyjątkowe, wolne od zła, nigdy przez 26 lat nie zdarzyło się, aż do tragedii w Gdańsku, żadne nieszczęście, nie ma potrzeby nic zmieniać.

Argument „zawsze tak było i dotąd nic się nie stało" dla jednych jest kwintesencją beztroskiej nieodpowiedzialności, „tupolewizmu" – dla innych, w tym samego szefa WOŚP, dowodem, że przyczyny tragedii trzeba szukać gdzie indziej: a mianowicie w „nienawiści" do WOŚP. A choć WOŚP bywała krytykowana z różnych stron (np. ostro podsumował ją niedawno Łukasz Fołtyn, twórca komunikatora Gadu-Gadu), Owsiak nienawiści tej szuka i znajduje ją wyłącznie po przeciwnej mu stronie sceny politycznej i w mediach z nią sympatyzujących. Szczególnie w TVP. I tu za każdym razem obsesyjnie wraca do plastelinowej kukiełki w TVP Info, zapowiadając nie tylko skargę do KRRiT, lecz także proces sądowy (trudno sobie doprawdy wyobrazić, na jakim zarzucie oparty).

Nic z tego, co wiemy o tragedii, nie wskazuje, by morderca Adamowicza miał w ogóle jakiś stosunek emocjonalny do WOŚP i Owsiaka. O „torturowanie go w więzieniu" obwiniał PO. To, że dokonał zbrodni właśnie na tej scenie, zdaje się wynikać wyłącznie z tego, iż znalazł tam idealną okazję, by dokonać swego czynu w sposób zarazem łatwy, jak i spektakularny, przed liczną publicznością oraz kamerami.

W upieraniu się, że Stefanem W. nie kierowała, wbrew jego własnym słowom, nienawiść do Owsiaka i WOŚP, a zatem, że przyczyn tragedii szukać należy w atakach na WOŚP, z telewizyjnym plastusiem na czele, trudno dopatrzyć się racjonalności. Silna jest więc pokusa, żeby zachowanie Owsiaka tłumaczyć jego problemami, nazwijmy to, osobowościowymi.

Dla obserwujących jego poczynania uważniej nie ma tu zaskoczenia. W ostatnich latach – tu właśnie cezurą wydaje się podwójna klęska wyborcza partii

Bezpieczeństwo na imprezach Owsiaka

Po zabójstwie prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, do którego doszło podczas tamtejszego finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, przybywa pytań o to, czy organizatorzy imprezy – w tym wypadku Regionalne Centrum Wolontariatu w Gdańsku – w sposób właściwy zadbali o bezpieczeństwo jej uczestników.

Tymczasem od lat pojawiają się poważne zastrzeżenia dotyczące kwestii bezpieczeństwa uczestników innej z imprez firmowanych przez Jerzego Owsiaka – rockowego festiwalu Przystanek Woodstock (od 2018 r. pod nazwą Pol'and'Rock Festival) organizowanego przez fundację Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy.

W 2011 r. muzycy popularnego zespołu Prodigy odmówili występu, gdy dowiedzieli się, że scena, na której mają wystąpić, nie jest ograniczona barierkami chroniącymi publiczność. W ostatniej chwili organizatorzy zamontowali barierki, a zespół koncert zagrał. Muzycy nie szczędzili jednak ostrych słów organizatorom: „Przystanek Woodstock jest jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc, które odwiedziłem podczas mojej 25-letniej pracy" – napisał na stronie internetowej zespołu John Fairs, menedżer Prodigy. Dodał też, że przestrzega innych artystów przed udziałem w festiwalu Owsiaka, bo „może być on tragiczny w skutkach". Zespół stał się obiektem zmasowanej kampanii hejtu ze strony fanów Owsiaka.

W 2016 r. wojewoda lubuski Władysław Dajczak po wniosku policji uznał, że bezpieczeństwo uczestników rockowego festiwalu może być zagrożone, a Przystanek Woodstock organizowany w Kostrzynie otrzymał status imprezy podwyższonego ryzyka dla bezpieczeństwa jego uczestników.

Rok później policja również wskazała na poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa uczestników festiwalu i na jej wniosek uznano go za imprezę podwyższonego ryzyka. W tym samym roku doszło do przepychanek na festiwalowej scenie, przerwano koncert szwedzkiego zespołu Mando Diao, a muzycy wydali oświadczenie, w którym poinformowali, że stali się ofiarami fizycznej agresji. Napastnikiem miał być... dyrektor festiwalu. W 2018 r. Owsiak i jego ludzie zmienili nazwę imprezy na Pol'and'Rock Festiwal, ale zastrzeżenia policji co do bezpieczeństwa uczestników festiwalu pojawiły się ponownie.

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl d95acbd8fa

liberalnych salonów w 2015 r. – Owsiak zachowywał się coraz bardziej aberracyjnie. Człowiek otoczony od ćwierć wieku bezprzykładnym uwielbieniem od dawna skupia się na skrzętnym kolekcjonowaniu głosów krytycznych i obelg pod swoim adresem oraz skrupulatnym odnotowywaniu ich na forum publicznym. Gdy skrytykowała go telewizja Republika, nagrał kilkunastominutowy program parodiujący ją jako „telewizję Pe-Publika", gdzie występował w masce konia i mówił rzeczy, delikatnie mówiąc, dziwne i mało zrozumiałe (tu warto odnotować, że parodie przy użyciu masek nie są nienawiścią, w przeciwieństwie do tych z kukiełkami). Kazał też ochroniarzom wyrzucić Michała Rachonia z konferencji prasowej WOŚP. Kiedy indziej przed kamerami zaczął chodzić na czworakach po stole, szukając „słoika z pieniędzmi", co było nawiązaniem do jakiegoś niechętnego mu wpisu zamieszczonego anonimowo w Internecie.

Odkąd nowa władza ograniczyła zaangażowanie środków publicznych w finały WOŚP, jej szef zaczął też coraz ostrzej agitować przeciwko niej. Wprawdzie i wcześniej dawał wyraz swej niechęci do Kościoła i szeroko rozumianej prawicy (Sławomira Cenckiewicza straszył po knajacku „przyłożeniem z baszki" za pisanie o agenturalnej przeszłości Wałęsy etc.), ale po utracie władzy przez jego politycznych przyjaciół emocjonalne zaangażowanie szefa WOŚP zaczęło zauważalnie wzrastać.

Trudno nie zauważyć, że Owsiak żywi autentyczne przekonanie, iż jest człowiekiem szczególnie krzywdzonym, nienawidzonym, prześladowanym. Zdaniem niektórych bardzo źle zniósł przegraną w procesie, który sam wytoczył blogerowi znanemu jako Matka Kurka. A przecież przegrał niejako na własne życzenie, odmawiając udostępnienia zażądanej przez sąd dokumentacji przepływów finansowych pomiędzy WOŚP a należącą do Owsiaka firmą Złoty Melon. Jego reakcje na tę przegraną wydają się identyczne jak reakcja Wałęsy na wyrok nakazujący mu przeproszenie Kaczyńskiego i podobne do słów wypowiedzianych wtedy przez byłego prezydenta: „Sąd, zamiast przyznać mi rację, zażądał dowodów!".

@

Podobieństwo zachowań Owsiaka do Wałęsy jest naprawdę uderzające i może być kluczem do zrozumienia sytuacji. Obu panów łączy subiektywne poczucie krzywdy i niedocenienia, obaj przejawiają ten psychiczny przymus, by „być panną młodą na każdym weselu i nieboszczykiem na każdym pogrzebie", i obaj winią za swe problemy PiS, Rydzyka, Kościół i prawicę. W wypadku Wałęsy te cechy jego osobowości wykorzystał Donald Tusk w czasach swych rządów, umiejętnie łechcąc ogromne ego byłego prezydenta i skutecznie używając go do swych celów.

Po pogrzebie Adamowicza wydaje się pewne, że w podobny sposób zamierza użyć PO Owsiaka – kiedy on sam mówi o ataku nienawiści na WOŚP, może to być odruchem megalomanii, ale kiedy podchwytują to wspierające PO media, to widać, że ktoś podjął decyzję o przyjęciu takiej propagandowej narracji. Widać też, że sam Owsiak chętnie w niej uczestniczy.

Owsiak bowiem to nie tylko celebryta, który może dodać do aktywów totalnej opozycji swoją popularność i autorytet. W pewnym sensie to ktoś od Wałęsy ważniejszy: guru stanowiącej trzon jego wyznawców sekty, którą cechują fanatyczne oddanie „Jurkowi" i chorobliwa, niepowstrzymana nienawiść do prawicy.

Jeszcze za rządów PO streszczał tę postawę publicysta „Polityki" prof. Jan Hartman: finał WOŚP „to jedyne suwerenne święto narodu polskiego, bez ani skrawka miejsca dla dziękczynień, mszy, kadzidła i Jana Pawła II". Wystarczy pobieżna lektura komentarzy na profilach związanych z WOŚP i forach internetowych, by stwierdzić, że te słowa doskonale oddają motywację najbardziej aktywnych wyznawców Owsiaka. Podobnie jak pointujące cytowany wywód: „Daję na orkiestrę, żeby nie dawać Kościołowi".

Może nie jest ich wielu w porównaniu z „miękkimi" zwolennikami, którzy co roku rzucają datki do puszek i gniewnie zagłuszają wszelkie wątpliwości argumentem: „A co ty zrobiłeś dla chorych dzieci, żeby krytykować kogoś takiego?!" – ale są niezwykle aktywni i jako tacy stanowią trzon kultu „Jurka". Z kont opatrzonych awatarami z serduszkiem WOŚP wychodzą masowo najbardziej agresywne i nienawistne wpisy, atakujące obóz władzy, poniżające osoby kojarzone z PiS i mediami publicznymi, szydzące z „wielkiego pedofila" Jana Pawła II. Porażającym przykładem może być to, co na profilu WOŚP wylewane jest na Barbarę Pielę, autorkę telewizyjnych „plastusiów", po tym, jak stała się obiektem nieustających ataków Owsiaka. Dosłownie tysiące obrzydliwych wpisów w tonie: „Żebyś zdechła, k…", „Dorwiemy cię i za… my" etc. I nad tym wszystkim kuriozalnie wzniosłe, świętoszkowate podziękowanie samego Owsiaka, który bynajmniej nie próbuje powściągać swych wyznawców, przeciwnie, podbija im bębenka, oznajmiając: „Jesteście wspaniali, to, że tylu was broni mnie przed nienawiścią, przywraca mi wiarę w sens wszystkiego".

WOŚP nabiera wskutek tego wszystkiego szczególnych cech. Oto akcja charytatywna prowadzona nie tyle po to, by pomóc potrzebującym, ile po to, by wzniosłością sprawy, jaką jest taka pomoc, udowodnić swą wyższość nad politycznymi wrogami. Zbiórka prowadzona na złość władzy, popieranej przez mniej więcej połowę aktywnych politycznie Polaków, zastępcza religia, mająca równoważyć prawicowe „msze, kadzidła i Jana Pawła II", i ersatz politycznego programu, którego nie jest w stanie przeciwstawić rządzącym skłócona i nieudolna totalna opozycja.

Nie wydaje się, aby Owsiak mógł zawrócić z tej drogi. Zresztą nie wydaje się, żeby miał ochotę. Wchodząc na najwyższy moralny diapazon walki z „reżimem", który za pomocą swej telewizji „wyprał mózg" mordercy i popchnął go do zbrodni, wpisał się już jednoznacznie i definitywnie w propagandową narrację PO. Czy na tyle skutecznie, aby nadać antypisowskiej kampanii nową energię i poszerzyć stan posiadania totalnej opozycji – okaże się niebawem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Statystyki bezpieczeństwa na Przystanku Woodstock:

Przystanek Woodstock – Kostrzyn nad Odrą – 2016:
- 220 przestępstw, w tym: 2 gwałty, 4 kradzieże pojazdów, 1 rozbój, 136 przestępstw narkotykowych

Przystanek Woodstock – Kostrzyn nad Odrą – 2017:
- 153 przestępstwa, w tym: 1 zgwałcenie, 1 usiłowanie zgwałcenia, 1 ciężkie uszkodzenie ciała, 1 rozbój, 73 przestępstwa narkotykowe

Po'and'Rock Festival – Kostrzyn nad Odrą – 2018 rok:
- 213 przestępstwa w tym: 5 przypadków gwałtów, 2 rozboje, 1 pozbawienie wolności, 50 przypadków kradzieży, 141 przestępstw narkotykowych.

(ww)

eprasa.pl d95acbd8fa

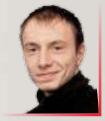

Z Joanną Lichocką, posłanką PiS, członkinią Rady Mediów Narodowych
rozmawia Maciej Pieczyński

Uderzenie w państwo

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czy na wieść o ataku na Pawła Adamowicza przyszło pani na myśl coś w stylu: „Teraz to już na pewno przegramy wybory"?

JOANNA LICHOCKA: Oczywiście, że nie. W ogóle nie myślałam w tych kategoriach, byłam wstrząśnięta tym, co się stało. Zbrodnia w Gdańsku to pierwszy przypadek w Polsce po 1989 r., kiedy zamordowano urzędnika państwowego podczas pełnienia obowiązków publicznych, przed obiektywami kamer, w obecności tłumu ludzi. Trzeba wyjaśnić wszystkie okoliczności tej tragedii, ponieważ to nie tylko dramat Pawła Adamowicza i jego bliskich, lecz także uderzenie w państwo. To przychodziło na myśl – czy to atak szaleńca, czy też mogło się zdarzyć tak, że ktoś zlecił zamordowanie urzędnika państwowego? Szokiem był też kontrast sytuacyjny – do barbarzyńskiego czynu doszło podczas wielkiej imprezy charytatywnej.

Antypisowskie media sugerują albo piszą wprost, że mieliśmy do czynienia z „mordem politycznym", spowodowanym przez „mowę nienawiści" ze strony PiS i TVP.

Platforma zaczęła forsować tę narrację bardzo szybko, jeszcze przed pogrzebem prezydenta Adamowicza. Myślę, że wszyscy z ogromnym smutkiem obserwujemy, jak politycy opozycji próbują tą tragedią grać politycznie. Nikt, kto zna okoliczności mordu w Gdańsku, nie może przy zdrowych zmysłach twierdzić, że ta narracja opozycji ma jakiekolwiek uzasadnienie w rzeczywistości. Ma niestety uzasadnienie w ich taktyce politycznej – te absurdalne insynuacje to część brudnej kampanii, po którą PO sięga nie po raz pierwszy. To strategia polegająca na próbie całkowitego zdeprecjonowania przeciwnika politycznego, odbieraniu mu moralnych, obywatelskich praw. Na dobre rozpoczął to Donald Tusk po przegranych wyborach w 2005 r. Teraz mamy kolejny atak.

Stefan W. krzyczał, że morderstwo było aktem zemsty na Platformie. Łatwo więc przekonywać opinię publiczną, że to właśnie PO jest obiektem coraz brutalniejszych ataków.

Według raportu przygotowanego przez Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego wyborcy partii opozycyjnych są o tym przekonani – że są brutalnie atakowani. Wynika z nich też, że znacznie bardziej nienawidzą zwolenników PiS niż wyborcy PiS ludzi opozycji. Te badania pokazują na kilku polach, że wyborcy opozycji są skutecznie stymulowani do nienawiści wobec PiS. Zatem przemysł pogardy odnosi sukcesy – nienawiść – jak wiadomo – zaślepia, żadne merytoryczne argumenty z nią nie wygrają. Być może to dlatego PO nie sili się na żaden program – uważa, że wystarczy im do utrzymania wyborców wpajanie nienawiści do PiS.

Mogą dotrzeć do większości?

Nie sądzę. Nie wszyscy są na to podatni. Nie wierzę, by PO udało się dzięki temu poszerzyć elektorat. Polacy mają tego dosyć – dzielenia wspólnoty, szczucia, wylewanych pomyj. Chcą czegoś zupełnie innego – by uczynić nasze życie publiczne lepszym, debatę spokojniejszą, by jej uczestnicy okazywali więcej szacunku sobie. To było wyraźnie widać po morderstwie w Gdańsku. Zgadzam się z tym, że należy walczyć z mową nienawiści, nie mam złudzeń, że walcząca o powrót do władzy PO z niej zrezygnuje, ale nie wierzę, by dzięki temu odniosła sukces. I odpowiadając na pana pierwsze pytanie – nie, nie obawiam się, że PiS przegra wybory.

Politycy PO w ramach walki z „mową nienawiści" rozpoczęli bojkot TVP. Rozumie pani taką postawę?

Nie, bo nie widzę dla tego żadnego uzasadnienia. Owszem, w telewizji publicznej zdarzają się błędy, zwykle szybko wyciągane są potem konsekwencje i nie ma mowy o nienawiści czy pogardzie. Można je znaleźć w innych stacjach, których

eprasa.pl d95acbd8fa

jednak PO nie bojkotuje, bo wypełniają jej narrację. Wiem oczywiście, że zapyta pan zaraz o wyemitowany w „Wiadomościach" po śmierci Pawła Adamowicza materiał, przedstawiający mowę nienawiści w wykonaniu przedstawicieli tylko jednej strony politycznego sporu. Przyznaję, w całym rzetelnym wydaniu „Wiadomości" tego dnia ten jeden materiał nie był dobry.

Gdyby to od pani zależało, to jakie przykłady nagannych wypowiedzi polityków PiS znalazłyby się w takim materiale? Może jakiś rachunek sumienia?

Jeśli chodzi o mnie, to nie pamiętam, bym formułowała wypowiedzi skrajnie niegrzeczne, dehumanizujące przeciwnika. Najostrzejsze oskarżenia wysuwałam pod adresem Donalda Tuska – pisałam o nim w kontekście zdrady polskiej racji stanu. Szczerze mówiąc, uważam do dziś, że jego zachowanie zaraz przed katastrofą smoleńską i po niej uzasadniało taką ocenę. Nie byłam w tym i nie jestem odosobniona.

To bardzo poważne oskarżenie. Zdrada stanu jest kategorią prawną, niebezpieczne jest szermowanie tym pojęciem, szczególnie jeśli przy okazji potępia się mowę nienawiści.

Nie użyłam tego określenia w znaczeniu prawnym, ale potocznym. Ale tak, generalnie zgadzam się z panem, trzeba uważać na słowa, nie szermować łatwo oskarżeniami.

Czy emocjonalne wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego, w którym użył określeń takich jak „zdradzieckie mordy" i „kanalie", to nie jest mowa nienawiści?

Pamięta pan, w jakiej sytuacji one padły? Politycy PO krzyczeli z ław sejmowych do Jarosława Kaczyńskiego: „Zadzwoń do brata!". Ma pan dobre słowo, które adekwatnie określi ich oraz ich zachowanie? Bo ja delikatniejszych, niż użył prezes Jarosław Kaczyński, nie mam.

To w takim razie, jakie wypowiedzi polityków PiS pani, w ramach rachunku sumienia, zakwalifikowałaby jako mowę nienawiści?

Powinny być pokazane wypowiedzi wywołujące również negatywne emocje lub też kierujące się nienawiścią z innych stron politycznego sporu, bo one zdarzają się wszędzie, choć nie ma w tym symetrii.

Jest pani wymieniana wśród potencjalnych następców Jacka Kurskiego. Gdyby Joanna Lichocka została prezesem TVP, co by zmieniła w przekazie stacji?

Proszę wybaczyć – nie odpowiem na tak postawione pytanie nie tylko dlatego, że nie szykuję się dziś do objęcia posady prezesa TVP. Przypomnę, że prezes Jacek Kurski do końca kadencji ma jeszcze rok. Także dlatego, że nie zamierzam, jakimkolwiek gdybaniem dokładać się do zmasowanego hejtu, który nieustannie wylewa się na telewizję publiczną. Abstrahując od ewentualnych błędów, które mogą zdarzyć się wszędzie, mamy do czynienia z bezpardonowym atakiem, zaszczuwaniem dziennikarzy. Czytam, że to przez to Krzysztof Ziemiec musiał wziąć urlop – ten hejt jest tak silny. Dziwię się, że przyzwoici dziennikarze konkurencyjnych stacji i innych tytułów nie stają w obronie swoich kolegów. Naprawdę trzeba powiedzieć: „Nie pozwalam!". Mamy do czynienia z drastyczną próbą ograniczania wolności słowa i bezpardonowym atakiem na dziennikarzy. Możemy dyskutować o pozycji dziennikarzy, narzucaniu linii przez kierownictwa redakcji, warunkach zachowania dziennikarskiej niezależności, które zresztą dzięki zmianom w prawie prasowym wzmocniliśmy, ale to rozmowa na temat stanu polskiego dziennikarstwa w ogóle – i jest to temat wielki.

Wielu komentatorów uważa jednak, że przekaz TVP jest jednoznaczny.

Przekaz TVP równoważy rynek opinii i informacji w Polsce. W innych stacjach mamy do czynienia z jednostronnością przekazu promującego propagandę opozycji. Niekiedy łączy się to wprost ze zwykłym chamstwem – jak w niektórych audycjach Superstacji, ale nie zauważyłam, by tropiący „mowę nienawiści" w mediach raczyli to zauważać. Jest tak, jak mawiał pan Zagłoba: „Diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni".

Zdaniem części komentatorów mord na Adamowiczu ostatecznie mógł skłonić szefa Rady Europejskiej, by wrócić do krajowej polityki.

Niezależnie od tej tragedii Donald Tusk zapewne musi rozważać powrót do Polski. A to dlatego, że wraz z utratą wpływów przez Angelę Merkel traci protektora, nie wiadomo, czy może jeszcze liczyć w przyszłości na eksponowane stanowisko w strukturach UE. Może więc wrócić do Polski, bo w Brukseli nie będzie już dla niego roboty.

Może jednak wrócić na białym koniu, a nie w worze pokutnym. I pokonać PiS.

Widzę, że ma pan wizje komiczne niczym okładka „Newsweeka". Patrząc realistycznie, trudno uwierzyć, by Polacy jeszcze raz dali się nabrać Tuskowi. Po tylu kłamstwach, złych słowach, większość naszych rodaków chyba dobrze czuje, że jego powrót niczego dobrego Polsce nie przyniesie. Ci, którzy dziś tak liczą na Donalda Tuska, mogą się więc srodze zawieść. Jeśli ktoś może zaskoczyć w polskiej polityce jakimś zwrotem akcji, to prędzej będzie to Robert Biedroń, który może zmniejszyć część reprezentacji w sejmie Kukiz'15, Nowoczesnej i PO. Dla nas tymczasem najważniejsze jest przekonanie Polaków, że ciężko dla nich pracując, proponując kolejne zmiany i je realizując, dajemy gwarancję, że warto na nas głosować, że dla Polski najlepszym rozwiązaniem będzie kolejna kadencja rządów PiS.

Jarosław Kaczyński spóźnił się na minutę ciszy poświęconą Pawłowi Adamowiczowi. Tłumaczenie, że to przypadek, nie brzmi wiarygodnie.

Ale to był przypadek. Tak czasem się zdarza, że prezes Kaczyński lub inni politycy przychodzą na salę sejmową kilka minut po rozpoczęciu obrad. Nie ma w tym żadnej gry.

Za to niewystawienie własnego kandydata w wyborach na prezydenta Gdańska to, wydawałoby się, szlachetny gest. A i tak niektórzy twierdzą, że to zimna polityczna kalkulacja, bo PiS i tak przegrałby sromotnie.

To nasz dowód szacunku dla gdańszczan, dla ich wyboru politycznego. W najmniejszym stopniu nie mamy zamiaru gdańskiej tragedii rozgrywać politycznie – zupełnie inaczej, niż robiła to PO w 2010 r., pospiesznie zajmując miejsca osób, które zginęły w Smoleńsku. Uważamy, że z tego wielkiego nieszczęścia trzeba wyciągnąć wnioski i zrobić wszystko, aby zasypać podziały dzielące Polaków.

Wojciech Sadurski proponuje, by organizować „miesięcznice" śmierci Adamowicza. Czy totalna opozycja wreszcie dorobiła się „swojego Smoleńska"?

Jeżeli w tym środowisku panuje szczera potrzeba szczególnego upamiętnienia tej okropnej zbrodni, to nie widzę w tym nic zdrożnego. Mord w Gdańsku był uderzeniem w całą naszą wspólnotę, w państwo polskie. Jeżeli pan prof. Sadurski chce co miesiąc czcić pamięć śp. prezydenta Gdańska, modlić się za jego duszę i wyjaśnienie okoliczności śmierci – ma do tego prawo. Z całą pewnością ani ja, ani nikt z obozu dobrej zmiany, nie będzie tego nazywał „seansami nienawiści", „wyznawaniem religii". Pamięć o tej szokującej tragedii należy uszanować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Co można powiedzieć

Łukasz Warzecha

Po gdańskiej tragedii znów wraca niebezpieczna kwestia zagrażająca wolności słowa. Czym jest „mowa nienawiści”?

Ciche polityczne kalkulacje po zabójstwie Pawła Adamowicza zostały chwilowo zawieszone. Nie dlatego, że tak wypadało, ale dlatego, że to wydarzenie do tego stopnia bezprecedensowe, iż nie sposób na razie przewidzieć w pełni jego wpływu na wyborców. Chwilowo mamy więc do czynienia z wątkami niejako zastępczymi, dotyczącymi walki z „mową nienawiści” oraz zmartwychwstaniem św. Jurasa w roli prezesa fundacji WOŚP pod wpływem żądań niepocieszonego ludu owsiakowego.

Jednego możemy być pewni: o ile faktycznie wewnątrz PiS rozważany był wariant przyspieszonych wyborów – jakkolwiek ryzykowny i mało prawdopodobny – gdańska tragedia utrąciła go na dobre. Nie ma tu znaczenia, czy obiektywnie rzecz biorąc, partia rządząca w minimalnym choćby stopniu przyczyniła się do zbrodni popełnionej przez Stefana W. czy nie. Ważne, że emocje nią wzbudzone będą najżywsze w najbliższych miesiącach i nie są to emocje korzystne dla PiS.

SPÓR W PIS

Inne kwestie pozostają otwarte. W Prawie i Sprawiedliwości wyraźnie widać starcie dwóch od dawna spierających się ze sobą frakcji. Symbolicznie ich postawy po Gdańsku definiują dwie wypowiedzi. Z jednej strony mieliśmy wystąpienie premiera Mateusza Morawieckiego w Wierzchosławicach, podczas którego szef rządu powiedział: „Niech to, co się stało, będzie momentem przełomu” i apelował o obniżenie temperatury sporu. Z drugiej był tweet rzeczniczki klubu PiS Beaty Mazurek: „W obliczu ludzkiej tragedii PiS zachował się, jak trzeba. Niestety, totalna opozycja i część mediów wykorzystały to nieszczęście jako kampanię wyborczą do politycznych ataków na Zjednoczoną Prawicę. Nie będziemy bierni na supozycje, kłamstwa i insynuacje”.

Nie jest to, jak niektórzy mogliby uważać, przypadek gry na dwóch fortepianach. Po pierwsze dlatego, że Morawiecki i Mazurek faktycznie reprezentują przeciwne frakcje w partii, po drugie – PiS nie jest zdolny do tak wysublimowanej gry i tak dokładnego kontrolowania przekazu, co wiele razy pokazał, po trzecie – po śmierci Adamowicza nie ma miejsca na podobne meandrowanie.

Z partii rządzącej płynie więcej sygnałów pokazujących, że dalsza linia postępowania jest przedmiotem sporu. Mieliśmy głośne depesze PAP, dotyczące rzekomych zamiarów dokonania przez Stefana W. zamachu w Pałacu Prezydenckim. Podejrzany mógł oczywiście naprawdę coś takiego zeznać, ale przecież nie przypadkiem te zeznania trafiły do dziennikarzy w formie przecieku z prokuratury. Nie jest też przypadkiem,

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl d95acbd8fa

że wersja próby wdarcia się do siedziby Andrzeja Dudy została bardzo szybko i stanowczo zdementowana przez prezydenckiego rzecznika. To echa nieustającego konfliktu między jastrzębiami ze Zbigniewem Ziobrą na czele a gołębiami, w tym Mateuszem Morawieckim i Andrzejem Dudą. Warto też uważnie obserwować przebieg śledztwa w sprawie zabezpieczenia imprezy WOŚP w Gdańsku i przyglądać się, czy odłamkiem sprawy oberwie sam Jerzy Owsiak.

WSTRZEMIĘŹLIWA PLATFORMA

Gdy chodzi o twardą opozycję, nie zdecydowała jeszcze, w jakim stopniu chce przekuć tragedię w sprawę polityczną. Na razie Platforma zadowala się wojną w mediach społecznościowych, nieprowadzoną zresztą przez jej czołowych polityków, ale przez posłów z drugiego szeregu lub zwolenników obu ugrupowań, wśród których emocje wydają się być bardziej wyniszczające niż kiedykolwiek.

Grzegorz Schetyna zachowuje się wstrzemięźliwie w kwestii oskarżania PiS o sprowokowanie tragedii. Niejako zastępczo celem uderzenia stała się ściśle kontrolowana przez PiS Telewizja Polska. Z umiarem wypowiada się kandydatka na prezydenta Gdańska Aleksandra Dulkiewicz.

Zaskakująco ostro głos zabrała Magdalena Adamowicz, wdowa po prezydencie Gdańska. W rozmowie z Andrzejem Stankiewiczem, opublikowanej na portalu Onet, stwierdziła wprost: „W ostatnich latach w podobny sposób [jak Pawła Adamowicza] niszczono wielu ludzi, choćby Andrzeja Wajdę. Robiła to obecna władza, która ma instrumenty prześladowania i niszczenia ludzi". PO stoi przed dylematem – wesprzeć tak jednoznaczne oskarżenia obecnej władzy o przyczynienie się do śmierci Pawła Adamowicza czy nadal zachowywać się ostrożnie. Pójście w kierunku konfrontacji sprzyjałoby utrzymaniu mobilizacji twardego elektoratu i podtrzymywało polaryzację, ale mogłoby się okazać zniechęcające dla wyborców bardziej umiarkowanych.

Tymczasem to oni mogą jednak być celem opozycji, o ile uznała ona, że strategią na ten rok nie jest jedynie umocnienie się w opozycji po przegranych wyborach parlamentarnych i przygotowanie na kolejne cztery lata rządów PiS, ale powalczenie o koalicję, która na jesieni mogłaby przejąć władzę. To nie wydaje się nieprawdopodobne, bo dziś PiS nie może mieć żadnej pewności, że powtórzy się korzystna i nieco przypadkowa kombinacja z 2015 r., która dała mu samodzielną większość. Wygrana zaś, ale bez większości, to już całkowicie odmienna sytuacja. Okoliczności są zatem bardzo dynamiczne. Na razie wypowiedzi Magdaleny Adamowicz można odbierać w kategoriach swego rodzaju testu.

To trochę jak gra w to, kto pierwszy mrugnie. Jeśli Platforma Obywatelska zdecyduje się na grę śmiercią prezydenta Gdańska, to PiS może uznać, że musi się bronić, i pójść drogą wyznaczoną przez Beatę Mazurek. Wcale jednak nie ma pewności, czy byłby to dobry wybór, bo jeśli walka wyborcza miałaby się rozegrać o głosujących znużonych nieustającą wojną, lepszym wyborem może być konsekwentne schodzenie z linii strzału. Może nawet nadstawianie drugiego policzka.

Jeśli PO zdecyduje się na grę śmiercią prezydenta Gdańska, to PiS może uznać, że musi się bronić

PiS będzie miał też problem ze sposobem mówienia o politycznym życiorysie nie tylko Pawła Adamowicza, lecz także wdowy po nim, jeśli zdecydowałaby się wejść w politykę. Z jednej strony mielibyśmy coś w rodzaju wdowiego immunitetu, zza którego można by prowadzić polityczny atak, a z drugiej – pytanie, czy na ten atak odpowiadać i narażać się na zarzuty o nieuszanowanie żałoby. Ten sam problem dotyczy sposobu mówienia o politycznej przeszłości zamordowanego prezydenta.

WOLNOŚĆ SŁOWA

Powróciła też w Polsce kwestia walki z „mową nienawiści". Kwestia niebezpieczna, bo zagrażająca wolności słowa. Niestety, wobec momentami infantylnych emocji wolność słowa nie ma wielu twardych obrońców. Rządzący do nich nie należą. Jakkolwiek trudno sobie wyobrazić, żeby poparli postulowane przez lewicę zaostrzenie prawa, to jednak szukają jakiejś pośredniej drogi, na co wskazuje nagłe wzmożenie organów ścigania w kwestii agresywnych wpisów w Internecie.

Z drugiej jednak strony skuteczne interwencje policji i prokuratury w takich przypadkach pokazują, że aby walczyć z prawdziwymi patologiami, gdzie mowa jest o łamaniu kodeksu karnego w obecnej postaci, nie są potrzebne nowe przepisy.

Kampania na rzecz walki z „mową nienawiści" to jednak klasyczny przykład wprowadzania kuchennymi drzwiami groźnych rozwiązań pod pretekstem, który większości trudno zakwestionować. Kto bowiem ma odwagę stwierdzić, że walka z „mową nienawiści" nie jest potrzebna? Niektórzy próbują tu robić rozróżnienie na rozwiązania prawne (niepożądane) i działania edukacyjne (pożądane). Problem w tym, że nawet w ramach tych drugich próbuje się przemycać skrajnie ideologiczne podejście i doprowadzoną do absurdu poprawność polityczną. Modelowym przykładem jest opracowany przez Fundację Batorego w ramach jednego z programów Rady Europy podręcznik, który miał być wykorzystywany w warszawskich szkołach podczas zajęć o „mowie nienawiści", zapowiedzianych przez Rafała Trzaskowskiego. Podręcznik nie definiuje oczywiście pojęcia „mowy nienawiści", ponieważ nie da się go zdefiniować precyzyjnie. Nawet oficjalne źródła stosują tu definicję poprzez skutek – czyli taką, pod którą można podciągnąć dowolną niemal krytykę. Zwykle tę, która dotyczy lewicowych dogmatów.

Przywołany przez Trzaskowskiego podręcznik dowodzi (na podstawie tez amerykańskiego socjologa Gordona Allporta z lat 50.), że jeśli stworzymy piramidę, na której szczycie będzie fizyczna eksterminacja, to u jej podstawy będą m.in. „brak słownej akceptacji" oraz „złośliwe żarty". Takie postawienie sprawy to prosta droga do świata z „Roku 1984".

Czy walka z „mową nienawiści" – niewykluczone, że poprzez intensywne bombardowanie hejtem przeciwników politycznych jako tych, którzy „mowę nienawiści" uprawiają lub jej bronią – stanie się jednym z elementów działania twardej opozycji, na razie nie wiemy. Fatalnie będzie, jeśli z czysto politycznego instrumentu miałaby się zmienić w konkret. Czymś całkiem innym jest bowiem próba obniżenia temperatury sporu, a czym innym promocja lewicowej ideologii, zamaskowanej jako słuszna walka z „nienawiścią".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Czy PiS może wygrać wybory?

Piotr Gociek

Partia wielkiej zmiany chce wygrać drugą kadencję jako partia małej stabilizacji. To bardzo ryzykowny pomysł

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Trauma po roku 2007 jest zbyt silna – przekonywali nieoficjalnie politycy PiS, kiedy w ostatnich miesiącach pojawiły się pogłoski o możliwych przedterminowych wyborach. Niektórzy byli niepewni, jakby sami chcieli siebie uspokoić tym zdaniem, licząc się z tym, że Jarosław Kaczyński może podjąć inną, niespodziewaną decyzję. Czynił tak przecież nieraz. Inną traumę z gorących miesięcy, w których PiS stracił władzę na rzecz PO, przypominał wcześniej Adam Hofman, były polityk i rzecznik tej partii. Kiedy opozycja uderzyła w rząd kampanią billboardową „PiS wziął miliony", a rządząca koalicja odpowiedziała billboardami „PiS odebrał złodziejom miliony i dał je dzieciom", Hofman przestrzegał na łamach „Rzeczpospolitej": „Trzeba uważać, żeby nie pójść za daleko w retorykę: »złodzieje kradną, korupcja«, bo ta retoryka za sprawą spin doktorów w 2007 r. doprowadziła do porażki".

WSZYSTKIE TRAUMY

Tych traum jest zresztą w PiS więcej, a im bliżej wyborów parlamentarnych, tym bardziej zaczynają się uzewnętrzniać. Może nie w wywiadach prasowych, zwłaszcza od czasu kolejnych napomnień o tym, by wypowiadać się publicznie oględnie i niejątrząco, ale wracają. Słyszę je w nieoficjalnych wypowiedziach polityków wszystkich ugrupowań tworzących Zjednoczoną Prawicę.

Oto jedna z nich: media. Zamyka się ona w zdaniu: „Gdyby nie TVP, już dawno byłoby po nas" albo pretensjach typu: „Radio publiczne zrobiło za mało w kampanii samorządowej, trzeba wyciągnąć konsekwencje". Oba cytaty są autentyczne.

Następna trauma: zagranica. Rząd PiS w latach 2005–2007 nie cieszył się sympatią zagranicznych komentatorów, ale był to drobiazg w porównaniu z pełną furii cichą wojną prowadzoną dziś przez Komisję Europejską, podsycaną zresztą przez politycznych przeciwników PiS w Parlamencie Europejskim.

I kolejna trauma: ulica. Marsze opozycji przeciw reformie Trybunału Konstytucyjnego czy zmianom w sądownictwie nie obaliły władzy. Jednak wzmocnione przez polską wersję buntu żółtych kamizelek, spinowane przez zagraniczne fundacje, tak jak finansowana była akcja profrekwencyjna w roku 2007, która przyniosła wiele głosów wrogom PiS? To byłby prawdziwy koszmar.

eprasa.pl d95acbd8fa

Gdzieś w cieniu wszystkich tych traum egzystuje jeszcze jedna – lęk przed wrogiem wewnętrznym. Łatwo zachować jedność, gdy wszystko dobrze idzie w sondażach i gospodarczych wskaźnikach. Jednak co będzie, kiedy zwycięstwo zacznie się wydawać mniej oczywiste lub nawet mocno niepewne? Kto i komu rzuci się pierwszy do gardła? Kto pierwszy ogłosi budowę własnej tratwy ratunkowej?

Wynik wyborów samorządowych w 2018 r. wzmocnił te lęki. Owszem, była to wygrana, partia, która rządziła w jednym sejmiku wojewódzkim, teraz rządzi w ośmiu, mocno poprawiła swój stan posiadania w gminach i powiatach. Jednak niekorzystny rezultat boju o fotele prezydentów miast i mobilizacja elektoratu anty-PiS przypomniały sztabowcom partii o wydarzeniach z roku 2007. Wtedy PiS także zwiększył stan posiadania. Jednak jego wrogowie zmobilizowali się jeszcze bardziej. I przyszła przegrana.

PORWANA LINIA STABILIZACJI

Już w połowie roku 2018, kilka miesięcy przed wyborami samorządowymi, z wypowiedzi wpływowych przedstawicieli Zjednoczonej Prawicy można było wyczytać, w którą stronę pójdzie PiS, by uniknąć powtórki czarnego scenariusza 2007 r. „Wygaszanie konfliktów", „skracanie frontu", „koniec radykalnych reform" – przynajmniej do końca kadencji. Ze wszelkich badań wynika, mówili politycy PiS, że Polacy chcą stabilizacji, a nie rewolucji.

Ta retoryka stała się obowiązującą linią partii od grudnia 2018 r. Premier Morawiecki zapowiedział nowy program. Jego ministrowie wyliczali, że obietnice wyborcze zostały spełnione. Profesor Waldemar Paruch (szef rządowego Centrum Analiz Strategicznych) w licznych wywiadach opowiadał, że to nie czas na rewolucję, że wyborcy chcą w spokoju konsumować owoce wzrostu gospodarczego. Już wcześniej zresztą stało się jasne, że podwójnie wyborczy rok 2019 ma przynieść także spowolnienie prac legislacyjnych Sejmu: posiedzenia raz w miesiącu, żadnych nowych, wielkich projektów.

Najlepsze plany to jedno, a rzeczywistość – drugie. Czas wyciszenia, czas skracania frontów i przygotowań do spokojnego wejścia w rok wyborów okazał się czasem bolesnych ciosów.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej swoimi decyzjami wybił zęby reformie sądownictwa. Po raz kolejny ucierpiał wizerunek PiS jako wielkiego i sprawnego reformatora. „Gazeta Wyborcza" pospołu z „The Financial Times" odpaliła „taśmy Czarneckiego", ukazując Marka Chrzanowskiego, człowieka wskazanego na stanowisko szefa KNF przez ludzi PiS, jako zwykłego łapówkarza, w dodatku próbującego „wziątkę" i korzyści dla znajomych wymusić. Tyle w temacie rewolucji moralnej i lepszych standardów.

Wybory samorządowe w średnich i dużych miastach udowodniły, że PiS ma z kim przegrać, bo opozycja może być politycznie podzielona, ale „antypisowska opinia publiczna" zaczyna się jednoczyć i po prostu popiera dowolnego kandydata, byleby nie był z PiS. Wreszcie ujawnienie metody, którą amerykańska ambasador Georgette Mosbacher „zarządza" polskim rządem, sprawiło, że niejeden sympatyk PiS zaczął się zastanawiać, jak to jest z tym wstawaniem z kolan, zwłaszcza gdy żywa w nim była pamięć o tym, jak boleśnie Polska dostała po łapach w wyniku pochopnej nowelizacji ustawy o IPN.

Zagranica, media, kłopoty we własnych szeregach, wzmożenie antypisowskie przeciw „atmosferze" panującej w kraju. Tak, demony roku 2007 są blisko.

Nic nigdy nie było łatwe dla prawicy w Polsce, zbyt wielu ma przeciwników, zbyt są bogaci i wpływowi. W roku podwójnie wyborczym wybierać musi między działaniami samobójczymi a bardzo ryzykownymi.

TEREN NIEZNANY

Linia zaostrzania, przed którą przestrzegał Hofman (nie tylko zresztą on), została wykluczona. Zresztą po zabójstwie Pawła Adamowicza nie byłoby nawet jak jej realizować i przyniosłaby potężne straty. Wyciszanie sporu i prezentowanie się jako siła spokoju (przez niektórych obśmiewane jako „PiS-owska polityka ciepłej wody w kranie") nie gwarantuje automatycznie sukcesu. PiS wkracza na teren dotąd sobie nieznany, po raz pierwszy w historii tego ugrupowania musi nie atakować, lecz bronić swoich pozycji, swojego dorobku.

Największe ryzyko wiąże się z tym, że może to oznaczać oddanie inicjatywy przeciwnikowi. Dotąd PiS skutecznie narzucał tematy debaty publicznej, a kiedy coś okazywało się zagrożeniem, wcześniej czy później wycofywał się z niewygodnych przedsięwzięć. Inna sprawa, że chyba większe straty ponosił nie dlatego, że opozycji szło tak świetnie, tylko dlatego, że sam PiS nie opanował sztuki uników z gracją, że były to odwroty zbyt późne, kiedy mleko już się rozlało, a negatywne koszty wizerunkowe zostały poniesione.

Na krytykę rozmaitych niedociągnięć, potknięć, czasem niezrozumiałych dla wyborców manewrów była wtedy gotowa odpowiedź: „Może nie wszystko wyszło idealnie, ale jesteśmy w trakcie wielkiego dzieła przebudowy kraju". I to działało. Jak jednak odpowiadać na podobne zarzuty, kiedy tego argumentu nie można już stosować? Gdy zamiast dalekosiężnych planów i nowych ustaw trzeba co dnia tłumaczyć się z nieistotnej nominacji mało znanego młodziana na wiceministra albo z tweetów krewkiej posłanki? Kto sam nie narzuca tematów debaty, ten musi brać udział w debatach spreparowanych przez przeciwnika. I jak miałaby teraz brzmieć ta uniwersalna odpowiedź na krytykę? „Może nie wszystko wyszło idealnie, ale teraz już o nic nie pytajcie, bo obawiamy się zdenerwować Polaków"? Jak sprzedać wyborcom ugrupowanie, którego sensem istnienia była wielka zmiana, kiedy trzeba się tej wielkiej zmiany wyrzec i powtarzać: „stabilizacja, konsumpcja, spokój".

W swoją pierwszą kadencję ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego wchodziło jako partia wielkiego triumfu (wygrana w wyborach prezydenckich, niespodziewana samodzielna większość w Sejmie) i wielkiej zmiany. Partia reform, partia, która nie boi się wyzwań. W rok walki o drugą kadencję wchodzi jako ugrupowanie, które przegrało bój o sądy, przegrało serię starć z Brukselą (któż pamięta walkę o podatek od hipermarketów?) i zamiast o wielkiej zmianie mówić chce o małej stabilizacji. Na swą obronę ma świetne wyniki gospodarcze, ale przecież – znów powrót traumy sprzed lat – w roku 2007 też gospodarka rosła. Może chwalić się także dotrzymaniem wyborczych obietnic, tyle że prócz programu „500+" kwestie, które były ich przedmiotem, są tematem ostrych sporów (od wolnych niedziel do likwidacji gimnazjów), a nie powszechnego zachwytu.

Historia III RP uczy, że łatwo jest Polaków mobilizować „przeciw", o wiele trudniej „za". Przeciw komu chce mobilizować swych zwolenników PiS, skoro przeciw Brukseli nie może (zarzuty o polexit), przeciw sądom nie da rady (przegrywał raz za razem), a mantra przeciw opozycji („przez osiem lat Platforma…") chyba już nie działa. Wrogowie PiS mają łatwiejsze zadanie, bo będą po prostu mobilizować się przeciw PiS. Nie twierdzę, że PiS wybrał złą drogę. Wskazuję tylko, jak trudną i ryzykowną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

PO w ostatnich wyborach wystawiła Pawłowi Adamowiczowi kontrkandydata – Jarosława Wałęsę. Na zdjęciu obaj podczas debaty wyborczej 9 października 2018 r.

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Razem, czyli osobno

Kamila Baranowska

Współpraca Platformy Obywatelskiej i Pawła Adamowicza w Gdańsku wcale nie układała się tak harmonijnie, jak dziś próbuje się to przedstawiać

Paweł został w pewnym momencie sam, sam politycznie. Został sam, bo Platforma zrobiła głupstwo po prostu, nie umiała odczytać, kogo traci. Myślę, że do dzisiaj nie bardzo to wszystko umie sobie poukładać – powiedział prezydent Sopotu Jacek Karnowski w Europejskim Centrum Solidarności podczas spotkania upamiętniającego zamordowanego Pawła Adamowicza.

Politycy PO nie mówią dziś o Adamowiczu inaczej niż „nasz przyjaciel", ale wzajemne relacje wieloletniego prezydenta Gdańska z Platformą nie zawsze były tak przyjacielskie, jak mogłoby się wydawać.

Najmniej przyjacielskie stały się w ostatnim roku, kiedy władze partii uznały, że wystawią innego kandydata na prezydenta miasta. Wszystko było ustalone i miało się odbyć pokojowo. Adamowicza przekonywano, że dla dobra całego obozu opozycyjnego nie powinien ubiegać się o kolejną kadencję. Przedwyborcza kalkulacja Grzegorza Schetyny była prosta – w sytuacji, w której prokuratura postawiła Adamowiczowi zarzuty dotyczące nieprawdziwych informacji podawanych w oświadczeniach majątkowych, popieranie go w wyborach stało się ryzykowne.

Już w 2015 r., gdy tylko pojawiły się pierwsze zarzuty, Adamowicz zawiesił swoje członkostwo w PO. Wszystkim wydawało się, że w 2018 r. postąpi podobnie i poprze wspólnego kandydata Koalicji Obywatelskiej.

Jednak ostatecznie Adamowicz uznał, że jego rezygnacja mogłaby zostać odebrana jako przyznanie się do winy. Poza tym jako kandydat na prezydenta mógł wytykać, że to, co się wokół niego dzieje, jest elementem kampanii wyborczej. – Apeluję i proszę członków Platformy o poparcie mnie w wyborach. Wystosuję list do sympatyków PO. Liczę też, że Platforma rozważy mnie jako swojego kandydata. Przypomnę, że rada powiatu Platformy w Gdańsku przyjęła niedawno uchwałę popierającą moją kandydaturę – mówił na konferencji prasowej w Europejskim Centrum Solidarności, zapowiadając swój start w wyborach.

Wtedy jeszcze sugerował, że wciąż może wystartować z komitetu Platformy. Dla Schetyny jego decyzja była mimo wszystko zaskoczeniem, a także dużą komplikacją, bo stawiała zwycięstwo kandydata Platformy pod znakiem zapytania.

Sławomir Neumann, szef klubu PO z Pomorza, mówił wprost o „wyjściu przed

eprasa.pl d95acbd8fa

szereg". – Podziwiam dobre samopoczucie Pawła Adamowicza, że uważa samego siebie za jedyny blok, który może odsunąć PiS od władzy. To jest nieprawdziwy argument, niepotrzebnie takie rzeczy mówi, nie pokazuje w ten sposób dobrych intencji – komentował w „Gazecie Wyborczej". Osobiście interweniował u Adamowicza, by zmienił zdanie. Bezskutecznie. Do zmiany decyzji namawiał też Adamowicza Lech Wałęsa, który razem z Grzegorzem Schetyną wystąpił na specjalnie w tym celu zwołanej konferencji prasowej. Też go nie przekonał. Tym bardziej że powszechnie wiadomo już było, że kandydatem Platformy może zostać jego syn – europoseł Jarosław Wałęsa.

OBAWY O KOMPROMITACJĘ

Tuż po ogłoszeniu startu Adamowicza w Platformie rozważano różne scenariusze, włącznie z tym, żeby mimo wszystko poprzeć jego kandydaturę. Na to zresztą liczył po cichu także prezydent Gdańska. Ostatecznie o niepopieraniu Adamowicza przesądziły obawy o to, jak dalej potoczą się jego sprawy w prokuraturze (Schetyna realnie bał się scenariusza, w którym w przededniu wyborów kandydat zostaje zatrzymany i aresztowany) oraz nastawienie Nowoczesnej, która groziła zerwaniem rozmów koalicyjnych. – To polityk skompromitowany – mówiła w wywiadach Katarzyna Lubnauer. – Stosunek do kandydatury Adamowicza może być taką miarą funkcjonowania tej koalicji – stwierdziła w „Gazecie Wyborczej".

– We mnie burzy się krew, że PO i Nowoczesna skreślają ludzi z powodu działań prokuratury, która jest wykorzystywana politycznie przez PiS. Za chwilę może się okazać, że połowa z nas będzie miała jakieś sprawy – komentował w tygodniku „Polityka" prezydent Sopotu Jacek Karnowski.

Zwłaszcza że chwilę później politycy Platformy nader chętnie stawali w obronie Stanisława Gawłowskiego, który trafił do aresztu. Schetyna w kontekście Gawłowskiego mówił, że to „początek kampanii wyborczej PiS, polityczny atak na opozycję", i zapowiadał, że o sprawie będzie informował międzynarodową opinię publiczną.

Jak mówią nasi rozmówcy z Gdańska, wśród współpracowników Adamowicza można było wyczuć żal, że koledzy z Platformy zamiast go bronić nabrali wody w usta. Do zarzutów dla Adamowicza w żaden sposób nie odniósł się także Donald Tusk.

Nazwisko Tuska pojawiło się zresztą w kontekście kandydowania Adamowicza w wyborach. Jakiś czas temu pojawiły się spekulacje, że to on miał namówić prezydenta Gdańska do startu. Jacek Karnowski, prezydent Sopotu, wyśmiał to w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim".

– To Aleksander Hall i środowisko Młodej Polski namówiło go, a nie Donald Tusk – stwierdził. I dodał, że według jego wiedzy prezydent Gdańska nie miał kontaktu z przewodniczącym Rady Europejskiej już od dawna.

Wzajemna nieufność i żal między Pawłem Adamowiczem i Platformą dawały o sobie znać, jeszcze zanim na dobre ruszyła kampania wyborcza. – Kilka lat temu w bezpośrednich rozmowach obiecywał mi, że to jest ostatnia kadencja. W ubiegłym roku obiecywał Grzegorzowi Schetynie, że poprze kandydata Platformy. Wprowadził w błąd mnie, Schetynę i mieszkańców Gdańska. Mam wielki żal, że on nie szanuje danego słowa – opowiadał w mediach Jarosław Wałęsa, oficjalny kandydat PO.

Kiedy okazało się, że Adamowicz będzie startował z własnego komitetu, część gdańskich działaczy Platformy zadeklarowała wsparcie dla inicjatywy prezydenta. „Czystka w PO. Zawieszają radnych za poparcie komitetu Pawła Adamowicza" – donosiła wówczas trójmiejska „Wyborcza". – Nie można być w partii i startować z konkurencyjnego komitetu – tłumaczyła Agnieszka Pomaska, szefowa PO w Gdańsku.

Platforma do końca kampanii zdawała się wierzyć, że główną siłą Adamowicza, decydującą o jego dotychczasowych zwycięstwach był szyld Platformy, a nie osobista popularność. Przewidywano, że nazwisko Wałęsy w połączeniu z logo PO da partii zwycięstwo. Te kalkulacje okazały się chybione. Wałęsa nie wszedł nawet do drugiej tury wyborów. Adamowicz, uzyskawszy 65 proc. głosów, zdecydowanie pokonał kandydata PiS Kacpra Płażyńskiego.

GDAŃSKI ROZGRYWAJĄCY

Dzisiaj politycy Platformy próbują przekonywać, że od początku brali pod uwagę, że w drugiej turze nie będzie ich kandydata i wtedy poprą Adamowicza. Grzegorz Schetyna w TVN24 zasugerował nawet, że wystawienie własnego kandydata przeciwko Adamowiczowi wiązało się z chęcią ochrony go przed hejtem. – Intensywność postępowań, które były prowadzone przeciwko Adamowiczowi, zwiększyła się w czasie przedwyborczym, gdy spodziewano się, że będzie kandydatem Platformy – mówił Schetyna. – Wiele rozmawialiśmy, czy można znaleźć inną konstrukcję, w której on nie będzie narażony na tę rosnącą politykę nienawiści – dodał. – W noc wyborczą po pierwszej turze natychmiast, bez żadnych warunków powiedzieliśmy: „Paweł Adamowicz jest kandydatem PO, tak samo jak zespół ludzi, których wprowadził do Rady, z którymi mamy koalicję" – podkreślił lider PO.

Inna sprawa, że z warunków zawarcia koalicji nie wszyscy w Platformie byli zadowoleni. Jarosław Wałęsa przekonywał, że PO powinna dostać dwóch wiceprezydentów, a jednym z nich powinien być on sam.

– Spotkałem się z Pawłem Adamowiczem i spytałem go o tę jego zagrywkę z kampanii, abym został wiceprezydentem, na ile była PR-owa, a na ile szczera. Odpowiedział, że to była zagrywka PR-owa, aby osłabić moją pozycję. I ta zagrywka okazała się skuteczna – relacjonował Wałęsa „Wyborczej".

Przez wiele lat Adamowicz skutecznie ogrywał polityków gdańskiej Platformy, którzy na różne sposoby próbowali go podgryzać. Byli to zwłaszcza przedstawiciele młodszego pokolenia, związani ze środowiskiem Młodych Demokratów, kojarzeni ze Sławomirem Nowakiem czy Agnieszką Pomaską. Ta ostatnia na przykład przed wyborami samorządowymi w 2014 r. proponowała, by kandydatem Platformy nie był z automatu Paweł Adamowicz, lecz by wyłonić go w prawyborach, w których obok urzędującego prezydenta wystartowaliby ona i Jarosław Wałęsa. Pomaska krytykowała też prezydenta Adamowicza za jego decyzje w sprawie zwrotów miejskich działek Kościołowi. – Pani ślub z panem radnym Krupą nie odbyłby się w kościele oo. Cystersów, gdyby kilkadziesiąt lat wcześniej ten kościół wraz z działką nie został przekazany przez gminę Kościołowi. Rozumiem, że walka wyborcza już trwa – odwinął się jej Adamowicz, o czym ochoczo informowały tabloidy.

Po śmierci Pawła Adamowicza Platforma, podobnie jak inne partie, nie zdecydowała się wystawić swojego kandydata w wyborach na prezydenta Gdańska i poparła na to stanowisko Aleksandrę Dulkiewicz, pierwszą zastępcę zmarłego prezydenta. Dulkiewicz to także była polityk Platformy. Została zawieszona w prawach członka partii za poparcie w wyborach komitetu Pawła Adamowicza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Kościelna przestrzeń pojednania

Tomasz P. Terlikowski

Niewiele jest w Polsce instytucji, które mogą stać się miejscem pojednania Polaków. Kościół, mimo że wielu w to nie wierzy, a wielu chciałoby mu tę rolę odebrać, nadal jest taką instytucją. A śmierć i żałoba po Pawle Adamowiczu są tego doskonałym przykładem

FOT. PIOTR HUKAŁO/EAST NEWS

Chrystus przyszedł na świat, żeby pojednać ludzi z sobą, i to samo zadanie stoi przed Kościołem: posługa jednania – mówił w wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej jeszcze w roku 2016 abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski. A słowa te wypowiadał po dramatycznej diagnozie tego, co dzieje się obecnie w Polsce. – Ludzie, z którymi się spotykam, mówią, że dzisiaj nie można już podjąć dyskusji nawet w rodzinie. Gdy rozmowa schodzi na tematy polityczne, członkowie rodziny zaczynają się zawzięcie kłócić i śmiertelnie się obrażają – podkreślał metropolita poznański w tym samym wywiadzie.

ZAKOŃCZYĆ WOJNĘ POLSKO-POLSKĄ

Rok później abp Gądecki apelował już wprost o zaprzestanie wojny polsko-polskiej. „Od pewnego czasu – tak w debacie publicznej, jak i w prywatnych relacjach międzyludzkich, a nawet w życiu rodzinnym – daje się zauważyć wśród Polaków niepokojący wzrost napięcia społecznego i brak szacunku dla osób o innych poglądach. Towarzyszy temu brutalizacja języka, jak również pojawiające się groźby i zachowania agresywne. W naturze demokratycznego państwa leżą owszem dyskusja, spór i wymiana poglądów. Różnice opinii i różne wizje polityczne, ekonomiczne czy społeczne stanowią o bogactwie oraz intelektualnym potencjale naszego społeczeństwa. Różnice i spory nie mogą jednak nigdy prowadzić do poniżania drugiej osoby i traktowania jej bez szacunku. Dlatego – mając również świadomość możliwości prowokacji, w celu zniekształcania prawdziwego obrazu naszego społeczeństwa oraz zaognienia sporów – trzeba jednoznacznie potępić wszelkie akty przemocy, skierowane przeciw oponentom politycznym, przedstawicielom innych wyznań, religii oraz innych narodów. Polska jest naszym domem" – pisał przed Bożym Narodzeniem 2017 r. arcybiskup.

Dlaczego przywołuję dzisiaj te słowa? Tak się bowiem składa, że doskonale pokazują one, że pasterze Kościoła w Polsce (poza nielicznymi harcownikami, którzy jednoznacznie opowiadali się po jednej lub drugiej stronie kościelnego sporu) od dawna byli świadomi narastającej agresji i ostrzegali przed nią. Nie ma też co ukrywać, że za takie stawianie sprawy obrywali od obu stron. Jedna uznawała

eprasa.pl d95acbd8fa

bowiem, że Kościół nie dostrzega realnych krzywd albo ulega liberalnej propagandzie i nie chce walczyć ze zwolennikami gender, druga zaś oskarżała go o to, że nie chce widzieć niszczenia konstytucji i nie zamierza wypowiadać się w jej obronie. Jedni oznajmiali więc, że odchodzą z Kościoła, bo ten nie chce uczestniczyć w walce o Polskę i dobrą zmianę, a inni, że nie poślą dzieci do komunii, bo zabrakło ze strony Kościoła obrony Trybunału Konstytucyjnego albo Sądu Najwyższego. Arcybiskup Gądecki jasno i zdecydowanie przypominał jednak, że rolą Kościoła nie jest uczestnictwo w sporze politycznym, nie jest wspieranie jednej ze stron „nie jest – by znowu posłużyć się cytatem z arcybiskupa Gądeckiego – jątrzenie, tylko apelowanie do sumień. Tym razem konieczne jest apelowanie o pojednanie".

STATUS QUO I MOŻLIWOŚĆ POJEDNANIA

I nie ma co ukrywać, że choć niewątpliwie sympatie większości duchowieństwa w Polsce są raczej po prawej stronie sceny politycznej (choć nie brakuje wśród niego także zwolenników PSL czy – natychmiast promowanych przez media – Platformy Obywatelskiej), to jednocześnie zarówno proboszczowie, jak i biskupi uważają na to, by żyć w zgodzie z politykami i samorządowcami, a ci ostatni – nawet jeśli promują poglądy jawnie sprzeczne z nauczaniem Kościoła albo są członkami czy sympatykami partii lewicowych – także uważają (z nielicznymi wyjątkami), by nie narazić na szwank interesów Kościoła. Stąd niezależnie od poglądów aktualnie sprawujących władzę politycy i samorządowcy często wspierają Kościół finansowo, ustępują mu w kwestiach gruntowych czy prawnych, a także dogadują się z miejscowymi hierarchami. Ci ostatni zaś odpłacają za to rzadkimi atakami na lokalnych polityków czy ustępstwami w innych kwestiach. Wszystko to razem tworzy kościelno-polityczne status quo, które wprawdzie utrudnia ostre wypowiadanie się w sprawach konkretnych, a także buduje wizerunek instytucji państwowych, które zawsze ustępują Kościołowi, i wizerunek Kościoła, który zawsze dogaduje się z władzą, ale też sprawia, że Kościół, jest może ostatnią instytucją w Polsce, która jest w stanie realnie mówić o pojednaniu i realnie być jego fundamentem. I choć objawia się to jedynie w momentach dramatycznych, to pozostaje faktem, z którym trudno polemizować.

Znakomicie widać to było podczas żałoby i uroczystości pogrzebowych zamordowanego prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Arcybiskup Sławoj Leszek Głódź, choć w przestrzeni publicznej wiele mówiło się o problemach w relacjach między nim a zamordowanym prezydentem, nie tylko wydał zgodę na pochówek prezydenta w bazylice Mariackiej, lecz także wygłosił kazanie, w którym mocno podkreślał zasługi Adamowicza dla Kościoła w Gdańsku, pomijając – nie ma wątpliwości, że w pełni świadomie – wspieranie przez polityka także instytucji i idei wrogich nauczaniu Kościoła. – Od 1998 r. prezydent miasta Gdańska, zwycięzca kolejnych wyborów, ofiarował służbie zapał, serce, kompetencje, wrażliwość, inteligencję, także twórczą wyobraźnię. Patriota Gdańska, jakże wiele zrobił, aby nasze miasto pięknieało, nasycało się rozmaitymi inwestycjami, aby promieniało przedsięwzięciami artystycznymi i kulturalnymi, przyciągało ku sobie innych, było gościnne, wielkie i dumne. Był człowiekiem wiary, Kościół katolicki w Gdańsku doznał od niego wiele pomocy, zawsze można było liczyć na wsparcie ze strony prezydenta Gdańska. Dziękuję za nie w godzinę pożegnania. Był człowiekiem wiary, praktykującym katolikiem, nie wstydził się swej wiary, nie uważał, że zamyka się w zakamarkach prywatności – mówił abp Głódź. Nie zabrakło w tym kazaniu także apeli o pojednanie. – Przez wielu to, co się wydarzyło, zostało odebrane jako potężny, gwałtowny, niemilknący dzwon na trwogę, wezwanie do rachunku sumienia, do koniecznej przemiany stylu naszego życia, stylu politycznego, wspólnotowego, społecznego, medialnego także, do definitywnego wyrugowania z polskiej polityki, więcej – z przestrzeni życia społecznego – języka pogardy, poniżania, deprecjonowania, odzierania z czci i godności naszych braci bliskich, czasem niedawnych przyjaciół. Trzeba nam braterstwa serc, dłoni otwartych, a nie zaciśniętych pięści – podkreślał metropolita gdański.

„TO PIEKIEŁKO ZBUDOWALIŚMY MY WSZYSCY"

To wezwanie o pojednanie wybrzmiało także w innych przemówieniach. – W ostatnich dniach wielu ludzi próbowało formułować to przesłanie, które wynika ze śmierci Pawła. Jestem przekonany, że Paweł chce, abym wypowiedział następujące słowa: trzeba skończyć z nienawiścią, trzeba skończyć z nienawistnym językiem, trzeba skończyć z pogardą, trzeba skończyć z bezpodstawnym oskarżaniem innych – mówił podczas uroczystości pogrzebowych o. Ludwik Wiśniewski, dominikanin. I choć jego słowa próbowano przedstawić jako odnoszące się tylko do jednej strony sporu politycznego (a robili to zarówno jego zwolennicy, jak i przeciwnicy), to sam dominikanin, trzeba to przyznać jasno – w późniejszych wywiadach prasowych – pokazał, że miał na myśli wszystkich, a jego apel nie powinien być ustawiany politycznie. – Nie tylko ja, ale i wielu ludzi jest przerażonych tym, że dopracowaliśmy się polskiego piekiełka, gdzie nie ma szacunku dla drugiego człowieka. Jest tylko pogarda. Można obrzucić każdego wyzwiskami – mówił dominikanin. – To piekiełko zbudowaliśmy po trochu wszyscy. To nie jest tak, że mamy do czynienia z dwoma obozami: jeden jest anielski, a drugi diabelski. I gdy ci utracą władzę, to będzie niebo. Nie. Boję się, że jeśli ją utracą, to będzie jeszcze gorsze piekło, bo w ludziach tkwi chęć odwetu. O tym mówiłem na pogrzebie Pawła Adamowicza. Postawmy kropkę tu, gdzie teraz jesteśmy. Zacznijmy od nowa. Z wzajemnym szacunkiem. Budujmy na nowo. Inaczej. Czego jeszcze trzeba, żebyśmy zrozumieli, co się z nami dzieje? Obudzimy się, gdy ulicami popłynie krew? Wina pewnie nie jest taka sama wszystkich, ale każda strona przyłożyła rękę do polskiego piekiełka. Mówię temu: stop – dodawał.

A słowa te trzeba docenić tym bardziej, że wypowiada je duchowny, którego sympatie polityczne były raczej po jednej stronie, i który specjalnie ich nie ukrywał. Identycznie to samo można powiedzieć o homilii arcybiskupa Głodzia, który także wzniósł się ponad osobiste sympatie. I choć zapewne już niebawem także do kazań i homilii wróci język bardziej przyziemny, to nie ma co ukrywać, że to właśnie w kościele (i w Kościele) spotkać się mogą reprezentanci większości polskich środowisk, to Kościół jest przestrzenią jedynego możliwego pojednania. Szkoda tylko, że za słowami nie poszły gesty symboliczne. Na pogrzebie prezydenta Busha seniora reprezentanci różnych sił politycznych siedzieli obok siebie, w Polsce przedstawicieli państwa polskiego posadzono w piątym rzędzie, za reprezentantami opozycji. Ten symboliczny gest uświadomił, że niezależnie od słów i ważnych apeli pojednanie także między politykami, którzy publicznie deklarują swój katolicyzm, będzie bardzo trudne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Norwegia nie chce polskiego konsula

Agnieszka Niewińska

Konsul RP w Oslo został uznany za osobę niepożądaną w Norwegii. Wielu Polaków mieszkających w Kraju Fiordów łączy to z jego zaangażowaniem w pomoc rodzinom walczącym z norweskim urzędem ds. dzieci – Barnevernet

Sławomir Kowalski (z prawej) na placówce w Norwegii przebywa od pięciu lat FOT. MSZ/TWITTER

Sławomir Kowalski, kierownik wydziału konsularnego polskiej ambasady w Oslo, na placówce w Norwegii przebywa od pięciu lat. Na opuszczenie tego kraju dostał trzy tygodnie. Norweskie ministerstwo spraw zagranicznych na nasze pytania o powody tej decyzji odpowiada ogólnikowo, wysyłając krótkie oświadczenie prasowe. – Możemy potwierdzić, że minister spraw zagranicznych wezwał polski rząd do odwołania konsula – informuje Per Bardalen Wiggen z norweskiego MSZ. Wyjaśnia, że przez ostatnie trzy lata norweskie MSZ otrzymało kilka skarg na konsula z różnych publicznych instytucji. Jego zachowanie miało być niezgodne z rolą dyplomaty. – Obejmuje to agresywne, a częściowo brutalne zachowanie wobec urzędników służby cywilnej, utrudnianie i zakłócanie pracy w publicznych placówkach, jak również nieprzestrzeganie zaleceń policji – wylicza Per Bardalen Wiggen, ale nie podaje okoliczności skarg na konsula. Dodaje jedynie, że norweskie MSZ kilkakrotnie zwracało uwagę polskiej ambasadzie w Oslo na skargi wpływające na konsula Kowalskiego.

– Państwo przyjmujące ma prawo uznać dyplomatę za osobę niepożądaną, jeśli stwierdzi, że narusza on zapisy konwencji wiedeńskiej o stosunkach dyplomatycznych z 1961 r. lub konwencji o stosunkach konsularnych z 1963 r. Wówczas może zażądać opuszczenia terytorium. To się jednak zdarza bardzo rzadko. Fakt, że Norwegia uznała polskiego konsula za osobę niepożądaną, to bardzo poważna sytuacja i zły sygnał dla polskiej społeczności w Norwegii – mówi Ryszard Żółtaniecki, były ambasador, wykładowca Collegium Civitas. I dodaje: – Winę za taki stan rzeczy ponosi MSZ, które powinno wcześniej zareagować i nie dopuścić do takiej sytuacji. Sprawę należy wyjaśnić na linii wiceministrów, a później na poziomie ministerialnym. Norwegia to dla nas bardzo ważny partner geopolityczny, jeśli chodzi np. o sprawy związane z bezpieczeństwem energetycznym.

POLONIA: CHODZI O DZIECI

Część polskiej społeczności w Norwegii jest jednak przekonana, że skargi na polskiego konsula to tylko pretekst dla norweskich władz. Sławomir Kowalski był bowiem zaangażowany w pomoc polskim rodzinom, którym norweski urząd ds. dzieci – Barnevernet (BV) – odebrał dzieci lub które wziął pod lupę. Za tę działalność Sławomir Kowalski w 2016 r. odebrał z rąk wiceszefa MSZ Jana Dziedziczaka nagrodę Konsula Roku.

Chociaż Barnevernet ma szerokie możliwości co do pomocy rodzinom w zakresie zabezpieczenia potrzeb dziecka (m.in. oferuje doradztwo, pomoc psychologiczną, szkolenia, może zapewnić dodatkowe zajęcia), to wśród rodzin imigrantów sieje postrach jako służba, która odbiera dzieci. Jeśli dziecko zostało zabrane przez Barnevernet do opieki zastępczej, to jego powrót do biologicznej rodziny jest bardzo trudny. W Norwegii w razie nawet najdrobniejszych podejrzeń, że dziecku coś grozi albo nie ma ono właściwej opieki, można je zabrać z domu w trybie natychmiastowym. Instytucja podejmuje działania nawet na podstawie anonimowego donosu. Dziecko trafia najczęściej do zawodowej rodziny zastępczej i dopiero wtedy urząd zaczyna wyjaśniać sprawę. Często trwa to latami, a kontakty z rodzicami biologicznymi BV ogranicza do kilku w roku.

eprasa.pl d95acbd8fa

Kiedy nieco ponad rok temu na łamach „Do Rzeczy" opisywaliśmy historie rodzin, które prawną batalię z Barnevernet prowadzą także w Polsce, występując m.in. o odszkodowania za traumę, której dziecko doznało w rodzinie zastępczej, czy wnosząc, w ramach podpisanej przez Norwegię konwencji haskiej, o ustanowienie polskich krewnych rodziną zastępczą dziecka, wielokrotnie słyszeliśmy, że w konfrontacji z Barnevernet rodziny te znalazły pomoc u konsula Kowalskiego.

MUREM ZA KONSULEM

Informacja o tym, że Sławomir Kowalski został uznany za osobę niepożądaną w Norwegii, zmobilizowała Polonię w tym kraju do działania. Zaangażował się w nią m.in. Solidaritet Norge, związek zawodowy założony przez Polaków. – Polacy w Norwegii – poza tymi osobami, które współpracują z BV i są przez tę instytucję formalnie lub nieformalnie opłacane – negatywnie odbierają odwołanie konsula dr. Sławomira Kowalskiego. Co więcej, w Internecie jest też bardzo dużo opinii krytycznych ze strony zwykłych Norwegów, którzy piszą wprost, że Norwegia zachowuje się jak państwo totalitarne – mówi Arthur Kubik, prezes Solidaritet Norge. Dodaje, że zdecydowana większość Polaków odwołanie konsula postrzega jako „karę" za pomaganie polskim rodzinom w sprawach z BV. Jak mówi, twierdzenia norweskiego MSZ o rzekomo agresywnym zachowaniu konsula to „czysta prowokacja". – Mówimy o człowieku, który ma stopień naukowy doktora. Pan konsul dr Sławomir Kowalski jest oazą spokoju. Agresja i brutalność w ogóle do niego nie pasują – zapewnia Kubik. – Dla norweskich władz posiadanie odmiennego zdania niż one już samo w sobie jest formą agresji. Wiem, że to brzmi kuriozalnie. Władze norweskie nie radzą sobie ze skutecznością pana konsula. Odzyskał ponad 50 proc. dzieci odebranych przez BV. Akcja norweskich władz jest pokazem siły, chcą uwodnić za wszelką cenę, że to one decydują, komu będą odbierać dzieci, chcą też odciąć Polaków mających problemy z BV od skutecznej pomocy ze strony konsulatu i ambasady RP w Oslo.

Polacy na Facebooku uruchomili akcję #MuremzaKonsulem i ślą do MSZ petycje, by pozostał na stanowisku. – Zebrali już tysiące podpisów. Konsul Sławomir Kowalski był ceniony przez polską społeczność, bo z poświęceniem, nawet po godzinach pracy, pomagał rodzinom, którymi zainteresował się Barnevernet bądź odebrał im dziecko – mówi Dorota Korzeniecka, która od kilku lat społecznie pomaga rodzicom mającym problemy z Barnevernet. Sama miała doświadczenia z tą instytucją. Od kilku lat mieszka w Polsce, bo zdecydowała się na polską edukację dla syna. Działaniami strony norweskiej przeciwko polskiemu konsulowi nie jest zaskoczona. – Można się było tego spodziewać po tym, jak azyl w Polsce dostała Norweżka Silje Garmo, która uciekła do naszego kraju z dzieckiem w obawie przed BV. Już w czerwcu ubiegłego roku doszło do incydentu z udziałem konsula. Chciał uczestniczyć w spotkaniu rodziców z odebranym im przez BV dzieckiem. Urzędnicy wezwali policję i usunęli konsula. Obywatele polscy mają prawo do korzystania z opieki konsularnej, co Norwegia nieraz uniemożliwia, bo choć jest stroną międzynarodowych konwencji, to kieruje się przede wszystkim własnymi przepisami – mówi Korzeniecka.

Część polskiej społeczności w Norwegii jest przekonana, że skargi na polskiego konsula to tylko pretekst dla norweskich władz

Decyzję o azylu dla Silje Garmo i jej córki MSZ podjęło w grudniu ubiegłego roku po odwołaniu prawników instytutu Ordo Iuris, którzy prowadzili sprawę. Norweżką BV zainteresował się po tym, gdy do urzędu trafiło zawiadomienie, że rzekomo nadużywa leków przeciwbólowych. – Nie sądzę jednak, by takie jednostkowe wydarzenie jak przyznanie azylu było powodem do uznania polskiego konsula za osobę niepożądaną – mówi Ryszard Żółtaniecki. – Musiało dojść do skumulowania się większej liczby zdarzeń z udziałem konsula Kowalskiego, które wpłynęły na decyzję strony norweskiej – dodaje.

Dorota Korzeniecka: – Norwegia jest specyficznym krajem. To państwo opiekuńcze, które może wiele dać obywatelowi, ale w zamian wymaga posłuszeństwa i lojalności. Jeśli pojawia się ktoś, kto się wyłamuje, nie jest posłuszny, to państwo próbuje się go pozbyć – komentuje. Zwraca uwagę, że problemy z Barnevernet nie dotyczą tylko Polaków. – Część mediów podaje, że Norwegowie szczególnie „polują" na polskie dzieci. To nieprawda. Problemy z tym urzędem mają też przedstawiciele innych nacji mieszkających w Norwegii – zwraca uwagę.

Przed kilkoma laty głośna była sprawa rumuńsko-norweskiej rodziny Bodnariu. Odebrane im przez BV dzieci trafiły do trzech rodzin zastępczych. Po zmasowanych protestach urząd się wycofał i oddał dzieci. Rodzina ostatecznie przeniosła się do Rumunii. Cyklicznie – zarówno w Oslo, jak i przed norweskimi placówkami dyplomatycznymi – międzynarodowe grupy rodziców organizują protesty przeciwko działaniom BV. Norweską instytucją zajmowała się Rada Europy. W maju ubiegłego roku przyjęła raport swojego specjalnego wysłannika, który krytycznie odniósł się do działania urzędu i przypomniał, że odebranie dzieci biologicznej rodzinie powinno być ostatecznością.

Urząd ds. Dzieci, Młodzieży oraz Rodziny Bufdir (w jego strukturach jest BV) niechętnie dzieli się informacjami. Z ostatnich przekazanych nam danych (stan na koniec 2015 r.) wynika, że w Norwegii mieszkało 22,2 tys. dzieci polskiego pochodzenia. To największa grupa dzieci obcego pochodzenia w Norwegii. 67 polskich dzieci przebywało w norweskiej opiece zastępczej. Część z nich od kilku lat.

DOBRA OCENA POLSKIEGO MSZ

Do decyzji norweskiego MSZ o wydaleniu polskiego konsula odniósł się w ubiegły wtorek minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz. Stwierdził, że nie ma powodów do wcześniejszego odwołania Sławomira Kowalskiego, i zapowiedział, iż pozostanie on w Oslo zgodnie z planem, czyli do końca czerwca. – Nie jesteśmy zdania, że Norwegia ma uzasadnione zarzuty wobec pracy pana konsula Kowalskiego. Oceniamy tę pracę dobrze. Nie znajdujemy uzasadnienia dla nadzwyczajnych działań w tym zakresie – powiedział Czaputowicz. Stwierdził, że Polska nie otrzymała formalnego stanowiska w sprawie konsula Kowalskiego. – Jeśli otrzymamy, to będziemy reagować w zależności od okoliczności – dodał minister.

Ryszard Żółtaniecki zwraca jednak uwagę, że nawet jeśli szef MSZ chciałby, by konsul kontynuował misję, to termin opuszczenia Norwegii wyznaczony przez tamtejsze władze jest obowiązujący. – To prerogatywa państwa przyjmującego – podkreśla.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Jak odkładać pieniądze

Niemal dwa biliony złotych. Tyle według raportu NBP „Kwartalne rachunki finansowe" zaoszczędzili już Polacy. Z kolei w badaniu „Finansowy barometr ING" posiadanie oszczędności deklaruje już 69 proc. z nas. To najlepszy wynik w historii naszego kraju

eprasa.pl d95acbd8fa

FOT. ADOBE STOCK

Kluczowe terminy:

Inflacja – tempo, w jakim w danym okresie rosną przeciętne ceny w gospodarce. Wyrażana jest w procentach. Dla przykładu: wskaźnik cen i usług konsumpcyjnych (inflacja CPI) w listopadzie 2018 r. wyniósł 1,3 proc. rok do roku, wobec 1,8 proc. rok do roku w październiku. W praktyce inflacja sprawia, że oszczędności z czasem tracą na wartości. Za tysiąc złotych za rok będzie można kupić mniej niż za taką samą kwotę dzisiaj. Właśnie dlatego z inflacją wiąże się spadek siły nabywczej pieniądza.

Ryzyko stopy procentowej – wynika z tego, że oprocentowanie lokat i kredytów jest zmienne i zależy od stóp procentowych ogłaszanych przez Radę Polityki Pieniężnej, która za pomocą zmian w wysokości stóp wpływa na krajową gospodarkę, stabilizując inflację na poziomie bliskim celu inflacyjnego.

Ryzyko inwestycyjne – ryzyko, że stopa zwrotu z inwestycji będzie się różnić od stopy zwrotu oczekiwanej przez inwestora. Obarczona nim jest każda inwestycja. W zależności od aktywów, w które lokowane są środki, w grę wchodzić może ryzyko inflacji, ryzyko walutowe czy też ryzyko polityczne (dotyczące np. podwyżek podatków, zmian regulacji etc.). Świadomość skali podejmowanego ryzyka jest więc kluczowa przy podejmowaniu decyzji o zainwestowaniu kapitału.

Rekordowo niskie bezrobocie, przyspieszenie wzrostu płac, świetna sytuacja gospodarcza Polski oraz wypłata dodatkowych świadczeń socjalnych (m.in. „500+") sprawiły, że Polacy stają się coraz zamożniejsi. To zaś przekłada się na oszczędności. Liczba osób, które deklarują ich posiadanie, w ciągu ostatnich dwóch lat wzrosła imponująco. Z przeprowadzonego w 2018 r. badania „Finansowy barometr ING" wynika bowiem, że odsetek posiadaczy jakichkolwiek oszczędności w 2017 r. wynosi 69 proc., czyli aż o ponad 20 punktów procentowych więcej niż dwa lata wcześniej. To wynik tylko nieznacznie niższy niż europejska średnia, która wynosi 70 proc.

Mniej niż jedną pensję odłożyło 11 proc. badanych (przeciętnie w Europie 18 proc.). Najwięcej, bo aż 31 proc., deklaruje, że ich oszczędności wynoszą równowartość od jednej do trzech pensji (średnio w Europie odsetek ten wynosi 27 proc.). Oszczędności wynoszące od czterokrotności do sześciokrotności miesięcznych dochodów ma 21 proc. Polaków (przeciętnie w Europie 18 proc.), a od 7 do 12 pensji odłożyło 18 proc. z badanych w Polsce (15 proc. w Europie). 19 proc. Polaków pochwaliło się zaś ankieterom, że ma odłożoną co najmniej 12-krotność miesięcznych dochodów (średnio w Europie: 22 proc.).

Niestety, z przytoczonego badania wynika, że Polacy nadal nie czerpią przyjemności z oszczędzania. Aż 62 proc. twierdzi, że pieniądze są po to, by je wydawać. 44 proc. mówi z kolei, że wydawanie pieniędzy na dłuższą metę przynosi im więcej satysfakcji niż oszczędzanie. To najwyższy odsetek spośród wszystkich krajów zgodnie z badaniem „Finansowy barometr ING".

Wyniki raportu „Polak oszczędny. Dlaczego przechodzimy obojętnie obok zysków?" opracowanego przez BGŻ Optima pokazują z kolei, że choć Polacy zaczęli oszczędzać, to wciąż mają z tym duże trudności. Najczęściej wynikają one z tego, że ankietowani kierują się przekonaniami zamiast obiektywną wiedzą finansową, wybierają produkty, które są uważane za bezpieczne, ale bez zwracania uwagi na ich prawdziwą opłacalność, a także oszczędzają bez ustalonego planu, czyli odkładają nieregularne kwoty pochodzące z nadwyżek lub pieniędzy „ekstra".

Mimo to, jak wynika z październikowego raportu Związku Banków Polskich, w ciągu ostatnich ośmiu lat oszczędności Polaków per capita zwiększyły się o ponad 70 proc. Mimo rosnącej skłonności Polaków do oszczędzania ZBP zwraca uwagę, że wciąż jest nam daleko do europejskiej czołówki. W Polsce stopa oszczędności (pula pieniędzy, którą oszczędzamy w zestawieniu z naszymi dochodami) wynosi bowiem ok. 2,5 proc., podczas gdy w Niemczech jest ona niemal cztery razy wyższa, w Holandii prawie sześć razy wyższa, a np. w Szwecji stopa oszczędności w 2017 r. osiągnęła poziom blisko 16 proc.

Również z danych Eurostatu wynika, że wciąż daleko nam do mistrzów oszczędzania. Polacy odkładają średnio 4,4 proc. dochodu (czyli zaledwie 44 zł z każdego zarobionego tysiąca), podczas gdy Szwedzi chomikują niemal 20 proc. swoich dochodów, Niemcy 17 proc., Francuzi

eprasa.pl d95acbd8fa

13,5 proc., a średnia unijna wynosi 10,8 proc. (12,2 proc. w strefie euro).

GROSZ DO GROSZA

Oszczędzanie to dobrowolne powstrzymywanie się od bieżącej konsumpcji w taki sposób, aby móc odłożyć nadwyżki finansowe i powiększyć swój majątek.

Oszczędności można podzielić na oszczędności przedsiębiorstw, rządów i gospodarstw domowych. Skupmy się na tych ostatnich. Wbrew pozorom odkładanie pieniędzy nie jest bowiem wcale takie trudne. Znane od dawna przysłowia, takie jak: „Grosz do grosza, a będzie kokosza", „Człowiek biedny ceni sobie każdą złotówkę, bogaty każdy grosz", „Oszczędzają bogaci i nam się opłaci" nie straciły nic na aktualności. Wciąż trafne jest też powiedzenie rzymskiego filozofa Seneki, który ponad dwa tysiące lat temu zauważył: „Za późno na oszczędzanie, kiedy widać dno". Na nic tłumaczenie, że nie ma czego odkładać. Co więcej, osoby o niższych dochodach tym bardziej powinny odkładać nawet drobne kwoty, aby stworzyć sobie choćby niewielką poduszkę finansową. Nawet regularne odkładanie niewielkich sum, rzędu 50–100 zł, pozwoli na zebranie w ciągu roku kilkuset złotych oszczędności. Dzięki takiej rezerwie można pokryć nieprzewidziane wydatki – np. wizytę u lekarza specjalisty lub nagłą naprawę samochodu – bez konieczności zaciągania kredytów czy drogich i niebezpiecznych „chwilówek".

Przykładowo, odkładając co miesiąc 100 zł na rachunek z oprocentowaniem 2 proc. i miesięczną kapitalizacją odsetek, po 10 latach na koncie będziemy już mieli 13 tys. zł (już po odliczeniu podatku od zysków kapitałowych), a po 20 latach – 28,3 tys. zł.

Niezależnie od osiąganych dochodów w oszczędzaniu najważniejsze są dyscyplina i systematyczność. Zalecanym przez wielu ekspertów rozwiązaniem jest odkładanie co najmniej 10 proc. miesięcznych dochodów oraz połowy wszelkich premii i dodatkowych wpływów.

Niektórym trudno jest choćby zacząć oszczędzać, a co dopiero odkładać coś miesiąc w miesiąc. Jest na to jednak kilka sposobów. Skoro najważniejszy jest nawyk oszczędzania, to trzeba pożegnać się z wymówkami, że pod koniec miesiąca po prostu nie ma co odłożyć. Jak? Gdy tylko dostajemy wypłatę, konkretną kwotę, np. 200 zł, odłóżmy od razu na konto oszczędnościowe lub np. na wybrany fundusz inwestycyjny. Wiele banków i instytucji finansowych proponuje specjalne programy regularnego oszczędzania lub dodatkowo premiuje osoby, które chcą systematycznie odkładać pieniądze (np. za pomocą premii pieniężnej, wyższego oprocentowania lokat czy zwolnienia z opłat za nabycie funduszu inwestycyjnego). Wówczas odpowiednia kwota może być automatycznie raz w miesiącu pobierana z naszego konta.

Budżet domowy potrafią zrujnować codzienne drobne wydatki, np. na kawę czy słodycze. David Bach, autor książek o tematyce finansowej, rozpowszechnił nawet pojęcie „czynnik latte" FOT. ADOBE STOCK

10 proc.

CO NAJMNIEJ TAKĄ CZĘŚĆ MIESIĘCZNYCH DOCHODÓW WARTO REGULARNIE ODKŁADAĆ

Utrzymaniu dyscypliny w oszczędzaniu sprzyja również prowadzenie budżetu domowego. Czasem już samo spisanie wszystkich wydatków pozwala na wyeliminowanie niepotrzebnych comiesięcznych płatności, np. za siłownię, na której nie byliśmy od roku, lub za dodatkowy kanał telewizyjny, którego i tak nie mamy czasu oglądać.

W oszczędzaniu pieniędzy pomaga również zwykła lista zakupów – można ją zrobić na tradycyjnej kartce lub skorzystać z wielu bezpłatnych aplikacji na smartfony. Dzięki niej, chodząc po kolejnych alejkach supermarketu, nie kupimy mnóstwa produktów, które potem okażą się niepotrzebne. Według danych np. portalu Niemarnuje.pl ilość żywności marnowanej w gospodarstwach domowych na jednego mieszkańca w ciągu roku wynosi 110 kg w Wielkiej Brytanii, 108 kg we Włoszech, 99 kg we Francji, 82 kg w Niemczech i 52 kg w Polsce. Robiąc zakupy, warto też pilnować terminów przydatności do spożycia i realnie szacować swoje możliwości konsumpcyjne. Dzięki liście zakupów będziemy też mogli łatwiej uniknąć wpadnięcia w zastawiane w sklepach przez marketingowców pułapki, mające skłonić nas do nieplanowanego powiększenia zakupów – czy to poprzez zakup nowego produktu, czy poprzez kupno zbyt dużej ilości danego towaru.

Planowanie zakupów to tylko jeden ze sposobów na szukanie oszczędności. Drugi to ścisła kontrola wydatków. Pomóc może w niej np. okresowe zrezygnowanie z płatności kartami i zabieranie każdego dnia ściśle określonej kwoty gotówki. Wówczas nie grozi nam impulsywny zakup, bo po prostu nie będziemy w stanie za niego zapłacić.

Poza tym warto pamiętać, że domowy budżet zrujnować mogą nie tylko duże, niepotrzebne zakupy, lecz także drobne wydatki, które w skali miesiąca czy roku kosztują nas o wiele więcej, niż możemy sobie wyobrazić. David Bach, amerykański autor książek o tematyce finansowej, rozpowszechnił nawet pojęcie „czynnik latte", nazywany też „współczynnikiem małej czarnej". I chociaż niektóre elementy jego teorii wzbudzają kontrowersje, to ogólne założenie jest proste i słuszne: codzienna kawa, za którą w firmowym bufecie płacimy 8 zł, w skali miesiąca kosztuje nas już co najmniej 160 zł (8 zł x 20 dni),

eprasa.pl d95acbd8fa

a w skali roku – 1920 zł. Rzecz jasna, nie chodzi tylko o kawę, ale wszystkie drobiazgi, na które regularnie niepotrzebnie wydajemy pieniądze. Mogą to być słodycze z pobliskiej cukierni, pakiety dodatkowych 200 kanałów w kablówce czy jednorazowe torby na zakupy (noszenie własnej może pozwolić zaoszczędzić od kilku do kilkunastu złotych miesięcznie), nie wspominając o kosztach środowiskowych. Być może warto też np. zrezygnować z telefonu stacjonarnego, skoro i tak każdy w rodzinie nosi przy sobie smartfon.

Oczywiście część osób odpowie wówczas, że życie jest zbyt krótkie, aby odmawiać sobie przyjemności kosztujących kilka–kilkanaście złotych. Zaskakująco często stwierdzenie to używane jest właśnie dla usprawiedliwienia rozrzutności. O wiele rzadziej słyszymy przecież: „Życie jest zbyt krótkie, więc zamiast oglądać telewizję, poczytam dobrą książkę" czy „Życie jest zbyt krótkie, więc będę więcej czasu spędzał z rodziną". Żeby uświadomić sobie, jak dużo pieniędzy niepotrzebnie wydajemy, warto przez miesiąc lub dwa zapisywać dokładnie każdy zakup. Wówczas zobaczymy dokładnie, ile pieniędzy wyrzucamy w błoto.

Prostym i przyjemnym sposobem jest też codzienne odkładanie do skarbonki, słoika lub szuflady dokładnie takiej kwoty, jaką danego dnia wydalibyśmy na pączka czy kawę. Gdy po miesiącu sprawdzimy, ile się uzbierało, będziemy mieli miłą niespodziankę.

Aby mieć więcej motywacji do odkładania pieniędzy, warto pamiętać, że pieniądze nie są celem samym w sobie, lecz są doskonałym środkiem do realizacji innych planów. Poza odkładaniem pieniędzy na „czarną godzinę" – co zapewnia spokój ducha – dużo satysfakcji dać może oszczędzanie na spełnienie konkretnych marzeń: kupno nowego telewizora lub smartfona, egzotyczne wakacje czy remont mieszkania. Oszczędzanie na taki cel jest korzystniejsze niż wzięcie kredytu czy pożyczki. Od nadwyżek finansowych bank wypłaci nam odsetki, a jeśli na realizację marzeń weźmiemy kredyt, wówczas my będziemy musieli zapłacić instytucji finansowej za pożyczenie pieniędzy.

Oszczędzając, warto pomyśleć też o celach długoterminowych, takich jak zakup nowego samochodu, budowa domu czy utworzenie własnego funduszu na późniejszą edukację dzieci. Dla własnego spokoju i komfortu warto też już w młodym wieku zacząć oszczędzać

189,7 mld zł

TAKĄ KWOTĘ POLACY TRZYMAJĄ W GOTÓWCE

choćby niewielkie kwoty z myślą o solidnym dodatku do wypłacanej przez ZUS emerytury. Korzystając z procentu składanego (sposób oprocentowania wkładu pieniężnego polegający na tym, że odsetki za dany okres oprocentowania są doliczane do wkładu i w ten sposób „składają się" na wypracowany zysk w następnym okresie), po latach można zgromadzić spory kapitał. W Internecie są dziesiątki darmowych kalkulatorów oszczędzania, które pozwolą łatwo wyliczyć, jak duży kapitał uda się zgromadzić, odkładając systematycznie z góry ustaloną kwotę przy określonym oprocentowaniu.

„SKARPETA" SIĘ NIE OPŁACA

Polacy są narodem, który nadal bardzo dużo pieniędzy przechowuje w domowej „skarpecie" – poza bankami i innymi instytucjami finansowymi. Według danych NBP opublikowanych w raporcie „Kwartalne rachunki finansowe" na koniec II kw. 2018 r. Polacy mieli w gotówce aż 189,7 mld zł (9,5 proc. wszystkich środków).

Warto jednak pamiętać, że trzymanie pieniędzy w „skarpecie" nie ma sensu. Po pierwsze dlatego, że inflacja – nawet jeśli jest niska – pożera część odłożonych środków, z miesiąca na miesiąc i z roku na rok za przechowywane w ten sposób pieniądze możemy bowiem kupić coraz mniej.

Po drugie, ryzyko rabunku lub kradzieży pieniędzy zgromadzonych na kontach jest o wiele niższe niż wówczas, gdy trzymamy je pod materacem, w bieliźniarce czy ukryte w książkach. Pieniądze złożone w bankach są gwarantowane przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny (w całości do równowartości 100 tys. euro, czyli obecnie do ok. 430 tys. zł). Aby uchronić się przed inflacją, nie powinniśmy jednak robić bankierom prezentów i pozwalać, aby nasze ciężko zarobione pieniądze bezczynnie leżały na nieoprocentowanych kontach. Jak podaje NBP we wspomnianym raporcie, na zazwyczaj nieoprocentowanych rachunkach bieżących pod koniec II kw. 2018 r. leżakowało aż 481 mld zł. Lepiej zmusić je do pracy. Zwłaszcza że wiele banków oferuje bezpłatne prowadzenie kont oszczędnościowych, na których oprocentowanie waha się od 0,1 do 3,9 proc. rocznie. Gdyby odłożoną przez Polaków gotówkę oraz pieniądze trzymane na nieoprocentowanych rachunkach ulokować chociaż na 1,5 proc. rocznie, po roku uzyskalibyśmy ponad 10 mld zł odsetek.

481 mld zł

TAKI MAJĄTEK POLACY TRZYMAJĄ NA ZAZWYCZAJ NIEOPROCENTOWANYCH RACHUNKACH BIEŻĄCYCH

OSZCZĘDZANIE A INWESTOWANIE

Aby pieniądze zaczęły pracować, można np. ulokować je w banku. Na oprocentowanych depozytach według wspomnianego raportu NBP Polacy trzymają 301 mld zł. Wybierając termin lokaty, pamiętajmy również o ryzyku stopy procentowej. Trzeba więc dobrze przemyśleć, czy warto założyć lokatę 12-miesięczną, jeśli istnieje prawdopodobieństwo szybkich podwyżek stóp procentowych. Może się bowiem okazać, że z pozoru atrakcyjnie oprocentowana lokata po trzech–sześciu miesiącach będzie już jedną z gorszych ofert na rynku. Zyski z lokaty mogą zaś zostać „zjedzone" przez nadmierny wzrost cen wynikający z wysokiej inflacji. Sposobem oszczędzania obarczonym bardzo niskim ryzykiem jest też indywidualny zakup obligacji rządowych. W ten sposób możemy starać się zabezpieczyć przed inflacją realną wartość naszych pieniędzy.

Jeśli nie wystarcza nam ochrona tego, co już mamy, i chcielibyśmy zmusić pieniądze do cięższej pracy, to można je zainwestować. Inwestycja może przynieść duże zyski, ale wiąże się z ryzykiem. Zyski mogą pojawić się dopiero po wielu latach. Inwestycja może się też zakończyć stratą, czyli uszczupleniem majątku lub nawet utratą całego zainwestowanego kapitału. Inwestować można, np. kupując akcje, nieruchomości lub dzieła sztuki. Myśląc o pomnażaniu pieniędzy, trzeba się również dobrze zastanowić nad horyzontem czasowym inwestycji, aby nie okazało się, że będziemy musieli nagle wycofać kapitał i sprzedać akcje czy nieruchomości ze stratą zamiast z zyskiem.

Szczegółowo o sposobach oszczędzania i inwestowania pisać będziemy w kolejnych odcinkach cyklu.

Jan Pieniążek

eprasa.pl d95acbd8fa

Krystian Kratiuk

Powrót króla

„Król Lew" był kreskówką na wskroś chrześcijańską. Do tego stopnia, że atakowali ją lewacy. Jaki będzie jego remake?

Mieszkańcy Afryki oburzyli się, bo Walt Disney Company opatentowała słowa „hakuna matata". Wytwórnia zdecydowała się na ten krok, bo już w tym roku na ekrany kin wchodzi nowa wersja filmowego hitu sprzed lat – „Króla Lwa", dzieła, które rozsławiło owo zawołanie z języka z suahili, w wolnym tłumaczeniu znaczące „nic się nie martw". Dwadzieścia pięć lat po premierze wersji kreskówkowej Disney zdecydował się na komputerową odsłonę jednej ze swych najsłynniejszych historii.

To wielkie wydarzenie kulturalne może jednak w pewnych kręgach budzić niepokój. „Król Lew" sprzed ćwierćwiecza okazał się bowiem filmem na wskroś chrześcijańskim i tak naładowanym tradycyjnymi wartościami, że przez lata wzbudzał… agresję lewicy.

TRADYCJA I WIARA

Czy agresji mógłby nie wzbudzać film stanowiący nadzwyczaj piękną afirmację naturalnego, tradycyjnego porządku? I zgodnego z nim triumfu idei władzy monarszej? Już pierwsza scena w filmie pokazuje namaszczenie lwiątka – Simby – na przyszłego władcę krainy. Najmniejsze i największe zwierzęta z całej okolicy pędzą pod Lwią Skałę, by złożyć hołd dumnemu królowi, Mufasie, i jego nowo narodzonemu następcy.

Twórcy wyraźnie rozróżniają system rządu jednostki oparty na niepodważalnych odwiecznych zasadach od systemu władzy uzurpatorskiej tyranii. Oto Skaza – nowy król, drogę do władzy torujący sobie morderstwem brata – dba wyłącznie o własne interesy, a jego otoczenie stanowią żądne świeżej krwi hieny. Gdy tabuny tych psów pustyni oddają hołd nowemu, złemu władcy, widzimy sceny wprost nawiązujące do kronik III Rzeszy – na trybunie wstrętny wódz, a u dołu rzędy miernych, biernych, ale wiernych morderców chcących jedynie nakarmić wygłodniałe żołądki.

Władza prawowitego Króla Lwa ma zaś charakter legitymistyczny i sakralny. Królewski pierworodny potomek zostaje namaszczany przez kapłana i to namaszczenie stanowi znamię na całe życie. Nie można się go zrzec, nawet jeśli byłoby to wygodne. Tylko Simba może więc pokonać tyrana-uzurpatora. Dopiero po strąceniu z tronu Skazy na Lwią Ziemię wraca radość i pokój. Pod koniec filmu wszystkie gatunki zwierząt przychodzą, by złożyć hołd nowemu władcy. Wśród fanów filmu scena ta uchodzi za najpiękniej obrazującą majestat monarchii w historii kina.

Religijnych wątków w opowieści o Simbie jest znacznie więcej – i są to nawiązania do konkretnej religii, chrześcijaństwa. Mędrzec-kapłan Rafiki, namawiając wygnanego króla do powrotu, uczy go wszak rozmawiać z Ojcem. Z Ojcem, który choć umarł, wciąż żyje. A młody lew dostrzega zstępującego z obłoków Ojca, który nie pozwala mu zapomnieć, kim naprawdę jest. Śmierć fizyczna nie jest w „Królu Lwie" końcem wszystkiego. „Wieczny życia krąg" (tytuł jednej z piosenek filmu) trwa i po niej. Królowie – ale wyłącznie ci dobrzy – po śmierci wędrują do nieba i osiadłszy na jego firmamencie, czuwają nad kolejnymi pokoleniami. Z tego samego nieba, z którego na Lwią Skałę dociera promień słońca oświetlający nowo narodzonego następcę tronu.

Chrześcijańskie wątki widać również w rozstrzygających scenach filmu. Gdy Simba walczy ze Skazą, nie chce go zabijać, choć od początku uznaje taką karę za dopuszczalną i sprawiedliwą. Wykazuje się jednak miłosierdziem i chce dać stryjowi ostatnią szansę – ocali życie, jeśli dobrowolnie odejdzie. Ten jednak decyduje się na kolejny zdradziecki atak, zostaje więc ukarany śmiercią.

WARTOŚĆ ŻYCIA I RODZINY

Wspomniany „wieczny krąg życia" to jedna z głównych zasad funkcjonowania zwierzęcego świata. Mufasa tłumaczy synowi, że wszystko w przyrodzie jest dobrze poukładane, w nic nie należy ingerować, a owa harmonia trwa od zawsze i nigdy nie wolno jej zaburzyć. Dotyczy to zarówno rodzącego się nowego życia (tak brawurowo zobrazowanego w pierwszych scenach), jak i śmierci. Nie bez powodu słyszymy w tle słowa: „Wieczny życia krąg, co prowadzi nas / przez rozpaczy mrok, w nadziei blask. /Aby dojść do tych dróg, własnych i pisanych, / w ten wspaniały, wieczny życia krąg".

W tym kręgu życia obowiązują hierarchia i zasady. W lwiej rodzinie królewskiej panuje niemal modelowy ład. Ojciec

eprasa.pl d95acbd8fa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jest nie tylko doskonałym władcą, lecz także wzorową głową rodziny – dla najbliższych czuły i troskliwy, kiedy jednak przychodzi mu stanąć w ich obronie, przeistacza się w groźnego wojownika. Reprymendy, których udziela potomkowi, mimo surowości wynikają wyłącznie z chęci nauczenia go mądrości, a nie z potrzeby wyładowania złych emocji. Matka Simby, Sarabi, to natomiast wzór kobiecości – kochająca żona i matka, czuła, ciepła i opiekuńcza. Jednocześnie dumna i niezachwianie wierna mężowi – również po jego śmierci.

HAKUNA MATATA?

„Hakuna matata" jest odpowiednikiem amerykańskiego „don't worry" albo nawet łacińskiego „carpe diem". To filozofia życia, którą główny bohater poznaje podczas przymusowej emigracji ze swego królestwa – dowiaduje się o istnieniu takiego stylu bycia od guźca i surykatki, niezbyt poważnych zwierząt, żyjących wyłącznie chwilą. Dorastający Simba zachwyca się tą iście hippisowską ideą, ale i tak pozostaje najlepiej wychowaną postacią spośród nowych przyjaciół – to też nauka dla widza, że odebranie dobrego wychowania w rodzinie procentuje na całe życie, przecież czym skorupka za młodu nasiąknie…

Jednak Simbę uderza niewiara nowych towarzyszy w życie nadprzyrodzone – w to, czego nauczył go ojciec. Jednak lew, jako – mimo wszystko – nadzwyczajna wśród lekkoduchów osobowość, pozostaje dla nich wzorem i gdy decyduje się wyruszyć, by odbić swe królestwo, nieuznający dotąd żadnych zasad i hierarchii Timon i Pumba podążają za nim. Pomagają mu pokonać złego władcę i dołączają się do składanego przez całą zwierzęcą społeczność homagium.

RYK KULTUROWYCH MARKSISTÓW

Mimo że kreskówka sprzed 25 lat odczytywana jest jako hołd dla prawdy, dobra i piękna, remake może wzbudzać obawy nie tylko lewicowych liberałów, lecz także konserwatystów. Przez ostatnie ćwierć wieku świat zmienił się nie do poznania i lewicowy marsz przez instytucje doprowadził cywilizację zachodnią na skraj obłędu. Dlatego też nie wiadomo, czy nowy „Król Lew" będzie równie dobry, piękny i prawdziwy jak oryginał.

To, że film tak naszpikowany chrześcijaństwem i tradycyjnymi wartościami został w ogóle wyprodukowany w latach 90., gdy w przemyśle filmowym rządziło już przecież pokolenie wychowane na ideach roku 1968, wydaje się jakimś niebywałym darem od losu. Tym większym, że film okazał się hitem pod każdą szerokością geograficzną. Lewacy, jak to mają w zwyczaju, prędko przystąpili więc do ataku na „Króla Lwa".

I tak oto, oprócz oczywistych ataków na wartości już wymienione, zaatakowano np. sposób przedstawienia głównego czarnego charakteru. Otóż tuż po premierze jeden z lewackich publicystów (Math Roth z „Jump Cut") uznał, że Skaza jawi się jako „zmanierowany" i przejawia zdecydowanie mniej cech męskich od zamordowanego przez siebie poprzednika, a także w ogóle nie stara się zdobyć samicy mającej zapewnić mu potomka – a więc na pewno jest gejem! Przedstawienie go jako „tego złego" jest więc przejawem homofobii (sic!). W 2016 r. za to jeden ze szwedzkich publicystów ujął się za Skazą jako za „kulturowym marksistą", którego niesłusznie przedstawia się jako sfeminizowanego i nijakiego, a to Mufasę nazwał postacią gloryfikującą faszyzm.

JON FAVREAU „KRÓL LEW" PREMIERA: LIPIEC 2019 R.

W atakach na „Króla Lwa" nie mogło się obejść również bez wątku imigranckiego. Twórcy filmu usłyszeli więc, że skoro Skaza chciał, by królestwem współrządziły lwy i hieny, to znaczy, że jest piewcą multikulturalizmu. W tej pokracznej metaforze hieny jawią się jako imigranci, a Skaza jako władca pragnący zapewnić im stały dochód – pożywienie – zmuszając lwice do pracy na rzecz padlinożerców…

Krytykom filmu już w latach 90. nie podobało się też jego antywegetariańskie przesłanie – wiadomo bowiem, że lwy zjadają inne zwierzęta. Film jest też ponoć zbyt mało kobiecy – na kilkanaście postaci jedynie cztery są płci żeńskiej.

JAKI BĘDZIE POWRÓT KRÓLA?

Lata lewicowej nawalanki w tradycyjną kulturę sprawiają, że nie wiemy, jaki będzie Król Lew 2.0. Od lat docierają do nas informacje, że Disney co rusz staje się celem lewaków – od dawna bowiem domagają się oni homoseksualnych postaci w filmach tej wytwórni (skutecznie), księżniczek po aborcji (jeszcze nieskutecznie), a niektóre z jej gałęzi (jak choćby parki Disneyland) już włączają się w promocję ruchu homoseksualnego (w zeszłym roku w Paryżu przed homoparadą wyprodukowano tęczowe gadżety Disneya). Jakby tego było mało, jedną z największych produkcji Disneya w ostatnich latach był film „Czarownica", w którym główną dobrą bohaterką jest odgrywana przez Angelinę Jolie Diabolina – znana nam do tej pory jako zła jędza ze „Śpiącej królewny". Kilka lat temu ta sama historia opowiedziana została z innej perspektywy…

Czy więc możemy nie drżeć o scenariusz nowego „Króla Lwa"? Czy nie okaże się, że po odpowiedniej dekonstrukcji Timon i Pumba zostali parą, Simba miał rodzeństwo, ale Sarabi na szczęście dokonała aborcji, a Skaza w rzeczywistości był jedynie skrzywdzonym niegdyś przez ojca (i oczywiście kapłana Rafiki) dobroczyńcą?

A może jednak Disney zechce raz jeszcze uraczyć nas epicką opowieścią opartą na tradycyjnych wzorcach i zasadach. Zjawiskowy zwiastun opublikowany pod koniec ubiegłego roku, w którym sceny znane sprzed lat zyskują nową odsłonę, pozwala żywić taką nadzieję. Premiera już w lipcu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym portalu PCh24.pl.

eprasa.pl d95acbd8fa

Sen o złotym rycerzu

Radosław Wojtas

Najlepszy film nieanglojęzyczny, reżyser i zdjęcia – „Zimna wojna" z nominacjami do Oscara w trzech kategoriach. Rekordzista ma 10 nominacji

W zasadzie tylko przez chwilę mogliśmy mieć jakiekolwiek wątpliwości. Gdy „Zimna wojna" w reżyserii Pawła Pawlikowskiego dość niespodziewanie nie doczekała się ani jednej nominacji do Złotych Globów, zaczęto się zastanawiać, czy to oznacza, że i na nominacje do Oscarów nie ma szans? Wcześniej takiego zawahania nie było, a nominacja w kategorii najlepszego filmu nieanglojęzycznego była raczej pewna. Jednak aż trzy – to jednak zaskoczenie. „Trzy nominacje dla »Zimnej wojny«. Paweł [Pawlikowski – reżyser – przyp. red.], gratuluję; Łukasz [Żal – zdjęcia – przyp. red.], gratuluję. I dziękuję wam, że trzymaliście tak mocno kciuki za nas i byliście całym sercem z nami i kibicowaliście nam – to się czuło. Dziękuję wszystkim bardzo serdecznie. Zimna wojna!" – komentowała na gorąco Joanna Kulig, odtwórczyni roli Zuli Lichoń.

Film Pawła Pawlikowskiego to czarno-biała opowieść o trudnej miłości w czasach zimnej wojny lat 50. – Nagle to Hollywood się obraca i nam bije brawo. Mistrzowskie jest to, co udało się Pawłowi Pawlikowskiemu, tzn. że ci ludzie przez pół godziny oglądali polski folklor… Jakbyśmy na to nie spojrzeli, słuchają piosenek »Dwa serduszka, cztery oczy« w świecie, w którym się mówi, że jak robisz film nieanglojęzyczny, to on jest nie do oglądania, a oni wszyscy po półtorej godziny biją brawo i później słyszę: »Inaczej na twój kraj patrzę«. To jednak jest coś bardzo mocnego – mówił w TVN24 Tomasz Kot, odtwórca roli Wiktora Warskiego.

Czy film do długiej listy nagród – m.in. z festiwalu w Cannes i Gdyni, pięciu nagród Europejskiej Akademii Filmowej – dołoży Oscara? Przekonamy się 25 lutego.

Faworytem tegorocznej gali jest „Roma" – również czarno-biały dramat, również obsypany nagrodami, wśród których są wenecki Złoty Lew oraz Złoty Glob dla najlepszego filmu zagranicznego. To opowieść o życiu służącej w Meksyku lat 70. ubiegłego wieku. Film zdobył 10 nominacji, w tym na najlepszy film nieanglojęzyczny (jest więc najpoważniejszym rywalem „Zimnej wojny") i najlepszy film. W tej ostatniej kategorii nominację zdobyły także: „Bohemian Rhapsody", „Czarna Pantera", „Czarne bractwo. BlacKkKlansman", „Faworyta", „Green Book", „Narodziny gwiazdy" oraz „Vice". Grająca główną rolę w „Romie" Yalitza Aparicio została nominowana do Oscara w kategorii „Aktorka" i choć Hollywood nigdy wcześniej o niej nie słyszało, to przedstawicielka Indigenas (Indian Ameryki Łacińskiej, meksykańskich autochtonów) ma duże szanse na statuetkę. W ogóle „Roma" może rozbić bank, o co bardzo zabiega dystrybutor filmu. Mówi się, że na przedoscarową promocję filmu wydano już ok. 20 mln dol.

Również 10 nominacji doczekała się „Faworyta" – opowieść z XVIII-wiecznej Anglii. Osią fabuły są losy królowej Anny. Monarchini, z powodu choroby, nie może sprawować władzy, a jej obowiązki przejmuje przyjaciółka Anny – lady Sarah. Jednak jej pozycja jest zagrożona przez służącą Abigail. „Faworyta" rywalizować będzie z „Romą" w kilku kategoriach, w tym na najlepszy film, na reżyserię i najlepszą aktorkę.

Pierwszy raz Oscara ma szansę zdobyć ekranizacja komiksu Marvela. „Czarna Pantera" zdobyła siedem nominacji, a obok tych, które nie zaskakują, np. kostiumy, montaż dźwięku, scenografia, jest i nominacja do nagrody za najlepszy film, co dla wielu było niespodzianką.

91. ceremonia wręczenia Oscarów odbędzie się w Los Angeles – według polskiego czasu – w nocy z 24 na 25 lutego.

FOT. ROBYN BECK/AFP/EAST NEWS

„Czarna Pantera" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Faworyta" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Roma" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Zimna wojna" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

ALEKSANDRA **GINTROWSKA** | JULIA **GINTROWSKA** | PAULINA **GROCHOWSKA** | RENATA **PRZEMYK**
ŁUKASZ **DRAPAŁA** | MAREK **PIEKARCZYK** | JAKUB **WOCIAL** | ZBIGNIEW **ZAMACHOWSKI**
ORAZ **ORKIESTRA NFM FILHARMONII WROCŁAWSKIEJ** POD BATUTĄ JANA **STOKŁOSY**

Niezapomniany koncert

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Do wierszy Zbigniewa Herberta

NARODOWE FORUM MUZYKI WE WROCŁAWIU

7 LUTEGO 2019

GODZ. 20.00

Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego

BILETY DO NABYCIA
w kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu.
Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11.00–18.00.

REZERWACJA ONLINE
WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL | REZERWACJE@NFM.WROCLAW.PL

Bilety24
WWW.BILETY24.PL

WWW.GINTROWSKI.PL | /GINTROWSKI.PRZEMYSLAW | #GINTROWSKI

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

WSPÓŁORGANIZATORZY: centrum historii zajezdnia | Wrocław the meeting place

PATRONI MEDIALNI: TVP | Gazeta Wyborcza | Do Rzeczy | wprost

PARTNERZY: LOTTO | Poczta Polska

eprasa.pl d95acbd8fa

Hitler, władza, opera

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Semka z Norymbergi

Hitler musiał Niemców uwieść, a nie zgwałcić. Jego miłość do opery pomogła mu tego dokonać

Wódz III Rzeszy był romantykiem. A opera była mu najbliższą ze sztuk. Nic dziwnego, że to Norymberga, rozsławiona przez Wagnera operą o turnieju śpiewaczym w tej starej stolicy niemieckiego Cesarstwa, była dla Hitlera symbolem germanizmu. To z zachwytu „Śpiewakami norymberskimi" wyłoniła się idea norymberskich parteitagów. Po zdobyciu władzy przez NSDAP reżyserzy operowi odwzajemniali się za deszcz zaszczytów ze strony Führera pomocą w budowaniu dramaturgii brunatnych spędów. O przenikaniu się sztuki operowej z ideologią opowiada wystawa „Hitler, władza, opera" w dawnej nazistowskiej Kongresshalle w Norymberdze.

Nazizm odcisnął na prastarym mieście Wita Stwosza i Albrechta Dürera trudne do zmycia piętno. Miasto zjazdów NSDAP, antyżydowskich ustaw i powojennego procesu zbrodniarzy III Rzeszy z pokorą odpokutowuje swoją brunatną sławę. Czyni to poprzez rzetelne i skrupulatne rozliczanie się z hańbą epoki lat 1933–1945. Miejscem tego rozrachunku jest muzeum stworzone w 2001 r. w dawnej hali kongresowej z epoki nazizmu. Prace nad tą ogromną budowlą wzorowaną na rzymskim Teatrze Marcellusa i Koloseum podjęto na rozkaz Hitlera w 1935 r. W niedokończonej wskutek wojny hali utworzono muzeum opowiadające o parteitagach z lat 1927–1939 i zbrodniczym charakterze nazizmu. Szczerze mówiąc, poza salą kongresową niewiele więcej zostało z terenów wielkich parad. Trybuny na słynnych polach Zeppelinfeld zostały po wojnie w większości wyburzone, podobnie jak wysadzono ruiny Luitpoldhalle. Ze znanej z filmów Leni Riefenstahl kolumnady zwieńczonej przed wojną gigantyczną betonową swastyką zachowano nędzne resztki. Pozostaje muzeum, w którym zaprezentowano ekspozycję o fascynacji Führera sztuką operową w Norymberdze.

Gdy pada hasło „Hitler i opera", najczęściej przychodzi na myśl wagnerowski festiwal w nieodległym Bayreuth. Jednak drugim, równie mocnym ośrodkiem nazistowskiej „nowej kultury" był właśnie Opernhaus w Norymberdze. I to o wpływie jego artystów na oprawę propagandową III Rzeszy opowiada ta wystawa.

ROMANTYK Z PEJCZEM

Adolf Hitler zauroczył się sztuką operową w Wiedniu. Do stolicy imperium Habsburgów przybył w 1908 r., w wieku 18 lat, z zamiarem dostania się na wydział malarstwa wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. W stolicy Austrii spędził pięć chudych lat, w trakcie których dwukrotnie oblał egzamin na wymarzoną uczelnię. Przez większość tego czasu żył bardzo skromnie, ale zawsze potrafił zaoszczędzić pieniądze na bilet do wiedeńskiej opery. Szczególnie cenił dzieła ubóstwianego Ryszarda Wagnera. Jak pisze Brigitte Hamann, autorka książki „Wiedeń Hitlera", młody Adolf stawał w kolejce sześć godzin przed otwarciem kas, aby kupić bilet na dobre miejsce stojące, i z nienawiścią patrzył na wygodnie siedzących w fotelach mieszczan.

„Wiedeń Hitlera nie jest owym artystyczno-intelektualnym fin de siècle

eprasa.pl d95acbd8fa

Vienna – utożsamianym z Sigmundem Freudem, Gustavem Mahlerem, Arthurem Schnitzlerem czy [...] Ludwigiem Wittgensteinem" – pisze Brigitte Hamann. „Wiedeń Hitlera jest raczej przeciwieństwem tej pełnej blasku metropolii sztuki. To Wiedeń maluczkich nierozumiejących wiedeńskiego modernizmu, odrzucających go jako zdegenerowany, za mało rodzimy, zbyt internacjonalistyczny, żydowski i wolnomyślicielski".

Stolica imperium Franciszka Józefa pozostawiła w Hitlerze uraz ze względu na kosmopolityczny charakter tego miasta. Obejrzana w Wiedniu opera „Śpiewacy norymberscy" mogła wzbudzić w nim marzenie o Norymberdze jako antytezie kosmopolitycznego molocha, staroniemieckiej stolicy cesarskiej.

Gdy Hitler stworzył NSDAP, pierwszy zjazd partii w 1923 r. miał miejsce w Monachium. Po dwuletnim pobycie wodza w więzieniu w 1926 r. na drugi zlot wybrano Weimar, ale już trzeci parteitag w 1927 r. odbył się w Norymberdze. Był to hołd dla germańskiego mitu miasta, ale i skorzystanie z wyjątkowo sprawnej struktury partii pod wodzą Juliusa Streichera, późniejszego gauleitera Frankonii.

Silna pozycja NSDAP w mieście wpływała na repertuar i ducha miejscowego Opernhaus, który im bliżej było dojścia nazistów do władzy, tym mocnej stawał się wzorcem narodowego odrodzenia w sztuce teatralnej i operowej. A najczęściej granym dziełem byli oczywiście ulubieni przez Führera „Śpiewacy norymberscy". Szczególnie arię Hansa Sachsa w III akcie opery przyjmowano wtedy jako wezwanie do oporu przeciw lewicującej awangardzie, której centrum były berlińskie teatry, z lewicowymi reżyserami, takimi jak Erwin Piscator czy Bertold Brecht.

Operowy bohater śpiewał: „Strzeżcie się więc! Diabelskie sztuczki grożą nam. Jeśli niemiecki lud i jego królestwo zacznie się kruszyć pod obcą, sfrancuziałą władzą – wkrótce żaden książę nie pojmie swego ludu. Obcą mgłą i obcymi błahostkami ogarnięte będą nasze niemieckie ziemie. Nikt nie będzie już wiedział, co jest niemieckie i prawdziwe, jeśli nie będziemy czcić naszych niemieckich mistrzów. Właśnie dlatego ci mówię – czcij naszych niemieckich mistrzów, a wyczarujesz ich dobrego ducha. Jeśli uszanujesz ich starania, nawet gdy Święta Rzymska Rzesza zniknie we mgle, to zostanie nam jeszcze święta niemiecka sztuka!".

W okresie Republiki Weimarskiej śpiewacy norymberscy stali się symbolem oporu wobec Kulturbolschewismus. Gdy w 1924 r. na pierwszym festiwalu wagnerowskim w Bayreuth odegrano „Śpiewaków norymberskich", cała widownia zerwała się po finale z miejsc i odśpiewała „Deutschland über Alles!".

Hitler, na widowni sali kongresów NSDAP Luitpoldhalle, osobiście testuje akustykę zamontowanych tam organów FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nieprzypadkowo też 21 marca 1933 r. Hitler uczcił zdobycie władzy i słynny „Dzień Poczdamu" przedstawieniem „Śpiewaków…" ze swoim udziałem w berlińskiej Staatsoper na Unter den Linden.

Preludium do II aktu opery pojawiło się jako motyw muzyczny w filmie Leni Riefenstahl „Triumf woli". Karierę w III Rzeszy zrobiło też wezwanie z opery – „Fangen an!" („A więc zaczynajmy!"). W „Śpiewakach norymberskich" Wagnera okrzyk ten rozpoczynał rywalizację śpiewaków. Ten cytat stał się hasłem wykuwanym na pomnikach mających upamiętnić budowy wielkich autostrad – sztandarowej inwestycji III Rzeszy.

10 września 1935 r. uroczysta adaptacja „Śpiewaków…" w teatrze operowym z udziałem Hitlera uświetniła otwarcie siódmego parteitagu NSDAP nazwanego Zjazdem Wolności.

MROCZNE WIDOWISKO

Układ wystawy scenograficznie przypomina poszczególne części teatru: sale dyrektora, garderobę, magazyny eksponatów i wreszcie scenę. Na ścianach sal wystawowych wymalowano nazistowskie hasła, które odkryto w piwnicy przeciwlotniczej teatru. Jedno z nich pochodzi z przemówienia Hitlera: „Ludzkiego życia nie ustrzegą słabi filozofowie, ale wyłącznie silni mężczyźni". To hasło doskonale oddaje nastrój tamtej epoki.

Zwraca uwagę sekcja wystawy o latach 1932–1933, okresie przełomu. To czas końca kariery dla jednych i awansów dla drugich. W ciągu paru miesięcy po zdobyciu władzy przez Hitlera norymberska opera zostaje wyczyszczona z muzyków, śpiewaków, a nawet pracowników technicznych pochodzenia żydowskiego. Potem muszą odejść cudzoziemcy, z wyjątkiem łaskawie pozostawionego jednego Czecha. Wszystko to w imię dbałości o „niemieckość" opery.

Poruszające wrażenie robi dokładność aparatu kontroli przeprowadzającego „aryzację" niemieckiego teatru i opery. Na wystawie obejrzeć można książkowy spis wszystkich zarejestrowanych w Niemczech muzyków, śpiewaków i aktorów pochodzenia żydowskiego, rozprowadzany wśród dyrektorów placówek kulturalnych. Sporządzono go, aby kierownicy placówek kultury mogli sprawdzić nazwisko każdego kandydata do angażu pod kątem rasowym.

Zatrzymuję się przed jednym z wielu Żydów wypchniętych ze świata niemieckiej sceny. To kompozytor operowy Leon Jessel (1871–1942), znany z popularnej w latach 20. operetki „Dziewczę ze Szwarcwaldu". Wyrzucony ze wszystkich związków twórczych, pozbawiony możliwości jakiegokolwiek zarobku, ciężko pobity przez gestapo zmarł w żydowskim szpitalu w Berlinie.

Jedni musieli odejść, inni szli w górę. I pamiętali o wodzu. Opera w Norymberdze co roku uroczyście czciła po 1933 r. dzień 20 kwietnia – urodziny Hitlera – kolejnymi operami Wagnera. W 1933 r. był to „Parsifal", w 1936 r. – „Tannhäuser" a w 1938 r. – „Lohengrin". W 1936 r. przedstawienie, jak zaznacza program, odbyło się na zamówienie Wspólnoty „Siła przez Radość", która zajmowała się

eprasa.pl d95acbd8fa

Zamiłowanie III Rzeszy do muzyki w propagandzie nazistów. Inaczej widział to tygodnik „Time", 2 stycznia 1939 r. FOT. MAT. PRASOWE

narodowo ukierunkowanym ukulturalnieniem robotników.

Adolf Hitler pamiętał o norymberskiej operze. Wybrał to miejsce do corocznego wręczania przy okazji parteitagów w latach 1937 i 1938 Niemieckiej Narodowej Nagrody Sztuki i Nauki – odpowiednika Nagród Leninowskich w ZSRS. W gablotach można zobaczyć liczne nagrody i dyplomy honorowe od władz III Rzeszy, które hołubiły swych ideologicznych ulubieńców nie gorzej niż ZSRS. W 1937 r. nagrodę tę otrzymał m.in. architekt Paul Ludwig Troost, a w 1938 r. dyrygent Wilhelm Furtwängler i konstruktor Volkswagena „Garbusa" – Ferdinand Porsche.

W tym samym 1938 r. Hitler po anszlusie Austrii symbolicznie upokorzył nielubiany Wiedeń i nakazał przenieść cesarskie insygnia ze skarbca Hofburga do norymberskiego kościoła św. Katarzyny. Miały być tam wystawiane chwilowo – docelowo regalia miano złożyć w Kongreshalle, by świadczyć o duchowej jedności cesarzy średniowiecza z „tysiącletnią Rzeszą" (po wojnie klejnoty wróciły do stolicy Austrii).

Bardzo ciekawa jest część wystawy o tym, jak artyści operowi pod wodzą Benno von Arndta, specjalnego urzędnika o nazwie Reichsbühnenbildner, pomagali Hitlerowi w kreowaniu dramaturgii wielodniowych parteitagów. To oni wymyślili motyw „katedry świetlnej" – efektu snopów światła, które wytwarzały na parteitagach ustawione w jednym rzędzie reflektory przeciwlotnicze. Wódz III Rzeszy wraz z szefem propagandy Josephem Goebbelsem spędzali godziny na naradach, które utwory muzyczne mają najlepiej na zjazdach w Norymberdze ilustrować wieczorne pokazy w stylu „światło i dźwięk".

To z inicjatywy Hitlera w Luitpoldhalle firma E.F. Weckler und Cie. zamontowała największe organy na świecie, które miały swym dźwiękiem budować dramaturgię zjazdów partyjnych. Chodziło o efekt świeckiej mszy z wielkim kapłanem – Führerem – w roli głównej. Te organy były tak sławne, że rysunek Hitlera grającego na tym instrumencie ozdobił okładkę amerykańskiego tygodnika „Time". Na okładce numeru, ogłaszającego kanclerza III Rzeszy człowiekiem roku 1938, widniał drapieżny rysunek. Rysownik domalował do organów z Luitpoldhalle upiorne koło z powieszonymi ofiarami reżimu nazistowskiego.

Demonstracją życzliwości Hitlera wobec opery norymberskiej był rzadki przywilej. W sytuacji, gdy od marca 1943 r. z racji rygorów „wojny totalnej" wszystkie sceny stopniowo zamykano, opera norymberska działała aż do lata 1944 r. Ostatni spektakl – „Gniew bogów" Wagnera – wystawiono 31 sierpnia 1944 r. Rzesza przeżyła operę norymberską tylko o osiem miesięcy.

UCZEŃ WAGNERA

„Artystyczne podejście Hitlera spełniło niezwykle istotną rolę w sukcesie, który osiągnął" – wskazuje angielski historyk Paul Johnson. „Religijny rodzaj fanatyzmu Lenina nigdy nie zdałby egzaminu w Niemczech. Niemcy byli najbardziej wykształconym narodem na świecie i trudno było zawładnąć ich umysłami. Ich serca i wrażliwość okazały się łatwiejszymi zdobyczami. Siła Hitlera polegała na tym, że podzielał wraz z wieloma Niemcami przywiązanie do nowych i starych wyobrażeń narodowych: spowitych mgłą lasów rodzących tytanów o blond włosach, szczęśliwych wiosek u podnóży prastarych zamków, miast ogrodów wyrastających ze slumsów przypominających getta, cwałujących Walkirii, płonących Walhalli, narodzin i brzasków, w których jaśniejące, tysiącletnie budowle powstawałyby z popiołów przeszłości i trwały przez stulecia. [...] Pomysł Lenina, by zrezygnować z muzyki dla lepszego skupienia się na polityce, byłby dla niego [tj. Hitlera – przyp. red.] niezrozumiały. W Niemczech muzyka – a szczególnie dramat muzyczny – równała się z polityką". Aby być na tym polu skutecznym, Hitler „zapożyczył także triki od Maxa Reinhardta i innych pogardzanych producentów weimarskich oraz z kinematograficznych sztuczek Fritza Langa". Krążąc po salach norymberskiego muzeum, przypomniałem sobie te celne uwagi Johnsona z jego „Historii świata po 1917 r.".

Wódz III Rzeszy pisał w „Mein Kampf", że celem propagandy jest „wtargnięcie w wolną wolę człowieka". I zrobił to w praktyce na skalę, której świat długo nie mógł pojąć. Oddajmy znów głos Johnsonowi: „W rzadkim momencie szczerości Lenin powiedział kiedyś, że tylko takim krajem jak Rosja można było zawładnąć tak łatwo, jak jemu się udało. Niemcy oferowały coś innego. Nie mogły być zgwałcone. Musiały być uwiedzione".

Achim Heidenreich, recenzent dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung", nadał swojej recenzji z norymberskiej wystawy tytuł: „Mordercy marzą o dźwięku organów". To najbardziej lapidarny, ale i najlepszy opis niepokojącej prawdy o nazizmie, którą przypomina ekspozycja w Kongreshalle.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Hitler, władza, opera" eksponowana jest w Ośrodku Dokumentacji Okresu Narodowego Socjalizmu w Norymberdze do 3 lutego 2019 r.

eprasa.pl d95acbd8fa

eprasa.pl d95acbd8fa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Siostro, muszę cię zabić

★★★☆☆☆

REŻ. JOSIE ROURKE
„MARIA, KRÓLOWA SZKOTÓW" („MARY, QUEEN OF SCOTS")
WIELKA BRYTANIA 2018

wyst. Saoirse Ronan, Margot Robbie, Jack Lowden

Katarzyna II uwielbiała Polskę i Polaków. Miłość często bywa zaborcza, więc w odruchu niepohamowanej żądzy caryca wzięła pod swoje berło większą część terytorium Rzeczypospolitej. Zagarnęłaby wszystko, lecz zazdrośnicy z Berlina i Wiednia zmusili ją do podzielenia się zdobyczą. Rozgoryczona imperatorowa co noc szlochała w poduszkę, próbując pogodzić się z perfidią Prusaków i Austriaków, przez których miłosny uścisk Rosji nie objął Poznania, Krakowa i Warszawy.

Bzdura? Z filmu „Maria, królowa Szkocji" dowiadujemy się, że najlepszą przyjaciółką tytułowej bohaterki była jej angielska kuzynka, Elżbieta Tudor. Ta sama, która latami Marię więziła i po szytej grubymi nićmi prowokacji kazała ją skrócić o głowę. Nieszczęsnej władczyni poświęcono multum biografii, nad jej losem pochylali się poeci. Portretowano Marię Stuart jako męczennicę, kobietę płochą i lekkomyślną, rzadziej jako intrygantkę i morderczynię. Żeby jednak uczynić z niej psiapsiółkę Elżbiety? Tego jeszcze w kinach nie grali.

Trochę rozumiem reżyserkę – debiutantkę. Chciała udowodnić, że nadąża za feministycznym duchem naszej epoki. Dlatego zamiast powielać historię rywalizacji dwóch władczyń, którym na jednej wyspie było za ciasno, snuje opowiastkę o „siostrach" darzących się instynktowną, choć skrywaną sympatią. Elżbieta próbuje nawet wyswatać Marię z własnym faworytem. Doprawdy trudno o większy dowód przyjaźni.

Taktyka angielskiej królowej okazuje się skuteczniejsza. Pomna losu, który spotkał jej matkę Annę Boleyn, miga się od zamążpójścia, zakłada maskę i silną ręką dzierży ster państwowej nawy. Chociaż po cichu zazdrości „siostrze" urody, odwagi, wieku (Maria była dziewięć lat młodsza) i macierzyństwa, to wcale nie pragnie jej zguby. Cała intryga rozgrywa się jakby za jej plecami.

Maria przegrywa, bo zanadto ufa swemu sercu. Dumna, lecz tolerancyjna władczyni drażni brutalnych samców alfa. Szkoccy możni knują spiski i rokosze. Biedna Stuart, uważana przez rodaków za sfrancuziałą papistkę o nader lekkich obyczajach, nie ma się na kim oprzeć. Patriarchat triumfuje. Mimochodem twórcy filmu piętnują homofobię oraz rasizm: w świcie Elżbiety i Marii można dostrzec Murzynów. Jeden jest nawet ambasadorem.

Ronan gra to, co zwykle, czyli dobrą dziewczynę dokonującą złych wyborów. Robbie, z przyprawionym nosem, sprawia wrażenie zagubionej. Bardziej jednak niż aktorstwo szwankuje tu psychologia. Motywacje bohaterów są pokrętne i niewiarygodne. Zostajemy z wrażeniem, że politycy kierują się w swoich poczynaniach raczej kaprysami niż rozsądkiem. Przecież to nie może być prawda. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MIRAI"

Mamoru Hosoda to jeden z największych talentów współczesnej japońskiej animacji, autor m.in. filmów „O dziewczynie skaczącej przez czas" czy „Wilcze dzieci". „Mirai" to nastrojowa fantazja o magicznym ogrodzie pozwalającym podróżować w przeszłość. Przewodnikiem małego bohatera w tych podróżach będzie przybywająca z przyszłości jego młodsza siostra. ©℗

Piotr Gociek

- *„Mirai" („Mirai no Mirai"), reż. Mamoru Hosoda, Japonia 2018, animowany*

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- *„Arktyka", reż. Joe Penna, Islandia 2018*
- *„Heavy Trip", reż. Juuso Laatio, Jukka Vidgren, Finlandia 2018*
- *„Anioł", reż. Luis Ortega, Argentyna/Hiszpania 2018*
- *„Dwie Ireny", reż. Fabio Meira, Brazylia 2017*

eprasa.pl d95acbd8fa

Wstań, nie jesteś sam

Są na Ziemi miejsca, które lepiej omijać szerokim łukiem. Nie dlatego, że grasują tam ludzkie drapieżniki, lecz wręcz przeciwnie – z powodu ekstremalnych warunków żaden homo sapiens się w takie okolice nie zapuszcza. No chyba że jest samobójcą, himalaistą lub ofiarą lotniczej katastrofy.

Bohatera „Arktyki" spotkała ta ostatnia przykrość. Od tygodni koczuje we wraku, otoczony śnieżno-lodową pustynią. Człek z niego zaradny: umie sanie zbudować, wie, gdzie przerębel wykopać, oraz jak polarnego pstrąga złowić. Nagły zwrot akcji sprawia jednak, że Overgard podejmie ryzyko. Zamiast czekać na pomoc, która może nadejść za późno, spróbuje dotrzeć w rejony bardziej cywilizowane.

Rozkwit kina surwiwalowego ma chyba jakiś związek z technologicznym skokiem, który nas cieszy i zarazem zatrważa. Czy poradziłbyś sobie na odludziu, zdany tylko na siebie, bez telefonu i GPS, o ciepłej strawie nie wspominając? – pytają twórcy takich filmów, choć odpowiedź zna każdy.

★★★★★★

REŻ. JOE PENNA
„ARKTYKA" („ARCTIC")
ISLANDIA 2018

wyst. Mads Mikkelsen, Maria Thelma Smáradóttir

Minimalistyczna „Arktyka" nie powstała wszakże gwoli zaspokojenia sadystyczno-masochistycznych instynktów oglądaczy. Brazylijski reżyser wydaje się optymistą: sugeruje, że jesteśmy bardziej wytrwali, niż sądzimy. A nawet stać nas na altruizm. Aktorski geniusz Mikkelsena sprawił, że sam zaczynam w to wierzyć. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TAK NIELICZNI, TAK ZWYCIĘSCY

★★★★★★

REŻ. DAVID BLAIR
„303. BITWA O ANGLIĘ"
WIELKA BRYTANIA 2018, KINO ŚWIAT

wyst. Iwan Rheon, Milo Gibson, Marcin Dorociński, Stefanie Martini

Obydwa filmy o Dywizjonie 303, które weszły do polskich kin w ubiegłym roku, były średnio udane, ale z dwojga złego wolę ten z Dorocińskim jako Witoldem Urbanowiczem i Iwanem Rheonem w roli Jana Zumbacha. Dialogi są lepsze, konstrukcja dramatyczna porządna, przesłanie jednoznaczne. Szwankują sceny walk lotniczych, nudne i powtarzalne – tu, o dziwo, znacznie lepiej wypadła konkurencyjna produkcja polska, która z kolei była gorzej napisana i zagrana. Film Davida Blaira bez wątpienia będzie bardziej zrozumiały dla zagranicznego widza, a o to przecież m.in. chodziło. Uczucie niedosytu jednak pozostaje, słynna książka Arkadego Fiedlera i dzieje polskich lotników walczących pod angielskim niebem zasługują na porządną wersję serialową. Na razie własną wersję bitwy o Anglię zapowiada Ridley Scott (według scenariusza Matthew Ortona). Ciekawe, czy będzie coś o Polakach.

ZANIM HARRY POZNAŁ ROWLING

★★★★★★

REŻ. ELI ROTH
„ZEGAR CZARNOKSIĘŻNIKA"
USA 2018, MONOLITH

wyst. Jack Black, Cate Blanchett, Owen Vaccaro

Ekranizacja pierwszego tomu powieści fantasy dla młodego czytelnika, których głównym bohaterem jest Lewis Barnavelt (w polskiej edycji nadano mu imię Luis). Barnavelt jest sierotą, uczy się na czarodzieja i odkrywa, że oprócz zwykłego świata otacza go magiczna rzeczywistość. Brzmi jak streszczenie „Harry'ego Pottera", ale to książki Johna Bellairsa były pierwsze (lata 1973–1976). Kinowa wersja to dzieło Eliego Rotha, dotąd specjalizującego się w horrorach (m.in. „Hostel"). Budzi mieszane uczucia: świetna jest Cate Blanchett jako czarodziejka Florence, sympatycznie wypada Jack Black jako wuj Lewisa. Filmowi szkodzi próba skierowania go na siłę do bardzo młodego widza, tak jakby twórcy nie wierzyli, że u nieco starszych znajdzie się w sercu jeszcze miejsce, by polubić kolejnego małego czarodzieja. W efekcie „Zegarowi czarnoksiężnika" bliżej do wygłupów z „Gęsiej skórki" niż magii filmów o Harrym Potterze. Szkoda, bo potencjał był. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „DESOLATE"

★★★★★★

Rosyjskie peryferia, ponury klimat, tajemnicza wyspa Granichny i potworny eksperyment, którego konsekwencje za wszelką cenę starano się ukryć przed opinią publiczną. W taki świat – jako Wolontariusz, który zamierza rozwiązać zagadkę badań przeprowadzanych na wyspie i jej mieszkańcach – wkracza gracz nowego survival horroru „Desolate". Tytuł ten, pod względem stylu rozgrywki, możliwości tworzenia przedmiotów oraz otwartego świata, przypomina połączenie słynnego już „Stalkera" (dziejącego się w Czarnobylu) oraz postapokalipsy i hord zombi rodem z „Dying Light". Minus? Wszystko to już gdzieś widziałem. ©℗

Marcin Makowski

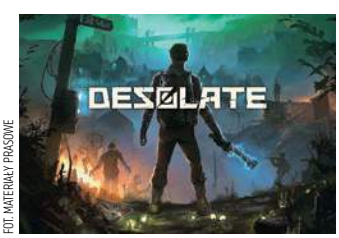

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPP/Survival*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Nearga*
- ***PEGI:*** *18+*

eprasa.pl d95acbd8fa

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Żywoty lwowskie

W książce prof. Drausa o metropolii lwowskiej i jej biskupach znajdziemy żywoty świętych i tych, którzy już za życia za świętych uchodzili i jako tacy w polskiej pamięci przetrwali. Na przykład bp Rafał Kiernicki, któremu przyszło wykonywać posługę kapłańską we Lwowie w wyjątkowo trudnych tam dla Kościoła latach. To on stał się dla wiernych symbolem lwowskiego duszpasterstwa. W czasie okupacji sowieckiej ten członek ZWZ-AK (pseudonim Dziunio) był więziony, po czym przez cztery lata, od roku 1944 do 1948, przebywał w łagrze. Zwolniony stamtąd, podjął pracę we lwowskiej katedrze, której pozbawiono go w 1958 r. Przez siedem lat obowiązującego zakazu sprawowania funkcji kościelnych posługę swą – dla katolików i grekokatolików – sprawował w domach prywatnych, a zatrudniony był wtedy jako stróż w parku Stryjskim. Dopiero w 1965 r. powrócił do katedry, której nie opuścił do śmierci w roku 1995. Miał wówczas 83 lata. Trzeba było upadku komunizmu, by Jan Paweł II mógł reaktywować archidiecezję lwowską i na niepodległej Ukrainie o. Władysław Rafał Kiernicki został mianowany biskupem pomocniczym. Siedem lat temu otwarto jego proces beatyfikacyjny.

Inne – symboliczne – nazwisko lwowskiego Kościoła z tego samego czasu to Henryk Mosing. Ten doktor medycyny, epidemiolog, współpracownik prof. Rudolfa Weigla, w latach okupacji niemieckiej prowadził razem z nim Instytut Badań nad Tyfusem Plamistym, łącząc pracę naukową z ochroną lwowian przed przymusowymi deportacjami do Niemiec. Gdy po wojnie prof. Weigel wyjechał do Polski, Mosing pracował we Lwowie dalej jako lekarz i epidemiolog, na emeryturę przeszedł w 1973 r.

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

„Jako osoba głęboko wierząca i praktykująca – pisze Jan Draus – widząc ogromną potrzebę pomocy ludziom nie tylko w zakresie medycyny, lecz także na niwie religijnej, postanowił zostać kapłanem. W warunkach lwowskich przy braku seminarium duchownego, pracując zawodowo, nie było rzeczą łatwą osiągnąć kapłaństwo. Pierwszy krok uczynił w 1956 r., z pomocą biskupa greckokatolickiego Mikołaja Czarneckiego, który powrócił z łagru i zaczął organizować podziemny kościół greckokatolicki".

Cel swój jednak osiągnął dopiero dzięki polskim hierarchom kościelnym, i to tym najwyższym. To po pobytach w Polsce i wsparciu kard. Stefana Wyszyńskiego, we wrześniu 1961 r. w Laskach pod Warszawą uzyskał święcenia kapłańskie. Po powrocie do Lwowa prowadził, jako Ojciec Paweł, tajne duszpasterstwo w domach prywatnych. Założył, można rzec, konspiracyjną wspólnotę pod wezwaniem św. Wawrzyńca, przygotowującą młodzież po maturze do kapłaństwa. W istocie było to seminarium duchowne, które prowadził wspólnie z o. Rafałem Kiernickim. Henryk Mosing zmarł w 1999 r. w wieku 89 lat. Pochowany został na cmentarzu Łyczakowskim. Obecnie, jak się dowiadujemy, trwają przygotowania do wszczęcia jego procesu beatyfikacyjnego.

Wielcy poprzednicy Kiernickiego i Mosinga już zostali świętymi. Jak arcybiskup i metropolita Józef Bilczewski, zmarły w 1923 r., w wieku 63 lat, w opinii świętości. W pamięci potomnych pozostał jako „mąż modlitwy, miłosierdzia i patriotyzmu". Beatyfikował go w 2001 r. we Lwowie Jan Paweł II, a w poczet świętych zaliczył cztery lata później Benedykt XVI. Jego relikwie zostały przeniesione z cmentarza Janowskiego, gdzie arcybiskup został pochowany, wśród najuboższych mieszkańców miasta, do katedry lwowskiej.

Niezwykle ciekawa jest inna jeszcze opowieść, o bp. Władysławie Bandurskim, kapelanie Polski Niepodległej, pamiętnym m.in. z poświęcenia krzyża na Giewoncie (przypomnijmy, stało się to w sierpniu 1901 r., a upamiętniona została w ten sposób, dzięki parafianom z Zakopanego 1900. rocznica urodzin Jezusa) czy roli, jaką odegrał podczas uroczystości grunwaldzkich w 1910 r. Jego zasługi dla Lwowa, a potem Wilna były nie mniejsze.

Kolejne rozdziały kunsztownie wydanej książki Jana Drausa chronią od zapomnienia postaci wybitnych biskupów archidiecezji lwowskiej, ale i diecezji przemyskiej, tarnowskiej, łuckiej czy archidiecezji w Lubaczowie. Powstała spójna opowieść o wyjątkowych ludziach żyjących w wyjątkowym czasie i wyjątkowym miejscu. ©℗

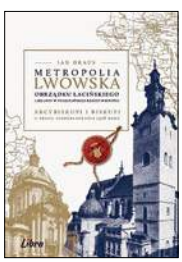

★★★★★★

JAN DRAUS „METROPOLIA LWOWSKA OBRZĄDKU ŁACIŃSKIEGO I JEJ LOSY W POJAŁTAŃSKIEJ RZECZYWISTOŚCI. ARCYBISKUPI I BISKUPI U PROGU NIEPODLEGŁOŚCI 1918 ROKU"
LIBRA 2018

eprasa.pl d95acbd8fa

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Życie we śnie i w fotografiach

Zanim zaczniecie lekturę, proponuję ćwiczenie: proszę najpierw przyjrzeć się uważnie kilku choćby zdjęciom zamieszczonym w książce, uważnie się wpatrzeć w nieznane twarze i spróbować samemu zastanowić się, jaka też może kryć się za nimi historia. A potem skonfrontować swój pomysł z opowieściami Sorrentina. Zrobiłem tak kilka razy i rezultat dał mi sporo do myślenia.

Książka powstała tak: znany włoski reżyser Paolo Sorrentino wybrał garść portretów wykonanych przez fotografika Jacopo Benassiego. Nie mając pojęcia, kim są i co robią uchwyceni w kadrze ludzie (a zdjęcia to rzeczywiście dzieła sztuki), dopisał do nich własne wymyślone historie: tu samobójca, tam muzyk wychowujący niepełnosprawne dziecko, tam niezrozumiany przez świat pisarz.

Kino jest snem, Sorrentino wie o tym doskonale, wszak wyśnił dla nas na ekranie „Wielkie piękno" czy „Młodość", o których trudno powiedzieć, że to dzieła małego czy wielkiego realizmu. Rządziły się one prawami świata emocji, wspomnień, żalu, zachwytu. Z takich drobiazgów składają się także wyśnione biografie ponad 20 postaci, które idą przez życie rozmaitymi drogami, którym przytrafiają się rzeczy rozmaite, nawet jeśli niezbyt istotne, to zawsze brzemienne w skutki.

Przypomina mi ta antologia elegijne wiersze Edgara Lee Mastersa z cyklu „Umarli ze Spoon River". Amerykański poeta odczytywał nagrobki na lokalnym cmentarzu i obdarzał jego lokatorów nieśmiertelnymi, jak się okazało, biografiami. Inne skojarzenie to „Powszechna historia nikczemności" Borgesa wysnuta z historii życia rozmaitych grasantów. Sorrentino jest mu bliski nie tematem, lecz tonem opowieści: wszechwiedzący narrator widzący wszystko, każdą skazę w duszy, każdy fałszywy krok, zdaje raport wnikliwy, acz przepełniony melancholią. „Oto los człowieczy" – zdaje się mówić.

To nieprawda, że powstała „polifoniczna powieść", jak czytam na okładce, ale rozumiem zabiegi autora i wydawców, opowiadania się nie sprzedają, tym bardziej opowiadania przypominające wiersze. Trzeba napisać „powieść". Poszczególne „wizerunki" można czytać osobno, można razem, można w innej kolejności, niż chce autor. Czy układają się w większą (czyli ktoś dopowie, że dzięki temu „ważniejszą") całość? Nieważne, moim zdaniem nie muszą. Są drogi, którymi warto się przechadzać, nawet wiedząc, że donikąd nie prowadzą. ©℗

★★★★★★

PAOLO SORRENTINO „NIEISTOTNE WIZERUNKI" REBIS 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jedna z najlepszych książek wydanych w Polsce w ubiegłym roku, niemal zupełnie przegapiona. Polityczny kryminał autora „Batalionu czołgów" i „Tchórzy", rzecz o ludzkiej słabości w starciu z komunistyczną dyktaturą.

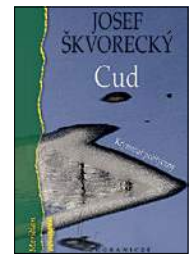

JOSEF ŠKVORECKÝ „CUD" POGRANICZE

Tom tekstów o literaturze znakomitego francuskiego pisarza i krytyka, autora „Wieku męskiego". Sporo o surrealistach, których Leiris znał osobiście (chociaż nie wszystkich cenił), wśród bohaterów także Kafka, Lorca czy Rimbaud.

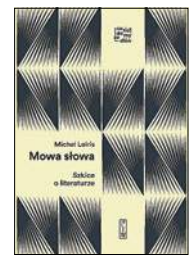

MICHEL LEIRIS „MOWA SŁOWA" PIW

Dwudziesta trzecia powieść cyklu o Jacku Reacherze jest także jedną z lepszych w ostatnich latach. Intryga kryminalna znów powiązana jest z przeszłością i tym razem wiedzie w okolice, gdzie dorastał jego ojciec.

LEE CHILD „CZAS PRZESZŁY" ALBATROS

Proste rymowanki dla najmłodszych ułatwiające zapamiętanie podstawowych działań matematycznych, opatrzone uroczymi ilustracjami Małgorzaty Flis. Książkę można zamówić na stronie Wierszykidonauki.pl. ©℗

poleca Piotr Gociek

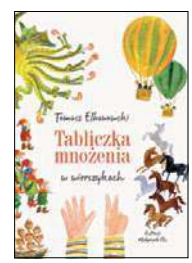

TOMASZ ELBANOWSKI „TABLICZKA MNOŻENIA W WIERSZYKACH" TABULA RASA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Agnieszka Antosiewicz „Mądre bajki" (Greg) – opowiadania dla dzieci o wartościach. Po lekturze przydałaby się rozmowa z rodzicami.***
2. ***Janusz Christa „Kajko i Kokosz. Szkoła latania" (Egmont) – „Niech co Krwawy Hegemon? Niech żyje!". I wszystko jasne – jeden z najlepszych tomów serii.***
3. ***René Goscinny, Jean-Jacques Sempé „Mikołajek" (Nasza Księgarnia) – Mikołajek bawi czytelników we Francji od 60 lat, w Polsce od 55.***
4. ***Ferenc Molnar „Chłopcy z placu Broni" (Nasza Księgarnia) – po raz kolejny klasyka górą. I kolejne pokolenia uczą się, że warto się nie poddawać.***
5. ***Justyna Bednarek, Daniel de Latour „Niesamowite przygody dziesięciu skarpetek (czterech prawych i sześciu lewych)" (Poradnia K) – naprawdę zabawne.***

(Bestsellery roku 2018 w kategorii „Dla dzieci i młodzieży" – księgarnia internetowa Bonito.pl)

eprasa.pl d95acbd8fa

Daniel z gęstej mgły

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Przyznam, że tego, że trafię na Pudelka, to się nie spodziewałem..." – napisał niedawno na swoim profilu facebookowym Daniel Spaleniak. Zdziwienie jak najbardziej na miejscu – nie ten typ muzyka, by być gwiazdą plotkarskich stron.

O Danielu nie rozpisywały się media (poza branżowymi), choć gra od 16. roku życia, czyli już dekadę, i ma na koncie trzy bardzo ciekawe albumy. Niedawno się to zmieniło, gdy o chłopaku z Łodzi zaczęto pisać przede wszystkim jako o twórcy muzyki do seriali Netflixa i Hulu. A to dlatego, że w połowie stycznia do sklepów i serwisów streamingowych trafi jego płyta „Burning Sea" właśnie z muzyką tworzoną do filmów oraz seriali.

Spaleniak to kompozytor, gitarzysta, wokalista. Jego kompozycje z pogranicza folku i bluesa są tak gęste, ciężkie, mroczne, że raczej je ciąć nożem, niż próbować rozproszyć światłem latarki. Od pierwszej płyty niezmiennie mrocznie, melancholijnie, niepokojąco. Muzyk buduje napięcie zwłaszcza dźwiękami gitary i pasującym do ciężkiego klimatu wokalem.

O sprzedawanie swoich kompozycji do amerykańskich seriali się nie starał. „Siedziałem w domu, robiłem muzykę, czytałem książki i oglądałem filmy. Moje piosenki na Spotify przesłuchał pewien agent muzyczny. Odezwał się do mnie, podpisaliśmy umowę i już. Teraz dostaję od niego tylko maile: »Słuchaj, Daniel, twoja muzyka będzie tu, tu i tu, scena będzie o tym i o tym, czy to dla ciebie OK?«" – opowiadał w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej". „I tak moja muzyka znalazła się w kilkunastu serialach, lepszych lub gorszych, i ma zazwyczaj szansę w nich wybrzmieć" – dodawał.

Jakich? Między innymi „Ozark", „The Path", „Elementary". Wygląda na to, że polski muzyk dobrze się w tym odnajduje. – Dla mnie inspiracją są głównie filmy, dlatego że od jakiegoś czasu oglądam dużo więcej filmów, niż słucham muzyki, i myślę, że to ma bardzo duży wpływ na to, jak tworzę i co tworzę, ale również na ilustracyjny charakter mojej twórczości – mówi. – Komponowanie pod film jest zupełnie czymś innym dla mnie niż komponowanie utworów, dlatego że jest to zupełnie inny rodzaj czucia. W filmie zawarte są już jakieś emocje i ja te emocje muszę wydobyć – wyjaśnia.

Wciąż jednak występuje. Niebawem rusza w trasę promującą album „Burning Sea". ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Amerykanin w Europie

Amerykanin Zach Condon kontynuuje na piątym albumie artystyczną podróż po Europie. Po fascynacjach muzyką bałkańskich Romów tym razem zakotwiczył w rejonie Apulia w południowo-wschodnich Włoszech.

W miejscowości Gallipoli lider kolektywu Beirut natrafił na procesję, w której składzie była orkiestra dęta. Zdarzenie to zainspirowało go do napisania tytułowej piosenki. Jest to jednak jedyne z 12 nagrań tak wyraźnie inspirowane folklorem. Z drugiej strony brzmienie grupy znowu opiera się na dźwiękach instrumentów blaszanych i organów Farfisa, które były charakterystyczne dla debiutanckiego albumu „Gulag Orkestar". Melancholijny głos Condona w połączniu z rzewnymi melodiami przywodzi na myśl sielankowy nastrój ze starych fotografii w kolorze sepii.

Niepowtarzalna atmosfera jest głównym atutem tej filmowo-muzycznej podróży po starej Europie. Z Gallipoli przenosimy się na grecką wyspę Korfu („Corfu"), przepływamy przez Jezioro Bodeńskie („On Mainau Island") i odwiedzamy Berlin („Gauze für Zah"). Opowieść kończy tak jak we francuskich filmach napis „Fin", tylko w tym przypadku jest to utwór instrumentalny. ©℗

★★★★☆☆
BEIRUT
„GALLIPOLI"
4AD

★★★★☆☆
KATARZYNA GÄRTNER I CZERWONO-CZARNI
„MSZA BEATOWA – PAN PRZYJACIELEM MOIM"
GAD

W 1968 r. Gärtner napisała przy współpracy z ks. Kantorskim pierwszą w Europie mszę rockową. Nowatorskie dzieło z elementami soulu i psychodelii nagrał zespół Czerwono-Czarni (popularniejsi wykonawcy otrzymali zakaz). Płyta i dziś się broni.

★★★★☆☆
SHARON VAN ETTEN
„REMIND ME TOMORROW"
JAGJAGUWAR

Na piątej płycie Amerykanki usłyszymy piosenki będące emocjonalnymi burzami. Dramaturgię podkreślają niepokojące rytmy, syntezatorowe ściany dźwięku, latające muzyczne drony i intrygujący głos 37-latki. Warto zaryzykować. ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Infominimalizm

Rzadko się zdarza, żeby jakiś piłkarz zaimponował mi czymś innym niż grą na boisku. Nie jestem bowiem fanem wielkogabarytowych tatuaży, a z fryzur najbardziej preferuję tę będącą efektem strzyżenia maszynką u osiedlowego Pana Ryśka w cenie 20 zł.

Ale Mohamed Salah mi zaimponował. I to chociaż jest piłkarzem Liverpoolu, a to największy wróg Manchesteru United, któremu kibicuję. Otóż kilka dni temu na swoim profilu napisał: „Postanowienie 2019: czas nawiązać kontakt w realu". Był to jego ostatni wpis. Niedługo później egipski napastnik zlikwidował swoje konta na Facebooku, Instagramie i Twitterze.

Warto też podkreślić, że Salah nie skasował byle czego. Na Instagramie śledziły go – uwaga! – 23 mln ludzi. Na Facebooku 11 mln. Chyba nawet Zbigniew Hołdys nie ma takich zasięgów. A przecież każdy zna ten radosny dreszcz, gdy nasz wpisik dostaje dwudziestego, a może czasem sto dwudziestego piątego lajka. Próżność jest mile połechtana, czujemy, że żyjemy, ba – może nawet mamy poczucie, iż jesteśmy popularni. Jednak Salah amputował sobie istne turbodoładowanie własnego ego. Toż nawet Tomasz Lis nie jest w stanie sobie wyobrazić, co czuje człowiek, który dostaje 2 mln polubień. U dealera za podobne samopoczucie trzeba by wydać dużo pieniędzy. A ten – mówi i likwiduje. Piłkarz. Z Egiptu. No co za postać.

Nie chcę się chwalić, ale to ja wytyczyłem mu ścieżkę. Prawie. Konta na Twitterze nie musiałem likwidować, bo go nigdy nie miałem. Natomiast Facebooka usunąłem. No… nie w ogóle, ale usunąłem z telefonu. Stało się to w dniu po zamordowaniu Pawła Adamowicza. Rzuciłem okiem, co tam się dzieje, i od razu wiedziałem, co mam zrobić. Ciach – i po aplikacji.

Muszę przyznać, że jakość mojego życia bardzo wzrosła. Już nie rzucam się w każdej wolnej chwili na smartfona, by nie uronić ani słowa w kolejnej istotnej debacie publicznej. Udaje mi się nawet przejechać windą na 15. piętro, choć ręka mnie świerzbi, żeby jakimś medium społecznościowym zabić te straszliwe półtorej minuty nudy. Ale udaje mi się wytrwać. W związku z tym nie wiem, co różni ludzie myślą na temat ostatnich wydarzeń. Jakby ująć to, co czuję… To po prostu wspaniałe uczucie.

Nie mogę powiedzieć, żeby wywalenie Facebooka zaowocowało jakimiś niebywale intensywnymi kontaktami w tzw. realu. To akurat niewiele się zmieniło, niestety. Jednak kolejny krok w ograniczaniu dopływu tzw. bieżących informacji (zaczęło się od telewizji – to już 10. rok, odkąd nie oglądałem żadnego programu informacyjnego ani publicystycznego) doprowadził mnie do zaskakującego wniosku: do sensownego życia potrzebujemy znacznie mniej informacji, niż nam się wydaje. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Świat w odcinkach

Ostatnio łapię się na tym, że nie mogąc wytrzymać w codziennym jazgocie mediów (swoją drogą, co za dyskomfort, kiedy obie zwalczające się strony mają swoje własne telewizje i bojkotują się nawzajem). Taka sytuacja sprawia, że coraz częściej uciekam w świat kodowanych kanałów lub do płatnego Netflixa.

Wiem, że i tam panują indoktrynacja i swąd poprawności politycznej, ale nie wszędzie i nie zawsze. Poza tym w odróżnieniu od kina, gdzie – nawet dobre pomysły marnowane są przez uproszczenia i efekty specjalne robione pod kątem młodocianych analfabetów – w przestrzeni Netflixowej można znaleźć sporo seriali nieobrażających inteligencji widza.

Z dzieciństwa pamiętam, jak z zapartym tchem oglądałem czarno-białego „Ściganego"

Na przykład „Rake" – australijski odcinkowiec – doskonałe studium amoralności prawników, korupcji politycznej i demagogii medialnej. Zmiana nazwisk i kilku plenerów, a rzecz mogłaby się rozgrywać u nas. Pytanie tylko: Jaki kanał by to puścił, gdy obrywa zarówno „wyjątkowa kasta", jak i świętoszkowaci moraliści?

Inna propozycja: „Kolonia". W pierwszej chwili obawiałem się, że opowieść o ziemi najechanej przez obcych będzie kolejnym niskobudżetowym SF. Na szczęście kosmici nie stanowią nawet 1 proc. filmu. Widzimy efekty ich działalności, ale przede wszystkim jest to studium ludzkich zachowań w czasach ostatecznych.

Nie wiem, czy producenci „Holocaustu" znają dobrze historię, ale czasami odnoszę wrażenie, że czytali „Żydów 2" Zychowicza. Uciemiężenie ludzi, a następnie stopniowa eksterminacja dokonują się praktycznie własnymi rękoma. Ludzie ludziom gotują ten los. Mamy więc bogatą paletę postaw kolaborantów: od nadgorliwców do asekurantów i straceńczych buntowników. Podziały niejednokrotnie przebiegają poprzez rodziny. Wszyscy chcą przeżyć, choć wybrane strategie obracają ich przeciw sobie. Jedynym mankamentem produkcji jest to, że nigdy się nie kończą. Zawsze pewne wątki pozostają otwarte, żeby po sezonie pierwszym mogły zaistnieć sezony drugi, trzeci, czwarty.

Z dzieciństwa pamiętam, jak z zapartym tchem oglądałem czarno-białego „Ściganego", nie mogąc się doczekać, czy dr Kimble złapie wreszcie jednorękiego bandytę. W świecie seriali to rzadki moment. W wielu przypadkach można jednak obejrzeć pełnometrażowy film lub przeczytać książkę. Tyle że w przypadku „Outlandera" Diany Gabaldon mam całą półkę opasłych tomów, ale nie zaglądam, co będzie dalej, by nie tracić przyjemności (lub zniecierpliwienia) w kolejnym tygodniu. ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

Tomasz Kwaśnicki

Wielka

Amerykanie prawdopodobnie przegrali rozgrywkę w Syrii. Czeka nas nowy układ sił. Pewne jest tylko jedno – zyskuje Rosja

Pomysł zorganizowania antyirańskiego szczytu w Warszawie jest kolejnym dowodem na to, że w polityce międzynarodowej odgrywamy rolę narzędzia amerykańskiej dyplomacji. Mimo że ta kapitulancka postawa nie przynosi nam ani chluby, ani pożytku, jeszcze do niedawna mogliśmy się przecież pocieszać, iż należymy do „obozu zwycięzców". Jednak, jak się wydaje, i ta wątpliwa pociecha zostanie nam wkrótce odebrana. 19 grudnia Trump zaskoczył świat swoją decyzją o wycofaniu amerykańskich oddziałów z Syrii. Jeśli prezydentowi USA uda się pokonać opór waszyngtońskiego establishmentu, w tym silny sprzeciw w jego własnym gabinecie i Pentagonie, będzie to ostatecznym przypieczętowaniem faktycznej amerykańskiej klęski w Syrii. Pierwotnym celem Amerykanów była bowiem „zmiana reżimu", czyli obalenie władzy prezydenta Baszara al-Asada, którego nieustannie oskarżali o coraz to nowe zbrodnie na podstawie naprędce preparowanych dowodów, dostarczanych przez dżihadystów z Białych Hełmów czy kilku londyńskich emigrantów z Syryjskiego Obserwatorium Praw Człowieka. Cel ten spalił na panewce, o czym świadczy wymowne zachowanie się sojuszników Stanów Zjednoczonych względem Damaszku.

TAJNY PLAN

Według Roberta Hearsta z portalu Middle East Eye (MEE) Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Egipt i Izrael opracowały plan, którego celem jest ponowne włączenie Syrii Baszara al-Asada do Ligi Państw Arabskich. Miał on zostać uzgodniony w grudniu minionego roku na tajnym spotkaniu, w którym uczestniczyli wyżsi reprezentanci wywiadów czterech wymienionych krajów, w tym Yossi Cohen, dyrektor Mosadu. Wkrótce po spotkaniu nastąpiła seria dyplomatycznych wizyt. Omar al-Baszir, prezydent Sudanu, przybył do Damaszku 16 grudnia 2018 r. z pierwszą oficjalną wizytą arabskiego przywódcy od siedmiu lat. Zdaniem syryjskich komentatorów było to posunięcie, do którego nie mogłoby dojść bez zgody Saudyjczyków. Ali al-Szamsi, zastępca szefa wywiadu Zjednoczonych Emiratów Arabskich, przebywał w Damaszku przez tydzień, a 27 grudnia Emiraty ogłosiły ponowne otwarcie swojej ambasady w Damaszku po ośmiu latach przerwy. Tego samego dnia Bahrajn, blisko związany z Arabią Saudyjską i ZEA, ogłosił, że przywróci swoją misję dyplomatyczną w Syrii. Trzy dni wcześniej Ali Mamlouk, specjalny doradca ds. bezpieczeństwa Asada, złożył publiczną wizytę w Kairze. Po siedmiu latach od zawieszenia członkostwa Syrii w Lidze Państw Arabskich Algieria, gospodarz następnego szczytu tej organizacji, jest zainteresowana zaproszeniem Asada.

Plan zmierzający do reintegracji Syrii ze światem arabskim ma w zamierzeniu stworzyć Asadowi pole manewru w jego stosunkach z Iranem w celu osłabienia wpływów Teheranu w Damaszku. Nie oznacza to jednak, by Iran był postrzegany w Rijadzie czy Tel Awiwie jako poważne zagrożenie. Czym innym jest szerzenie propagandy, a czym innym nabieranie się na nią. Podczas wspomnianego spotkania szefów wywiadu czterech bliskowschodnich państw Yossi Cohen miał powiedzieć: „Siła Iranu jest krucha. Prawdziwym zagrożeniem jest Turcja". Trudno nie zgodzić się z szefem Mosadu, przynajmniej co do

eprasa.pl d95acbd8fa

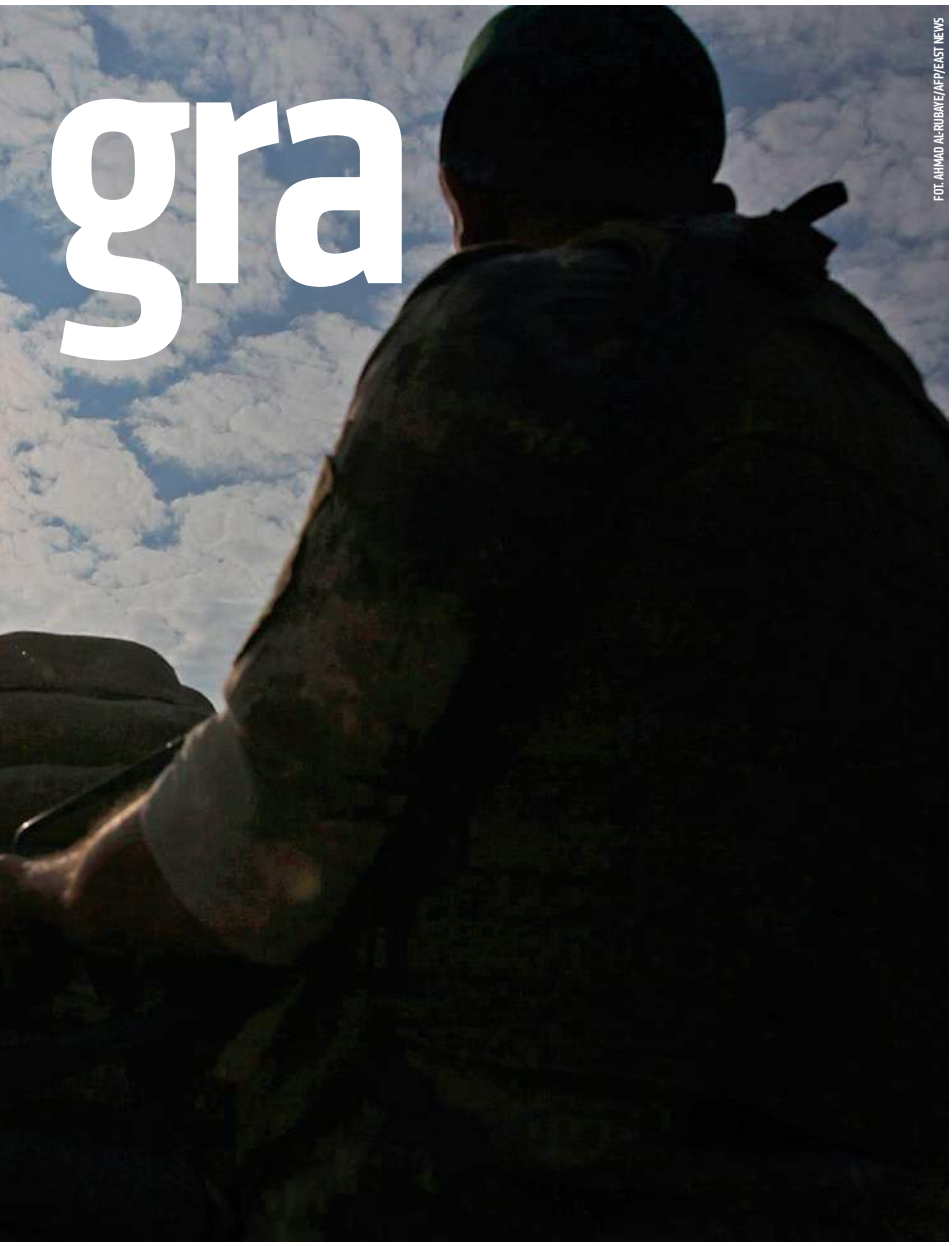

FOT. AHMAD AL-RUBAYE/AFP/EAST NEWS

pierwszego zdania. Przeciwko Iranowi od lat prowadzona jest bezpardonowa wojna informacyjna, której ofiarami padają przede wszystkim bezbronne umysły mieszkańców krajów zachodnich. Przeciętny konsument medialnej papki jest przekonany, że Iran to agresywne mocarstwo, stwarzające zagrożenie dla swoich pokojowo nastawionych sąsiadów, największy sponsor terroryzmu na świecie, posiadający na domiar złego swój tajny program atomowy. To aż nadto, by usprawiedliwić możliwą amerykańską agresję. Problem w tym, że żadne z powyższych twierdzeń nie jest prawdziwe. Przede wszystkim samo nazywanie Iranu mocarstwem jest w najlepszym wypadku propagandową półprawdą. Owszem, Iran jest liderem szyickiego świata, posiadającym wpływy w Iraku, Libanie, Syrii, Afganistanie czy Jemenie, ale ci, którzy rozwodzą się nad potęgą Teheranu, wygodnie przemilczają to, że na Bliskim Wschodzie jest co najmniej pięć innych państw, które byłyby w stanie rzucić wyzwanie Iranowi w pojedynkę. Takie możliwości mają Izrael, Arabia Saudyjska, Turcja, Egipt, a nawet Zjednoczone Emiraty Arabskie. Gdyby Trump zdecydował się napaść na Iran, wojna byłaby zwykłą egzekucją. O tym, jak niebezpieczny jest Iran i jak bardzo zagraża Izraelowi, niech świadczy chociażby to, że tylko w ciągu minionych dwóch lat Izrael wykonał 200 ataków rakietowych na oddziały irańskie stacjonujące w sąsiedniej Syrii, bezskutecznie prowokując Teheran do odwetu. Należy także pamiętać, że choć Iran uprawia mocarstwową politykę, jest ona w dużej mierze grą pozorów, za którą, przynajmniej w chwili obecnej, nie stoi adekwatna do podejmowanych kroków ekonomiczna siła. Na fakt ten zwrócił niedawno uwagę prof. Shireen Hunter z Georgetown University: „Iran zapłacił w Iraku wysoką cenę, zarówno w pieniądzach, jak i w liczbie ofiar (walcząc z Państwem Islamskim), nie otrzymując za to żadnego uznania, a koszty te przewyższyły korzyści, jakie uzyskał w relacjach z Bagdadem. Statystyki dotyczące handlu Iran–Irak nie odzwierciedlają rzeczywistości, ponieważ Irak często nie płaci Iranowi za import gazu ziemnego i energii elektrycznej [...]. Co więcej, teraz, kiedy Irak jest względnie spokojny (częściowo dzięki pomocy Iranu), to Europejczycy i Arabowie z Zatoki Perskiej będą czerpać korzyści z ewentualnej hossy w związku z odbudową kraju. Dzięki sankcjom USA Iran nie ma pieniędzy na inwestycje w kraju, a co dopiero w Iraku".

Kolejnym kłamstwem, rytualnie już powtarzanym niemal w każdym przemówieniu amerykańskiego prezydenta na temat Iranu, jest fraza: „Iran jest największym na świecie sponsorem terroryzmu". W 2017 r. przeciwko tego typu dezinformacji zaprotestowali weterani amerykańskich służb specjalnych, zrzeszeni w organizacji Veteran Intelligence Professionals for Sanity (VIPS). Wystosowali oni memorandum do prezydenta Donalda Trumpa, w którym podważają liczne oskarżenia pod adresem Iranu, padające ze strony reprezentantów amerykańskiej administracji. „Pomimo częstych twierdzeń ze strony amerykańskich oficjeli o tym, że Iran jest zaangażowany w terroryzm, zwracamy uwagę, że incydenty rejestrowane corocznie w wykazie Patterns of Global Terrorism, publikowanym przez Departament Stanu, rzadko wskazują na czyn popełniony przez Iran lub w jego imieniu" – napisano w memorandum. Odnosząc się do Hezbollahu, autorzy przypominają, że ta szyicka organizacja od dłuższego czasu funkcjonuje jako samodzielny podmiot polityczny (współtworząc rząd koalicyjny w Libanie) i że jego niedawne ścisłe związki z Teheranem uległy ewolucji. Hezbollah nie posługuje się również religijnie motywowanymi aktami przemocy, jak ma to miejsce w przypadku Państwa Islamskiego. Dalej weterani zwracają uwagę, że 13 spośród

eprasa.pl d95acbd8fa

14 islamskich organizacji terrorystycznych, które zostały zidentyfikowane przez amerykańską społeczność wywiadowczą jako wrogie Stanom Zjednoczonym, to podmioty sunnickie, a nie szyickie i nie są wspierane przez Iran.

Jednak największym problemem spędzającym sen z powiek amerykańskiej administracji jest to, że Iran pozostaje wierny porozumieniu nuklearnemu z 2015 r. Mimo nieustannie ponawianych oskarżeń o rozwijanie tajnego programu nuklearnego przez Teheran Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej (MAEA) w ciągu trzech lat wystawiła Persom już 13 pozytywnych certyfikatów. Nawet osławione „dossier", wykradzione rzekomo przez izraelskie służby z irańskiego magazynu, jeśli było dowodem na cokolwiek, to jedynie na to, że Iran posiadał plany budowy broni nuklearnej w 2003 r. (co nie było dla nikogo tajemnicą) i że nawet wówczas były to wyłącznie plany. W związku z niemożnością wiarygodnego oskarżenia Iranu o posiadanie militarnego programu nuklearnego obserwatorzy tacy jak Kelsey Davenport z Arms Control Association obawiają się prób upolitycznienia MAEA przez Stany Zjednoczone.

Wbrew oficjalnym komunikatom to nie Iran, lecz Turcja postrzegana jest obecnie przez Izrael i Saudów jako najpoważniejszy rywal

TURCJA RYWALEM

Z tych właśnie powodów wbrew oficjalnym komunikatom to nie Iran, lecz Turcja postrzegana jest obecnie przez Izrael i Saudów jako najpoważniejszy regionalny rywal. W rzeczywistości Ankara wskutek swojej neoimperialnej i awanturniczej polityki doprowadziła się do daleko posuniętej izolacji. Nierealistyczne ambicje Turcji ożyły zwłaszcza w 2011 r. za sprawą arabskiej wiosny i Bractwa Muzułmańskiego, któremu na krótki czas udało się przejąć władzę w Egipcie po obaleniu Hosniego Mubaraka. Sprawiło to, że Turcy zapragnęli ujrzeć się w roli lidera sunnickiego świata, marząc o odbudowie wpływów na terenach dawnego imperium osmańskiego. Z tego też powodu gorąco kibicowali obaleniu władzy w sąsiedniej Syrii, rządzonej dotąd przez alawitę Asada, przeciwko któremu wspierali sunnickie ugrupowania islamistyczne. Erdoğan wspierał w tym celu nawet ISIS, dostarczając broń terrorystom. To właśnie dzięki Turcji Kalifat był w stanie czerpać potężne zyski z handlu ropą. Turcja nawet obecnie wspiera dżihadystów w Idlibie, a także udziela im schronienia na swoim terytorium. Jednocześnie Erdoğan często konfliktuje się z Izraelem, występując jako patron Palestyńczyków i głośno potępiając ten kraj z powodu popełnianych zbrodni na muzułmanach. Z kolei w Zatoce Perskiej Ankara jest tradycyjnym sojusznikiem Kataru, co (podobnie jak wspieranie Bractwa Muzułmańskiego) skłóca ją z Rijadem i jego sojusznikami.

Gdy w 2015 r. w Syrii pojawili się Rosjanie, krzyżując plany Amerykanów, Turków, Saudyjczyków i Izraela, Erdoğan zareagował wściekłością – zestrzelił jeden z rosyjskich myśliwców. W 2016 r. Turcy dokonali inwazji na północną Syrię, obawiając się wzrostu znaczenia wspieranej przez USA kurdyjskiej partyzantki. Z powodu Kurdów znacznemu ochłodzeniu uległy relacje Ankary z Waszyngtonem, co poskutkowało rosyjsko-tureckim zbliżeniem, a dalej trójkątem turecko-rosyjsko-irańskim, czyli formatem astańskim. W rzeczywistości jednak ta dyplomatyczna konstrukcja, podobnie jak wiele poprzednich, oparta jest na uzgadnianiu jedynie doraźnych interesów i trudno powiedzieć, czy przetrwa kryzys, który w relacjach turecko-rosyjskich spowodować może chociażby próżnia powstała po prawdopodobnym dziś wycofaniu się Amerykanów z Syrii.

Obecnie Turcy, którzy początkowo ochoczo podpalali domy sąsiadów, powodowani imperialnymi fantazjami, kończą wojnę, drżąc jedynie o to, by pożar nie ogarnął ich własnej siedziby. Pytaniem otwartym pozostaje, czy ich rosyjscy partnerzy będą w stanie dać im zadowalające gwarancje bezpieczeństwa. Rozstrzygnięcie tej kwestii ma bezpośredni związek ze skomplikowaną sytuacją na syryjskim froncie. W chwili, gdy powstaje ten tekst, negocjacje kurdyjsko-syryjskie ciągle trwają, a Turcy równolegle przerzucają swoje siły w okolicę kontrolowanego wciąż przez Kurdów i Amerykanów miasta Manbij, by zająć je zaraz po ewakuacji amerykańskich oddziałów. Do tego samego od drugiej strony przygotowują się jednocześnie oddziały rosyjskie i rządowe. Można odnieść wrażenie, że wraz z usunięciem z równania Amerykanów dojdzie do nieuchronnej rosyjsko-tureckiej kolizji, choć prawdopodobnie mamy do czynienia wyłącznie z zajmowaniem możliwie najlepszych pozycji przed przyszłymi negocjacjami. 23 stycznia Erdoğan i Putin będą rozmawiać w Moskwie o obecnej sytuacji.

WYGRANA ROSJI

Rosjanie wydają się obecnie największym zwycięzcą bliskowschodniej wielkiej gry. Od momentu swojego pojawienia się w Syrii w 2015 r. wydatnie zwiększyli zarówno swój prestiż w regionie, jak i polityczne wpływy, nie wspominając o wymiernych korzyściach gospodarczych i militarnych. Do Moskwy pielgrzymują nieustannie wszyscy liczący się regionalni liderzy. Beniamin Netanjahu tylko w ciągu minionego roku odwiedził Moskwę aż cztery razy, w tym samym czasie odbył 11 rozmów telefonicznych z rosyjskim prezydentem.

Dzięki realistycznemu, pragmatyczno-kontraktualnemu podejściu Putin jest w stanie robić interesy z niemal wszystkimi stronami toczących się obecnie na Bliskim Wschodzie konfliktów.

„Jak dotychczas Rosji udało się utrzymać dobre stosunki z przeciwnymi stronami w kilku konfliktach na Bliskim Wschodzie, w tym Iran kontra Izrael, Izrael kontra Syria i Hezbollah, Izrael kontra Palestyńczycy, Iran kontra Arabia Saudyjska, Katar kontra Arabia Saudyjska i inni, syryjscy Kurdowie kontra Turcja. Krótko mówiąc, Moskwa ma dobre stosunki ze wszystkimi głównymi aktorami na Bliskim Wschodzie, z wyjątkiem dżihadystów, takich jak Al-Kaida i Państwo Islamskie" – podkreśla prof. Mark Katz na portalu LobeLog.com.

Rosyjska armia umieszcza swoje bazy w kolejnych muzułmańskich krajach. Po Syrii, Egipcie i Libii ostatnie medialne doniesienia mówią również o możliwej budowie bazy w Sudanie nad Morzem Czerwonym. Priorytetem pozostaje jednak ekspansja ekonomiczna. Rosjanie podpisują kolejne miliardowe kontrakty na handel gazem, ropą i bronią. Rosyjska państwowa kompania Rosatom podpisała kontrakty na budowę reaktorów nuklearnych w pięciu bliskowschodnich krajach. W ciągu minionych pięciu lat Rosja niemal podwoiła swój eksport broni do państw regionu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem portalu Kresy.pl.

eprasa.pl d95acbd8fa

Wielkie emocje małych piłkarzy – 100 drużyn na 100-lecie

100 drużyn juniorskich z południa Polski stanęło jesienią ubiegłego roku do walki w TAURON Energetycznym Junior Cup. Piłkarski turniej został zorganizowany po to, by w niecodzienny sposób uczcić 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Z trzech wojewódzkich turniejów eliminacyjnych rozegranych w Krakowie, Wrocławiu i Dąbrowie Górniczej do finałowych rozgrywek awansowały 24 drużyny. Wielki finał odbył się w krakowskiej TAURON Arenie 11 stycznia 2019 r.

Finał TAURON Energetyczny Junior Cup, TAURON Arena Kraków, 11 stycznia 2018 r.

– Turnieje, takie jak TAURON Energetyczny Junior Cup, to nie tylko promocja sportu, lecz także doskonała okazja do spotkania i wspólnej zabawy młodzieży z całego południa Polski. Na tym terenie działa TAURON, tu mieszkają i pracują nasi klienci, i to z tymi lokalnymi społecznościami chcemy być blisko. W całym turnieju wygrali wszyscy bez względu na zajęte miejsce. Już dziś mogę zapowiedzieć, że podobne rozgrywki będziemy organizować w przyszłości – mówi Filip Grzegorczyk, prezes zarządu TAURON Polska Energia.

Finałowe drużyny zostały podzielone na trzy kategorie wiekowe: rocznik 2009 – dziewięć drużyn, rocznik 2010 – osiem drużyn, rocznik 2011 – siedem drużyn.

W rywalizacji rocznika 2009 najlepsza okazała się drużyna GLKS Rudawy, wśród młodych piłkarzy z 2010 r. bezkonkurencyjna okazała się ekipa z KS Zakopane, a z roku 2011 – Zaborze Zabrze, które wygrało wszystkie pojedynki. Mecze młodych piłkarzy były zacięte, dostarczyły wielu emocji, pięknych goli oraz bramkarskich parad.

W krakowskim finale drużyny w swoich kategoriach wiekowych rywalizowały w systemie ligowym, czyli „każdy z każdym". Podobnie jak w eliminacjach wojewódzkich, ośmioosobowe drużyny rozgrywały dziesięciominutowe mecze. Jednocześnie na boisku mogło przebywać trzech graczy w polu i bramkarz. Drużyny liczyły po ośmiu piłkarzy, a zmiany podczas meczów odbywały się w systemie lotnym.

Młodych piłkarzy głośno dopingowali z trybun krakowskiej TAURON Areny rodzice i przyjaciele. – Nasi chłopcy z rocznika 2011 mieli okazję brać udział w megawydarzeniu, jakim był finał w TAURON Arenie Kraków. Reprezentowaliśmy klub z najmniejszej miejscowości liczącej zaledwie kilkaset mieszkańców, a mimo to wygraliśmy kwalifikacje we Wrocławiu, a w finale w Krakowie zajęliśmy trzecie miejsce. Świadczy to o tym, że wszędzie można znaleźć talenty piłkarskie, a takie turnieje dają taką możliwość. Dają możliwość rywalizacji z wielkimi miastami z różnych województw, dają impuls do rozwoju, reklamy klubu, przyciągnięcia potencjalnych sponsorów – mówi Adrian Babiarz, Prezes LKS Nyska Kłaczyna.

– Niestety kluby z małych miejscowości nie mają praktycznie żadnych darczyńców i nie dysponują porównywalną bazą sportową jak rówieśnicy z dużych miast, a mimo tego chłopcy odnieśli wielki sukces sportowy. Dlatego sport jest piękny. Kto wie, może dzięki turniejowi znajdzie się ktoś do nawiązania współpracy z naszą Akademią i ten piękny sen będzie nadal trwał. Brawa za pomysł zorganizowania takiego turnieju – podkreśla Babiarz.

W całym turnieju rywalizację rozpoczęło 100 drużyn w myśl hasła przewodniego „100 drużyn na 100-lecie niepodległości" – 40 z województwa małopolskiego i po 30 z województw śląskiego i dolnośląskiego. W trzech częściach rozgrywek, zorganizowanych kolejno w krakowskiej TAURON Arenie (16 października), Hali Centrum w Dąbrowie Górniczej (17 października) i wrocławskiej Hali Orbita (18 października) zagrało łącznie ponad 1000 młodych piłkarzy w wieku od 8 do 10 lat.

– Można czcić niepodległość w sposób bardzo poważny, wzniosły, ale można też pamiętać o tych wielkich wydarzeniach właśnie podczas takich turniejów jak TAURON Energetyczny Junior Cup. Z uwagą śledziłem sportową rywalizację młodych ludzi i cieszę się, że postawa fair play była właśnie w tym turnieju tak mocno reprezentowana przez zawodników. Gratuluję uczestnikom, a organizatorom dziękuję za ciekawy sposób zwrócenia uwagi na tę niezwykłą rocznicę, jaką jest 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości – podkreśla wojewoda małopolski Piotr Ćwik.

TAURON Energetyczny Junior Cup to jedna z inicjatyw zorganizowanych w ramach programu „TAURON wspiera młodych sportowców" stworzonego na potrzeby wsparcia sportu młodzieżowego w wielu dyscyplinach m.in. piłki ręcznej i siatkówki.

eprasa.pl d95acbd8fa

FOT. ZBIORY MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI/EAST NEWS

Śmierć prezydenta

Krzysztof Masłoń

Planował zamach na Józefa Piłsudskiego, ale strzelał do Gabriela Narutowicza. Kim był morderca prezydenta i dlaczego nie zależało mu na uniknięciu kary śmierci?

Na otwarcie dorocznego Salonu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych 16 grudnia 1922 r. w południe do gmachu „Zachęty" w Warszawie przybył wybrany ledwie kilka dni temu pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Gabriel Narutowicz. O godzinie 12.12, gdy oglądał obraz Teodora Ziomka „Szron", rozległy się trzy strzały, jeden po drugim. Narutowicz zaczął się słaniać, upuścił binokle i upadł na wznak. Niemal w tej samej chwili zemdlał – dopiero co przedstawiony prezydentowi – brytyjski ambasador William Max Muller. Ciało Narutowicza, którego dosięgły trzy kule – dwie przebiły mu klatkę piersiową, a jedna kręgosłup, przeniesiono na małą kanapkę w rogu sali. U zwłok uklękła poetka Kazimiera Iłłakowiczówna.

„Prezydenta trzymało kilka osób w pozycji półleżącej na króciutkiej ławeczce pluszowej, gdzie jedna trzecia jego potężnego wzrostu nie mogła znaleźć miejsca. Połóżmy go na podłodze – powiedziałam. Uklękłam i oparto go o mnie klęczącą. Za mną był postument ze świętą figurą. U stóp Prezydenta, którego postać zajęła wielki kawałek podłogi, siedział na krześle zabójca… Oficer, biały jak papier, trzymał mu łokcie skręcone w tył. »Proszę mnie nie szarpać, nie będę uciekał« – mówił morderca".

Był to Eligiusz Niewiadomski, 53-letni malarz, krytyk i profesor sztuk pięknych, który – jak zeznał w śledztwie – zabił prezydenta niejako w zastępstwie, planował bowiem zabójstwo Józefa Piłsudskiego, gdy jednak ten, jego zdaniem, twórca Judeo-Polski, zrezygnował z kandydowania w wyborach, zdecydował się na zastrzelenie Narutowicza, gdyż jego elekcja dokonała się głosami „wrogów narodu polskiego".

„Wydawało mi się okropne, aby Prezydent, o ile jeszcze coś widział, musiał ciągle na niego właśnie patrzeć. Błagałam kogoś, aby go zabrali. Wyprowadzono go do sali, gdzie wisi »Grunwald«" – wspominała Iłłakowiczówna.

PORTRECISTA ŻEROMSKIEGO

Eligiusz Niewiadomski urodził się w Warszawie w 1869 r. Jego ojcem był Wincenty Niewiadomski, powstaniec styczniowy, literat, urzędnik mennicy warszawskiej. Matka – Julia z domu Werner – zmarła, gdy chłopiec miał dwa lata; jego wychowaniem zajęła się starsza siostra Cecylia. Po skończeniu szkoły średniej uczył się malarstwa u Wojciecha Gersona, by następnie podjąć studia w Petersburgu, które ukończył w 1894 r. ze złotym medalem za obraz „Centaury w lesie". Stypendium i pomoc brata pozwoliły mu kontynuować naukę malarstwa w Paryżu.

Po powrocie do Warszawy szybko wyrobił sobie nazwisko jako krytyk sztuk, wysoko ceniony m.in. przez Stanisława Witkiewicza, ojca Witkacego. Wykładał rysunek na Politechnice Warszawskiej, współtworząc w Warszawie Szkołę Sztuk Pięknych. Wykonał polichromię w kościele w Koninie, namalował też wiele obrazów, z których najbardziej znane są portrety, a wśród nich znany portret Stefana

eprasa.pl d95acbd8fa

Żeromskiego, i pejzaże, także tatrzańskie. Wiele z nich do dziś znajduje się w kolekcjonerskim obiegu – uzyskują stosunkowo wysokie ceny. Jako krytyk zaangażował się mocno w towarzyszenie nowemu prądowi sztuki – modernizmowi. Najważniejszą jego pracą miało okazać się „Malarstwo polskie XIX i XX wieku", wydał także kilka broszur. W 1918 r. otrzymał posadę w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, w departamencie sztuki, który następnie został przeniesiony do Ministerstwa Kultury i Sztuki, gdzie mianowano Niewiadomskiego radcą i powierzono opiekę nad szkolnictwem artystycznym. Pracownikiem był jednak kłopotliwym, niesłychanie drażliwym i przeczulonym na własnym punkcie, co powodowało konflikty ze współpracownikami i przełożonymi. W końcu po scysji z ministrem Antonim Ponikowskim podał się do dymisji.

ZWYKŁY SZEREGOWIEC

W młodości w Warszawie uczestniczył w działaniach tajnych kółek uczniowskich, następnie w Petersburgu był prezesem organizacji polskich studentów. W 1891 r. wziął udział w patriotycznej manifestacji w Warszawie w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja. Od 1897 r. należał do tajnej Ligi Narodowej, ale był jak na nią nazbyt radykalny – proponował np. wysadzanie mostów na Kamie i Wołdze. W końcu rozstał się z Ligą, by nigdy już nie wiązać się z jakąkolwiek partią. Zdążył jednak, działając w tajnym Towarzystwie Oświaty Narodowej, krążąc między Galicją a Kongresówką, przemycać nielegalne publikacje o charakterze narodowym, głównie „Przegląd Wszechpolski" i „Polaka". W czerwcu 1901 r. został za to aresztowany w Warszawie i kilka miesięcy przesiedział w X Pawilonie Cytadeli. Po zwolnieniu z braku dowodów stracił pracę na politechnice.

W 1920 r. w obliczu ofensywy bolszewickiej zgłosił się do wojska, ale z powodu zaawansowanego wieku nie został przyjęty. Wtedy korzystając z poparcia (uwaga!) gen. Kazimierza Sosnkowskiego, znalazł pracę w kontrwywiadzie, w Oddziale II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Nieusatysfakcjonowany pracą na tyłach, poprosił swoich przełożonych o wyrażenie zgody na przeniesienie go na front, do 5. Pułku Piechoty Legionów, gdzie chciał walczyć razem ze swoim synem jako zwykły szeregowiec. Dostał przydział do kompanii zapasowej, najprawdopodobniej więc – sugeruje Patryk Pleskot, autor książki „Niewiadomski. Zabić prezydenta" – „nie walczył na pierwszej linii frontu". W roku 1921 został zdemobilizowany.

DRĘCZĄCE PYTANIA

Na procesie Niewiadomskiego kluczowa była już pierwsza jego odpowiedź: na pytanie sądu, czy przyznaje się, że dokonał zamachu na życie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

– Do winy się nie przyznaję. Przyznaję się jedynie do złamania prawa i za to złamanie gotów jestem ponieść najdalej idącą odpowiedzialność.

Sąd przez resztę rozprawy trwającej w sobotę 30 grudnia 1922 r. od godziny 10.45 do 20.55 (z półgodzinną przerwą od 15.30 do 16.00) usiłował wydobyć od Niewiadomskiego, co właściwie postrzega on za swoją winę, a co – jak się miało okazać – za zasługę. Na próżno, ale niejako na marginesie poczynił oskarżony wiele wprawdzie kuriozalnych, ale ciekawych uwag. Na przykład tak oto zrekapitulował czas polskiej niepodległości:

„Przez cztery lata ja i całe moje pokolenie patrzyliśmy na poniewierkę Rzeczypospolitej, na wszystkie zniewagi, jakie jej wyrządzano, na najstraszniejszą i najcięższą rzecz, jaka może naród spotkać: rozkład ducha, który dzisiaj objął wszystkie klasy. Niejednokrotnie zapytywałem sam siebie, skąd to wszystko płynie, skąd płynie ta lawina zła, jaką stale z sobą niesie socjalizm? Dlaczego rzecz, która pierwotnie miała być religią sprawiedliwości powszechnej i jako taka powinna była uszlachetnić dusze swoich wyznawców, dlaczego spycha te dusze w błoto? Czemu się to dzieje, że wszelkie gady ciągną do tego, jak ćmy do światła? Zapytajmy – byłaby to bardzo ciekawa ankieta – złodziei, sutenerów, awanturników, próżniaków, wszelkie odpadki społeczne o ich wyznanie wiary, o ich przynależność partyjną, a przekonamy się, że wszyscy oświadczą się za któremkolwiek ze stronnictw socjalistycznych. To nie jest przypadkowe. I nie jest przypadkowe, że w łonie całego stronnictwa istnieje tak wielki procent typów patologicznych i zbrodniczych. Czemu się to dzieje, że przy pozorach tak nadzwyczajnej energii socjalistyczne partie zdradzają tak wyraźnie i decydująco niemoc twórczą? To są pytania, które mnie dręczyły".

BYT LUB NIEBYT

W pisanych w oczekiwaniu na wyrok „Kartkach z więzienia" i liście otwartym „Do wszystkich Polaków" (swoją drogą, cenzura wielokrotnie nie dopuszczała do ich publikacji, co jednak nie było regułą) równie chętnie co socjalizm krytykował żydostwo, grzmiąc: „To jest dopiero Polska Piłsudskiego, Judeo-Polska. Naród polski do głosu w niej jeszcze nie doszedł. Polskę prawdziwą trzeba dopiero zdobyć i zbudować". Jeślibyśmy z bełkotu Niewiadomskiego musieli wyłowić jakąś myśl, która podpowiedziałaby nam, po co właściwie zabił on prezydenta Narutowicza, to tę chyba, że miał to być cios zadany „żydostwu" właśnie. Jego zdaniem siła żydostwa dla Polaków „jest tak zabójcza, że otwiera już dziś przed nami zagadnienie bytu lub niebytu. Być – to znaczy zachować w czystości to, co stanowi istotę naszej odrębności, a więc geniusz rasy, duch narodowy i cały świat idei, uczuć, sił twórczych […]. Nie być – to znaczy ulec skażeniu ducha pod wpływem semitów – utracić indywidualność rasową – przestać być sobą".

„Świat aryjski – przepowiadał Niewiadomski – czeka w przyszłości straszliwa, śmiertelna walka ze stunogim polipem żydowskim. Ale Polska nie może na tę chwilę czekać, bo byłoby za późno. Polska musi wystąpić do walki bez straty jednego dnia". Przy czym początek, można rozumieć, zrobił już autor „Kartek z więzienia", trzykrotnie strzelając. Celnie. W plecy.

VOTUM SEPARATUM

Po trwającym jeden dzień procesie sąd skazał Eligiusza Niewiadomskiego na karę śmierci. Sentencję odczytał przewodniczący składu sędziowskiego Wacław Laskowski, informując, że do chwili wykonania wyroku skazany pozostanie w dotychczasowym miejscu zatrzymania w pawilonie nr 63 Cytadeli.

Na szczegółowe umotywowanie wyroku poczekać trzeba było do 10 stycznia i dopiero wtedy opinia publiczna dowiedziała się o odrębnym zdaniu sędziego Jana Kozakowskiego, który optował za karą bezterminowego ciężkiego więzienia, na co zezwalały przepisy do art. 99 Kodeksu karnego. Kozakowski był zdania, że podsądny dokonał inkryminowanego mu czynu w stanie niezmiernie silnego afektu, a zwrócona przez niego do sądu w ostatnim słowie prośba o wymierzenie mu kary głównej nie powinna być brana pod uwagę. Dzisiaj przyznalibyśmy sędziemu wiele racji. Niewiadomski nie został poddany badaniom psychiatrycznym – to po pierwsze, po drugie zaś – kara śmierci mogła uczynić z niego męczennika, co w jakiejś mierze

eprasa.pl d95acbd8fa

się ziściło, dożywotnie więzienie czyniło z niego jedynie obiekt społecznej wzgardy.

Stało się jednak, jak się stało. Niewiadomski czas, który mu jeszcze pozostał, spożytkował na spisywanie swoich wynurzeń dla współczesnych i potomnych, kończył też swoją pracę o malarstwie polskim. Wystosował również pismo do Sądu Okręgowego, by wszelkie ewentualne prośby o jego ułaskawienie potraktował jako składane bez jego wiedzy i zgody. Dowiedział się bowiem, że jego bliscy prosili o pomoc kard. Aleksandra Kakowskiego. List otwarty do następcy Narutowicza, prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, wystosował z kolei w jego sprawie pisarz i krytyk (żydowskiego pochodzenia) Leo Belmont. „Zanosząc pokorne błaganie o ułaskawienie Niewiadomskiego – pisał w tej epistole, poprzedzonej mottem z »Samuela Zborowskiego« Juliusza Słowackiego – jestem najbardziej przekonany, iż przemawiam w imieniu całego narodu w jego niepokalanych, a najistotniejszych natchnieniach dziejowych". Kończył zaś rzecz całą, tłumacząc, że prośbę swą zanosi wbrew pragnącemu śmierci Niewiadomskiemu: „Więc to wbrew niemu, Panie – nie dla niego, ale dla względów wyższych, niż jego samobójcza żądza – proszę Cię o łaskę. Ona nam, nie jemu potrzebna".

Zamach Eligiusza Niewiadomskiego na prezydenta Gabriela Narutowicza. Ilustracja w tygodniku „Ilustracja Polska" (grudzień 1922 r.) FOT. FORUM

UMIERAM SZCZĘŚLIWY

Niewiadomskiemu jednak jego autokreacja milsza była niż cokolwiek innego. Wygląda też, że stawał się coraz bardziej oderwany od rzeczywistości. Raptem zaczął bowiem domagać się, by przed egzekucją oddał mu honory 5. Pułk Legionów, w którym służył w roku 1920, czcząc jego śmierć paradną salwą. Tego, że sąd odebrał mu prawa publiczne, nie brał jakoś pod uwagę. Podobnie jak prezydent Wojciechowski nie znalazł powodów, by zastosować wobec niego prawo łaski.

30 stycznia skazaniec wyspowiadał się, otrzymał rozgrzeszenie i przyjął komunię. Nazajutrz o godz. 7.15 sześciu strzelców kaniowskich namierzyło cel i po komendzie: „Ognia!" zrobiło to, co do nich należało. Trzy kule przebiły górną część czaszki rozstrzelanego, czwarta utkwiła w jego sercu. Wcześniej oddał broniącemu go adwokatowi Stanisławowi Kijeńskiemu okulary i zadeklarował: „Umieram szczęśliwy, że przestanę patrzeć na to, co zrobił z Polską Piłsudski. Ufny, że krew moja przyczyni się do zjednoczenia wszystkich serc ludzkich. Umieram za Polskę, którą gubi Piłsudski".

Pogrzeb Eligiusza Niewiadomskiego odbył się na Powązkach 6 lutego w godzinach rannych. Mimo tego, że wiadomości o dacie pogrzebu były utajnione, w ostatniej drodze zabójcy Narutowicza towarzyszył około 10-tysięczny tłum. To dużo, ale zamordowanego prezydenta żegnało pół miliona ludzi – pięćdziesiąt razy więcej.

OSTRZEŻENIA SPIŻOWE

W ciągu roku po tragicznym wydarzeniu 300 nowo narodzonym dzieciom w Polsce nadano imię Eligiusz. Na świeży jeszcze grób Niewiadomskiego przybywały pielgrzymki z całej Polski, w wielu kościołach zamawiano msze za jego duszę, aż w końcu zaniepokojony Episkopat ogłosił list pasterski w tej sprawie, praktycznie ogłaszając zakaz odprawiania takich żałobnych nabożeństw narodowych. Nowy premier, Władysław Sikorski, wprowadził nawet w Warszawie stan wyjątkowy, internując prowodyrów bojówek, a także autorów szczególnie w tym czasie agresywnych, m.in. Adolfa Nowaczyńskiego, który w sądowych mowach Niewiadomskiego dostrzegł „moc zasad, przykazań i wskazań i ostrzeżeń spiżowych, głęboko mądrych i twórczych". Jeśli chodzi o prasę, to ta – po krótkim wyciszeniu, jakby dla złapania oddechu – po staremu prześcigała się w inwektywach rzucanych na swoich przeciwników politycznych, co dotyczy zarówno lewej, jak i prawej strony konfliktu. W Poznaniu urządzono wielką wystawę 160 obrazów Niewiadomskiego, które potem w dziwny sposób uległy, powiedzmy – rozproszeniu. Jest też faktem, że w Zachęcie płótna jego, w pierwszym odruchu, zniszczono. Natomiast najważniejszy człowiek II Rzeczypospolitej – Józef Piłsudski – wkrótce po tych tragicznych wypadkach ostentacyjnie wycofał się z życia publicznego, znajdując azyl w Sulejówku.

WODA Z LOURDES

Co się stało z rodziną Eligiusza Niewiadomskiego? W 1897 r. ożenił się on z Marią de Tilly, z którą miał dwoje dzieci. W czasie procesu ojca Stefan miał dwadzieścia dwa lata, a Anna dwadzieścia. Żona przeżyła męża o kilka lat, zmarła w roku 1929. Stefan, który walczył u boku ojca w wojnie polsko-bolszewickiej, w 1940 r. został aresztowany przez gestapo i zginął w Auschwitz. Anna, nazywana Hanią, rok po wykonaniu wyroku na ojcu wyszła za mąż za adwokata i działacza endecji, Aleksandra Demideckiego-Demidowicza, z którym ponoć tworzyła jedną z najpiękniejszych par przedwojennej Warszawy.

Po klęsce wrześniowej Aleksander zaangażował się w tworzenie konspiracji, a następnie wyemigrował na Zachód. Był tam znaną postacią, w latach 1943–1944 sprawował obowiązki wiceministra spraw wewnętrznych rządu londyńskiego. Hanię aresztowali Niemcy na początku roku 1941 w związku ze sprawą Stanisława Piaseckiego, przed wojną szefa „Prosto z Mostu", w okupowanej Warszawie współtwórcy podziemnej „Walki", działacza Stronnictwa Narodowego, zamordowanego przez hitlerowców w Palmirach. Córkę Eligiusza Niewiadomskiego, przetrzymywaną początkowo na Pawiaku, wywieziono do obozu w Ravensbrück. W jednym z obozowych komand pracowała aż do wyzwolenia i w roku 1945 wróciła do Polski. Dwa lata później, używając fałszywych dokumentów, wyjechała z kraju, aby połączyć się z mężem, z którym zamieszkali najpierw w Szwajcarii, a potem w Anglii.

Zmarła przedwcześnie w 1957 r. na raka wątroby. Niedługo przed jej śmiercią w londyńskim szpitalu zgłosił się do niej pewien Polak, z zawodu szewc, który zaoferował jej sfinansowanie podróży do Lourdes w nadziei, że pielgrzymka i woda ze słynącego cudami źródła może ją uzdrowić. Był on przed laty członkiem plutonu egzekucyjnego, który 31 stycznia 1923 r. rozstrzelał jej ojca, Eligiusza Niewiadomskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Enea

enea.pl

eprasa.pl d95acbd8fa

PARTNEREM MATERIAŁU JEST Enea

Fantastyczna

Z okazji rocznicy stulecia odzyskania niepodległości w całej Polsce odbyły się tysiące koncertów, konferencji naukowych, wykładów czy konkursów historycznych. Wielu uczestników przyciągnęły biegi niepodległości. Tłumy widzów podziwiały też ogromne murale, nowoczesne pokazy multimedialne i największe w Polsce nocne plenerowe widowisko historyczne

W zeszłym roku dziesiątki różnych inicjatyw patriotycznych organizowano w niemal każdym mieście Polski. Które z nich były najciekawsze? Które przyciągnęły tłumy?

FESTIWALE I MARSZE

Na listopadowym Festiwalu Niepodległa na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie bawiło się ponad 300 tys. osób. Uczestnikom proponowano m.in. dwie trasy tematyczne poświęcone stuleciu odzyskania niepodległości. Goście mogli też przyłączyć się do spaceru z przewodnikiem po Trakcie Królewskim, wziąć udział w warsztatach „Tańce polskie", uczestniczyć w warsztatach plastycznych i artystycznych, wysłuchać koncertów, spróbować przysmaków kuchni polskiej, obejrzeć parady zabytkowych aut, historycznych wozów straży pożarnej czy powozów konnych.

Niemal ćwierć miliona osób wzięło zaś udział w warszawskim Biało-Czerwonym Marszu. Był to największy marsz w historii III Rzeczypospolitej. Podobne marsze odbyły się też w wielu innych miastach Polski.

MUZYKA DLA MILIONÓW

Niezwykłą frekwencją mogli pochwalić się też organizatorzy Koncertu dla Niepodległej, który 10 listopada 2018 r. odbył się na stadionie PGE Narodowym w Warszawie. Na miejscu oglądało go 40 tys. osób. Prawdziwy rekord padł jednak przed telewizorami, gdzie transmisje na pięciu antenach śledziło w sumie ponad 7 mln widzów.

Na scenie wystąpiło wielu znanych artystów – od Krystyny Prońko i Maryli Rodowicz przez Pawła Kukiza do Natalii Nykiel, Natalii Szroeder i Kamila Bednarka – którzy zaśpiewali piosenki mające symboliczne znaczenie w poszczególnych okresach polskiej historii. Podczas koncertu można było sobie więc przypomnieć pieśni legionowe, utwory, które towarzyszyły żołnierzom walczącym pod Monte Cassino i cywilom walczącym w powstaniu warszawskim. Nie zabrakło również piosenek, które dodawały nadziei walczącym z totalitarną władzą, a także tych, które towarzyszyły Polakom na dancingach i dyskotekach. Koncert zakończył się wspólnym wykonaniem „Mazurka Dąbrowskiego".

STO UTWORÓW W POLSCE I NA ŚWIECIE

W ramach uroczystości rocznicowych sto wybitnych polskich utworów minionego stulecia wybrzmiało również w zeszłym roku w 11 salach koncertowych w Polsce i 11 na świecie: od australijskiego Melbourne i japońskiego Tokio przez Lwów, Paryż czy Londyn do Nowego Jorku. Wśród utworów stulecia polskiej muzyki znalazły się dzieła takich kompozytorów jak Karol Szymanowski, Witold Lutosławski, Andrzej Panufnik, Krzysztof Penderecki, Kazimierz Serocki, Henryk Mikołaj Górecki, Wojciech Kilar,

eprasa.pl d95acbd8fa

Koncert dla Niepodległej na stadionie PGE Narodowym w Warszawie oglądało na miejscu 40 tys. osób, a przed telewizorami ponad 7 mln widzów

FOT. DOMINIK DERAS/NIEPODLEGŁA

Niepodległa

Mural w Poznaniu oddaje hołd powstańcom wielkopolskim

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zygmunt Krauze, Eugeniusz Knapik, Paweł Mykietyn czy Agata Zubel.

„MAZUREK DĄBROWSKIEGO" W TYSIĄCU MIEJSCACH

Aby uczcić rocznicę niepodległości, Polacy nie tylko słuchali koncertów, lecz także sami śpiewali. W ramach akcji „Niepodległa do Hymnu" łącznie w tysiącu miejscach 11 listopada punktualnie o godz. 12 uroczyście odśpiewano „Mazurka Dąbrowskiego".

Hymn odśpiewano nie tylko w polskich miastach i miasteczkach, lecz także na pięciu kontynentach: w Eurazji, Afryce, Ameryce Północnej i Południowej oraz w Australii, czyli na całym świecie poza Antarktydą.

MAPPINGOWA LEKCJA HISTORII

W obchody rocznicy stulecia odzyskania niepodległości oraz stulecia powstania wielkopolskiego aktywnie włączyła się Grupa Enea, która zaangażowała się w sumie w ponad sto inicjatyw patriotycznych. – W listopadzie 1918 r., po 123 latach nieobecności na mapach politycznych Europy, Polska odzyskała niepodległość. Stało się to głównie dzięki wytrwałości i ofiarności polskiego społeczeństwa. Dzisiaj chcemy upamiętnić bohaterów tamtych wydarzeń. Dla Grupy Enea – firmy społecznie odpowiedzialnej, związanej z Poznaniem – niezwykle ważne są wartości patriotyczne, utrzymanie tradycji pracy organicznej oraz nieustanne działanie na rzecz rozwoju gospodarczego Polski. Jesteśmy dumni z polskiej historii i narodowych osiągnięć, dlatego jesteśmy częścią ogólnopolskich obchodów – powiedział Mirosław Kowalik, prezes Enei.

Innowacyjny koncern surowcowo-energetyczny zafundował m.in. niezwykłą lekcję historii pod nazwą „Wielkopolska wiktoria", będącą połączeniem najnowszych multimedialnych technologii i szczególnej formy wideo-artu. Nowoczesny projekt łączący mapping fasadowy z wielkoformatową animacją onscreen sprawił, że tysiącom widzów zgromadzonych 11 listopada w centrum Poznania zaprezentowano 18 symbolicznych animowanych obrazów, przedstawiających odzyskanie przez Polskę niepodległości i wydarzenia związane z powstaniem wielkopolskim. Multimedialny pokaz był istną ucztą dla oczu i dla uszu – uświetniły go bowiem nie tylko efekty specjalne, lecz także muzyka na żywo.

PATRIOTYCZNE MALOWIDŁA

W setną rocznicę odzyskania niepodległości wiele budynków w miastach położonych w różnych częściach Polski pokryły wielkie malowidła, które w nowoczesny i radosny sposób pokazują historię w przestrzeni publicznej oraz sprawiają, że wizerunki bohaterów, mężów stanu i liderów odradzającego się narodu czy najważniejsze wydarzenia z historii Polski są widoczne dla każdego przechodnia. Pierwszy mural z serii patriotycznych malowideł, którego mecenasem była Enea, został odsłonięty w czerwcu 2018 r. Wspólnie z poznańską Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych stworzono go w stolicy Wielkopolski na ścianie kamienicy przy ul. Dąbrowskiego 33.

Wielkie malowidło nawiązuje do największego z polskich powstań narodowych zakończonych zwycięstwem Polaków, czyli powstania wielkopolskiego. Grafika przedstawia defiladę baonu zapasowego 10. Pułku Strzelców Wielkopolskich w Poznaniu, odbieraną przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego.

eprasa.pl d95acbd8fa

W listopadzie 2018 r. na biało-czerwono podświetlono najważniejsze obiekty na świecie, w tym paryską wieżę Eiffla FOT. MSZ

Z kolei w Pile, na budynku Zespołu Szkół przy ul. Teatralnej, stworzono mural, na którym widnieją wizerunki trzech wybitnych Polaków: Ignacego Jana Paderewskiego, Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego, którzy mimo bardzo odmiennych poglądów na kształt nowej Polski na kartach historii zapisali się niezwykłymi czynami niepodległościowymi.

W Lesznie patriotyczny mural powstał w centrum miasta na ścianie prywatnej kamienicy przy al. Jana Pawła II. Malowidło przedstawia herb Polski z lat 1919–1927 oraz Ignacego Jana Paderewskiego, wybitnego polskiego pianistę i kompozytora, działacza niepodległościowego i męża stanu, którego przyjazd do Poznania w 1918 r. stał się iskrą do wybuchu powstania wielkopolskiego, dzięki któremu m.in. Leszno powróciło do granic niepodległej Polski. Autorem wszystkich trzech wymienionych murali jest prof. Arkadiusz Marcinkowski.

BIAŁO-CZERWONY ŚWIAT

Tak ważną dla Polaków rocznicę świętowano nie tylko na terenie kraju. Według MSZ polskie placówki za granicą zorganizowały ok. 1,2 tys. inicjatyw związanych z obchodami stulecia odzyskania niepodległości: od konferencji i seminariów przez wystawy i prezentacje multimedialne do spotów internetowych oraz filmów.

W ponad 30 krajach na pięciu kontynentach na kolor biało-czerwony podświetlone zostały najważniejsze na świecie, niezwykle reprezentacyjne obiekty, takie jak najwyższy budynek świata, liczący 823 m wysokości wieżowiec Burdż Chalifa w Dubaju, figura Chrystusa Króla w Rio de Janeiro, piramidy w Gizie oraz posąg Sfinksa, wieża Eiffla w Paryżu, krzywa wieża w Pizie, wieża telewizyjna w Pradze, wieża CN Tower w Toronto, plac Wolności w Tallinie, a także dwa wileńskie mosty – most Łańcuchowy w Budapeszcie, most Parkowy w Kijowie, ateński Zappeion oraz diabelski młyn w Los Angeles. W polskich barwach rozbłysnął również wodospad Niagara, a także gigantyczny billboard na Times Square na nowojorskim Manhattanie.

NIEZWYKŁE FLAGI

Najdłuższą flagę narodową utkaną światłem można było oglądać 11 listopada w Łodzi podczas spektaklu „Światło dla Niepodległej". Na odległość kilku przecznic ul. Piotrkowskiej utworzyły ją dwa strumienie laserów w polskich barwach narodowych. Monumentalny, innowacyjny multimedialny spektakl świetlno-laserowy, będący zwieńczeniem łódzkich obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości, odbył się na placu Wolności, czyli dawnym Nowym Rynku, gdzie sto lat wcześniej doszło do symbolicznego rozbrojenia niemieckiego patrolu. Pokazowi towarzyszyła muzyka wybitnych polskich kompozytorów, m.in. Wojciecha Kilara, Michała Lorenca i Andrzeja Kurylewicza.

Z kolei w Lublinie setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości upamiętniono, m.in. wciągając na Maszt Niepodległości o wysokości 35 m naszą flagę narodową o powierzchni aż 50 mkw. Oficjalnemu odsłonięciu Masztu Niepodległości towarzyszył armatni salut narodowy – zgromadzeni mogli usłyszeć 21 wystrzałów z historycznego działa przeciwlotniczego Bofors.

„ORZEŁ I KRZYŻ"

Ogromne wrażenie na widzach robiło również wystawiane latem w Murowanej Goślinie największe nocne plenerowe widowisko historyczne: „Orzeł i Krzyż – Niepodległa" w Murowanej Goślinie pod Poznaniem. Niemal 400 aktorów wcielających się w ponad 1,5 tys. postaci zabrało tysiące widzów w niezwykłą podróż w czasie od legend o Lechu, Czechu i Rusie przez początki państwa polskiego z chrztem Polski, triumfy husarii, potop szwedzki i odzyskanie niepodległości w roku 1918 do XX-wiecznego przesłania Jana Pawła II. Wzruszająca i piękna opowieść sprawiła, że każdy mógł poczuć dumę z bycia Polakiem. Atutem widowisk byli również grający w nich wolontariusze: mieszkańcy Murowanej Gośliny, Poznania i sąsiednich gmin w wieku od czterech do 80 lat.

Enea widowiska „Orzeł i Krzyż" wspiera już od trzech lat.

ROZBIEGANE ŚWIĘTO

W listopadzie zeszłego roku zorganizowano ok. 100 Biegów Niepodległości, które ukończyło niemal 100 tys. osób. W Poznaniu udział w takiej imprezie wzięła rekordowa liczba ponad 22 tys. osób. Bieg wystartował punktualnie o godz. 11.11 i podzielony był na siedem fal. Pierwsi ruszyli powstańcy kościuszkowscy, a następnie listopadowi, krakowscy, poznańscy, styczniowi i wielkopolscy.

W 30. Biegu Niepodległości w Warszawie pobiegło ponad 18 tys. osób, co było frekwencyjnym rekordem, w tym licząca 115 osób drużyna dyplomatów, w której skład oprócz pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych weszli także przedstawiciele akredytowanego w Polsce korpusu dyplomatycznego. Przed biegiem tysiące startujących odśpiewało polski hymn, a startujący w imprezie uczestnicy, ubrani w białe i czerwone koszulki, utworzyli niezwykłą „żywą" flagę Polski. Tysiące biegaczy wystartowało dla Niepodległej również m.in. w Gdyni, Krakowie czy we Wrocławiu.

Biegacze świętowali niepodległość również poza granicami kraju. Na przykład ponad 700 Polaków wzięło udział w Maratonie Ateńskim. Biegacze mieli na sobie specjalne, okolicznościowe koszulki, a wielu na metę dobiegało, trzymając w rękach polską flagę. Bieg z okazji stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę odbył się też nawet w południowokoreańskim Seulu.

A to nie koniec atrakcji. W 2019 r. na widzów i uczestników czekają setki kolejnych inicjatyw. Uroczystości w ramach stulecia odzyskania niepodległości będą zaś organizowane aż do 2022 r.

Jan Pieniążek

eprasa.pl d95acbd8fa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Świetlny pokaz historii

Unikatowe połączenie najnowszych multimedialnych technologii, wyjątkowej formy wideo-artu oraz kilkunastu symbolicznych obrazów pozwoliło na stworzenie w stulecie niepodległości niezwykłej lekcji historii pod nazwą „Wielkopolska wiktoria". Przepiękny pokaz multimedialny był jedną z głównych atrakcji obchodów Święta Niepodległości w Poznaniu

Wielkopolska wiktoria" to nazwa widowiska multimedialnego opartego na nowatorskim projekcie połączenia mappingu fasadowego z wielkoformatową animacją onscreen. Cóż to takiego? Najprościej rzecz ujmując, to pokaz multimedialny polegający na rozświetlaniu obiektów i ich elementów za pomocą świateł z potężnych projektorów. Zmieniające się cienie na obiekcie, zmiany kolorów oraz poruszające się elementy oświetlanego projektorem budynku sprawiają, że odbiorcy mają wrażenie trójwymiarowości prezentowanych treści, a także ulegają iluzji, np. rozpadającego się po wybuchu budynku.

Dzięki wykorzystaniu najnowszych technologii wizualnych tysiącom poznaniaków i turystów zaprezentowano 18 animowanych obrazów, przedstawiających odzyskanie przez Polskę niepodległości i wydarzenia związane z powstaniem wielkopolskim.

Jego twórcy dopasowali go do architektury na poznańskim placu Wolności. Podczas finału uroczystości „ożył" zaś budynek Arkadii, naoczny świadek wydarzeń powstania wielkopolskiego. Najnowsze technologie pozwoliły na stworzenie niezwykłej lekcji historii. Podczas zaledwie pięciu minut zaprezentowano widzom najważniejsze wydarzenia sprzed stu lat. Widzowie mogli zobaczyć m.in. „zamach na ratusz" z 13 listopada 2018 r., gdy polscy żołnierze z POW wtargnęli do poznańskiego ratusza, żeby przypomnieć Niemcom, kto tu jest w większości.

Podczas niezwykłej lekcji historii można było też podziwiać entuzjastyczne powitanie światowej sławy pianisty i orędownika sprawy niepodległości Polski Ignacego Jana Paderewskiego na dworcu kolejowym w Poznaniu 26 grudnia 1918 r. Nie zabrakło też wątków bitewnych, w tym przypomnienia zwycięskiej bitwy pod Zdziechową (30–31 grudnia 2018 r.), a także przypomnienia, jak powstanie wybuchało w kolejnych miastach: w Gnieźnie, Mogilnie, Kruszwicy, Strzelnie i Inowrocławiu. Obrazom towarzyszyły widowiskowe wybuchy, odgłosy broni maszynowej i też silników samolotów (gdy 6 stycznia powstańcy wielkopolscy zdobyli lotnisko Ławica). Widzowie mogli też oglądać zdjęcia z przekazania dowództwa wojsk wielkopolskich pod rozkazy naczelnika państwa (25 maja 1919 r.).

Multimedialny pokaz był istną ucztą zarówno dla oczu, jak i dla uszu – uświetniły go bowiem nie tylko efekty specjalne, lecz także muzyka na żywo. Jednocześnie na specjalnie przygotowanym telebimie prezentowano najistotniejsze fakty i treści historyczne.

Tak zwany mapping był jedną z wielu rocznicowych inicjatyw Grupy Enea, firmy społecznie odpowiedzialnej, funkcjonującej w bliskim kontakcie ze społecznościami lokalnymi. Enea była również m.in. partnerem wyjątkowego „Kurjera Powstańczego" – okolicznościowego wydawnictwa, które trafiło do rąk poznaniaków świętujących odzyskanie niepodległości.

eprasa.pl d95acbd8fa

Bohaterowie na murach

Dzięki Enei – której celem jest budowanie świadomości historycznej oraz odpowiedzialne promowanie nowoczesnego podejścia do patriotyzmu i która włączyła się w ogólnopolski Program Wieloletni „Niepodległa" – murale patriotyczne powstały w kilku wielkopolskich miastach, m.in. w Poznaniu, Pile i Lesznie. Wielkie malowidła w nowoczesny i radosny sposób pokazują historię w przestrzeni publicznej, sprawiając, że wizerunki bohaterów, mądrych mężów stanu i liderów odradzającego się narodu oraz najważniejsze wydarzenia z historii, z której Polacy mogą być dumni, są widoczne dla każdego przechodnia każdego dnia.

Tego typu dzieła są dobrą inspiracją do tego, aby historią własnego kraju, regionu oraz miasta zainteresowali się wszyscy ci, którzy na co dzień nie pamiętają o tego typu wydarzeniach. Nowe formy ekspresji patriotyzmu świetnie trafiają również do młodych ludzi.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W roku obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości na ścianach wielu szkół i kamienic w różnych miastach kraju powstały dzieła nawiązujące do wydarzeń historycznych oraz twórców odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej

CHWAŁA ZWYCIĘSKIM POWSTAŃCOM

Murale jako rodzaj sztuki monumentalnej upiększają także miejską przestrzeń i stają się swego rodzaju atrakcją turystyczną. Tak się stało choćby w stolicy Wielkopolski, gdzie Enea, angażując się w projekt murali patriotycznych, przypomina wydarzenia oraz osoby związane z walką i odzyskaniem niepodległości. Pierwszy mural z serii patriotycznych malowideł został odsłonięty w czerwcu 2018 r. Wspólnie z poznańską Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych Enea stworzyła go na ścianie kamienicy przy ul. Dąbrowskiego 33.

Wielkie malowidło nawiązuje do powstania wielkopolskiego, największego z polskich powstań narodowych zakończonych zwycięstwem Polaków. Grafika przedstawia defiladę baonu zapasowego 10. Pułku Strzelców Wielkopolskich w Poznaniu, odbieraną przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Miejsce wydarzenia to dzisiejszy plac Mickiewicza, w tle widoczne są Zamek Cesarski, a także flaga powstańcza z orłem w koronie. Na górze muralu widnieje napis: „Chwała Powstańcom". Całość przedstawiono w tradycyjny sposób.

Projekt malunku przygotował dr hab. Arkadiusz Marcinkowski. Autorką linii kreatywnej jest zaś dr Agnieszka Woch-Juchacz. Wykonanie muralu trojgu artystów zajęło cztery dni. Patronat nad akcją objęli wojewoda wielkopolski Zbigniew Hoffmann, Niepodległa oraz Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych w Poznaniu.

OJCOWIE NIEPODLEGŁOŚCI

Na budynku Zespołu Szkół przy ul. Teatralnej w Pile pojawił się mural, na którym widnieją wizerunki trzech wybitnych Polaków. Na kartach historii zapisali się oni niezwykłymi czynami niepodległościowymi.

Ze ściany na przechodniów spoglądają Ignacy Jan Paderewski, Józef Piłsudski i Roman Dmowski, którzy – mimo bardzo odmiennych poglądów na kształt nowej Polski – wolność i niepodległość cenili jako wartości bezwzględne i nadrzędne. Mural na ścianie pilskiego zespołu szkół zaprojektował prof. Arkadiusz Marcinkowski z Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych w Poznaniu. Wykonawcą dzieła są członkowie śląskiej grupy Epic.

Dzięki temu, że popularna pilska „Teatralka" mieści się niedaleko dworców PKP i PKS oraz dużego centrum handlowego, niepodległościowy przekaz odbierać będą nie tylko uczniowie, lecz także tysiące przechodniów.

PIANISTA I MĄŻ STANU

W Lesznie patriotyczny mural powstał w centrum miasta na ścianie prywatnej kamienicy przy al. Jana Pawła II. Malowidło przedstawia herb Polski z lat 1919–1927 oraz Ignacego Jana Paderewskiego, wybitnego polskiego pianistę i kompozytora, działacza niepodległościowego i męża stanu. To jego przyjazd do Poznania w 1918 r. oraz płomienne przemówienie do tłumów wygłoszone z balkonu poznańskiego hotelu Bazar stały się impulsem do wybuchu powstania wielkopolskiego, dzięki któremu Leszno i Wielkopolska powróciły do granic niepodległej Polski.

Mural jest wspólnym projektem Enei oraz samorządu Leszna, wojewody wielkopolskiego, Klubu Sportowego Unia Leszno i Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych. Autorem grafiki jest prof. Arkadiusz Marcinkowski.

eprasa.pl d95acbd8fa

Orzeł i Krzyż

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Niemal 400 aktorów wcielających się w ponad 1,5 tys. postaci. Scena o wielkości sześciu boisk piłkarskich. A do tego spektakularne efekty specjalne, niesamowite mappingi, projekcje na ekranach wodnych, konie i akrobaci. To elementy niezwykłego przedstawienia prezentującego historię Polski od czasów założenia państwa do powstania Solidarności i przesłania papieża Polaka

Od trzech lat innowacyjny koncern surowcowo-energetyczny Enea wspiera największe w Polsce plenerowe widowisko historyczne. Scenariusz rozgrywanego latem po zachodzie słońca przedstawienia opowiada historię Polski za pomocą obrazów znanych głównie z malarstwa historycznego. Półtoragodzinny spektakl w Murowanej Goślinie pod Poznaniem to niezwykła podróż w czasie. Od legendy o Lechu, Czechu i Rusie przez początki państwa polskiego z chrztem Polski, triumfy niezwyciężonej husarii, potop szwedzki i odzyskanie niepodległości w roku 1918 do XX w. z przesłaniem Jana Pawła II i Solidarności.

Na trybunach może zasiąść nawet 2 tys. widzów. Od momentu pierwszego wystawienia „Orła i Krzyża" przedstawienie obejrzało już ponad 45 tys. osób. W czerwcu 2018 r. odbyła się zaś premiera widowiska „Orzeł i Krzyż" ze specjalnym dopiskiem „Niepodległa" – znalazły się w nim bowiem szczególne elementy nawiązujące do setnej rocznicy odzyskania niepodległości. – Dla Enei, firmy odpowiedzialnej społecznie i zaangażowanej, to niezwykle ważne, by uczcić pamięć o bohaterach tamtych wydarzeń – podkreśla Magdalena Hilszer, kierownik Biura Komunikacji w Enei.

Pozostający na długo w pamięci spektakl, pełen podniosłych i emocjonujących scen, to rewelacyjny sposób nie tylko na zaszczepienie w dzieciach zainteresowania historią, lecz także na spędzenie czasu z rodziną. Wzruszająca i piękna opowieść sprawia również, że każdy może poczuć dumę z bycia Polakiem. Atutem widowisk są również grający w nich wolontariusze: mieszkańcy Murowanej Gośliny, Poznania i sąsiednich gmin w wieku od czterech do 80 lat.

Widowisko „Orzeł i Krzyż – Niepodległa" to część projektu historycznego „Parku Dzieje", inspirowanego parkiem historyczno-rozrywkowym Puy du Fou, który jest drugim po Disneylandzie największym parkiem rozrywki we Francji. Latem w Murowanej Goślinie pod Poznaniem można więc nie tylko zobaczyć niezwykły spektakl nocny, lecz także obejrzeć widowisko dzienne „Zawisza", przedstawiające historię z czasów Władysława Jagiełły i wojen krzyżackich, podziwiać pokazy sokolnicze, wziąć udział w warsztatach rękodzieła, zbudować własną katapultę czy poznać staropolskie gry i zabawy, takie jak strzelanie z łuku czy rzut podkową. W „Parku Dzieje" można także wziąć udział w biesiadzie staropolskiej, tradycyjnej uczcie z jadłem, tańcami i odgrywanymi scenami szlacheckich zabaw.

W tym roku w „Parku Dzieje" będzie wystawiane widowisko „Orzeł i Krzyż – Zwycięskie powstanie". Spektakle będą wystawiane od 21 czerwca do 13 lipca.

eprasa.pl d95acbd8fa

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Koszmar Łukiszek

Łukiszki. To słowo w uszach Koroniarza ma wydźwięk neutralny. Co innego w uszach Wilniuka. W ponurym łukiskim gmachu znajdowało się bowiem straszliwe więzienie. W latach 1940–1941 służyło bolszewikom, w latach 1941–1944 Niemcom, a potem znowu bolszewikom. Obaj okupanci zamienili Łukiszki w miejsce straszliwej kaźni, przez które przeszły tysiące Polaków.

To właśnie ich gehenna jest tematem nowej książki Moniki Tomkiewicz „Więzienie na Łukiszkach w Wilnie 1939–1953". Autorka opisała w nim represje stosowane wobec osadzonych. Zarówno podczas okupacji sowieckiej, jak i niemieckiej Łukiszki często były ostatnim przystankiem przed miejscem straceń.

Oficer śledczy NKWD – pisze Tomkiewicz – rozpoczynał swoją »rozmowę« z więźniem od serii wyzwisk. Najważniejszą kwestią było wyjawienie nazwisk osób, z którymi utrzymywało się kontakty konspiracyjne. Większość więźniów odpowiadała na to pytanie, »że nikogo nie znają i nic nie wiedzą«. Po takiej odpowiedzi, w celu wymuszenia oczekiwanej przez przesłuchującego wersji, przystępowano do bicia".

Najbardziej przerażające sceny rozegrały się na Łukiszkach zaraz po ataku Niemiec na Związek Sowiecki, czyli w czerwcu 1941 r. Podobnie jak w innych więzieniach na terenie okupowanej przez bolszewików wschodniej Polski NKWD dokonało w Wilnie serii masakr więźniów politycznych. Chodziło o to, by ludzie ci nie zostali wyzwoleni przez Niemców.

Na Łukiszkach Sowieci zamordowali kilkunastu ludzi. Część z nich rozstrzelali, a część zatłukli kolbami i innymi tępymi narzędziami. Znacznie większa masakra miała miejsce w siedzibie NKWD przy ul. Mickiewicza i w areszcie przy ul. Ofiarnej. Tam Niemcy znaleźli 922 ciała ofiar czerwonego terroru.

Do mordów doszło również w okolicach Wilna, m.in. w więzieniu w Nowej Wilejce. „W piwnicy na wprost wejścia – relacjonował świadek – pod ścianą stało krzesło, a ściana za nim była podziurawiona od kul jak sito. Na podłożu leżała warstwą zakrzepłej krwi. Przed piwnicą na wprost wejścia były dwa doły, widziałem w nich zwłoki ułożone warstwowo ciała były już ciemne. Te, które widziałem, miały ręce związane do tyłu kablem".

Monika Tomkiewicz napisała ważną, wstrząsającą książkę. ©℗

★★★★★★

MONIKA TOMKIEWICZ „WIĘZIENIE NA ŁUKISZKACH W WILNIE 1939–1953"
IPN 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dziwna kariera króla Łokietka

Zniezrozumiałych względów Władysław Łokietek uchodzi za wybitnego wodza i męża stanu, podczas gdy o jego sukcesach zadecydował wyłącznie splot szczęśliwych przypadków. Jego przeciwnicy umierali w najbardziej odpowiednich chwilach, wygasały nawet całe wrogie dynastie. Kuzyni w testamentach oddawali mu swoje ziemie, a on i tak omal wszystkiego nie stracił. Jako jedyny argument prowadzenia polityki uważał wojnę, zapominając, że nie ma sił na walkę ze wszystkimi. Najbardziej udanym posunięciem dyplomatycznym był sojusz z Węgrami, gdyż przymierze z Litwą przeciwko Krzyżakom przyniosło więcej szkody niż pożytku. Litwini byli poganami, co w ówczesnej Europie miało ogromne znaczenie, a szczególnie stało się to widoczne, gdy 10 lutego 1326 r. Łokietek wyruszył przeciwko Brandenburgii. Litewscy sojusznicy palili i rabowali kościoły oraz klasztory, mordując zakonników i gwałcąc mniszki. Propaganda krzyżacka nie próżnowała i wyprawa okazała się porażką wizerunkową. Jeszcze gorzej było rok później, gdy zakon wspólnie z królem Czech, Janem Luksemburskim, zaatakował Litwę. W odpowiedzi Łokietek najechał ziemię chełmińską, zapominając jednak, że ekspedycja krzyżacka miała status wyprawy krzyżowej, i pomoc okazana poganom wywarła fatalne wrażenie na europejskich dworach…

> **Największym sukcesem Łokietka okazał się jego syn, Kazimierz**

Łokietkowi jednak dalej sprzyjało szczęście, chociaż sprzymierzone siły zakonu krzyżackiego i mającego pretensje do polskiej korony Jana Luksemburskiego powinny bez problemu go pokonać. Przeciwnicy wciąż mieli problemy, a gdy wreszcie doszło do wojny, zawiodła logistyka. Latem 1331 r. władca Czech spóźnił się na spotkanie z Krzyżakami pod Kaliszem i zakonnicy zawrócili. W efekcie doszło do bitwy pod Płowcami, która uchodzi za wielkie polskie zwycięstwo. W rzeczywistości polskie oddziały dotrzymały pola Krzyżakom, a potem się sprawnie wycofały. Faktycznie można uznać za sukces, że nie był to paniczny odwrót. Rok później zakonnicy zajęli Kujawy, a Łokietek musiał zgodzić się na rozejm, co najlepiej świadczy o wadze „zwycięstwa" pod Płowcami.

Największym sukcesem Łokietka okazał się jego syn, Kazimierz. Nie bez powodu nazwano go Wielkim, doskonale bowiem wiedział, że istnieją inne metody prowadzenia polityki niż wojna. Po śmierci ojca przedłużył rozejm z Krzyżakami, a w 1343 r. odzyskał bez walki Kujawy. W zamian zrezygnował z dawno już straconego Pomorza Gdańskiego, był realistą i znał możliwości państwa. Zamierzał budować jego potęgę, a nie tracić siły w wojnach z góry skazanych na klęskę. ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

POWSTANIE WIELKOPOLSKIE

100

ROCZNICA

100 lat temu zagrzewała Powstańców do walki.

Myśl o Niepodległości.

ORLEN

eprasa.pl d95acbd8fa

Niemieckie słońce nie wzeszło

Wojciech Wybranowski

Dzięki sukcesowi wywiadu odradzającego się państwa polskiego oraz dyplomatycznym wysiłkom Romana Dmowskiego i marszałka Ferdynanda Focha udało się powstrzymać Niemcy od wielkiej ofensywy na ziemie walczącej Wielkopolski

Przełom stycznia i lutego 1919 r. Po fali pierwszych sukcesów powstania wielkopolskiego narodowy zryw Wielkopolan natrafia na coraz większe problemy. Zaskoczeni początkowym sukcesem powstania Niemcy zaczynają stawiać coraz większy opór. Na tereny Wielkopolski, opanowane jeszcze przez pruskie oddziały, napływają kolejni ochotnicy zasilający oddziały Grenzschutzu. Coraz częściej też mają miejsce dywersyjne ataki osiadłych na ziemiach wielkopolskich niemieckich kolonistów. Do dowództwa wojsk powstańczych docierają sygnały o napadach na powstańcze patrole, o strzałach „zza winkla", o rannych bądź zabitych polskich żołnierzach.

– Ten okres na frontach powstania obfitował licznymi potyczkami o niewielkie miejscowości, które – zdarzało się, że dosłownie z dnia na dzień – przechodziły z rąk do rąk. Czasami jedna lub druga strona bez walki zajmowała jakąś miejscowość, po czym przeciwnicy ją odbijali, dzień później zaś miała miejsce sytuacja odmienna – mówi „Do Rzeczy" prof. Olaf Bergmann, historyk z Wielkopolskiego Muzeum Niepodległości.

28 stycznia 1919 r. dwa niemieckie pociągi pancerne wjeżdżają na niewielką stację kolejową w Kąkolewie w powiecie leszczyńskim. Desantujący się z nich żołnierze szybko opanowują stację. Powstańcy wielkopolscy odpowiadają ogniem karabinów maszynowych i po kilkugodzinnej potyczce Wielkopolanom udaje się odbić dworzec kolejowy. Pociągi pancerne zostają częściowo uszkodzone, a Niemcy zmuszeni do pospiesznego odwrotu. Jednak już dwa tygodnie później wojska niemieckie ponowią atak na ten węzeł kolejowy. Również im się nie uda.

Udaje się za to Niemcom zająć Nowe Kramsko w powiecie lubuskim. W sztabie powstańczych wojsk zapada decyzja o odbiciu miasteczka, a do kontrataku dochodzi w nocy z 2 na 3 lutego 1919 r. Ofensywa udaje się znakomicie – bez większych strat własnych Polacy zajmują miejscowość, biorąc do niewoli blisko 30 niemieckich żołnierzy, zdobywając siedem ciężkich karabinów maszynowych i dwa lekkie. Kilka dni później Niemcy w wyniku szybkiego kontrataku znów przejmują kontrolę nad Nowym Kramskiem.

Z kolei 10 lutego wybuchają zacięte walki na froncie południowym na wschód od Rawicza, a małe miejscowości: Wydawa, Zielona i wreszcie Słupia Kapitulna, w której kilka tygodni wcześniej niemieccy żołdacy dopuścili się okrutnego mordu na trojgu dzieciach i miejscowym proboszczu ks. Juliuszu Śledzińskim, kilka razy w ciągu kolejnych dni stają się to częścią Polski, to znów Niemiec.

NIEMIECKI PLAN, POLSKI WYWIAD...

Znawca dziejów powstania wielkopolskiego, dr Marek Rezler, w rozmowie z „Do Rzeczy" zwraca uwagę, że już w połowie lutego sytuacja powstania wielkopolskiego była znacznie trudniejsza niż w momencie jego wybuchu. Co prawda powstańcy okrzepli w walkach z Niemcami, ale ci nie zamierzali już się wycofywać z Wielkopolski.

– Armia niemiecka, a przynajmniej ta jej część, której jednostki walczyły na froncie zachodnim w listopadzie 1918 r., była

eprasa.pl d95acbd8fa

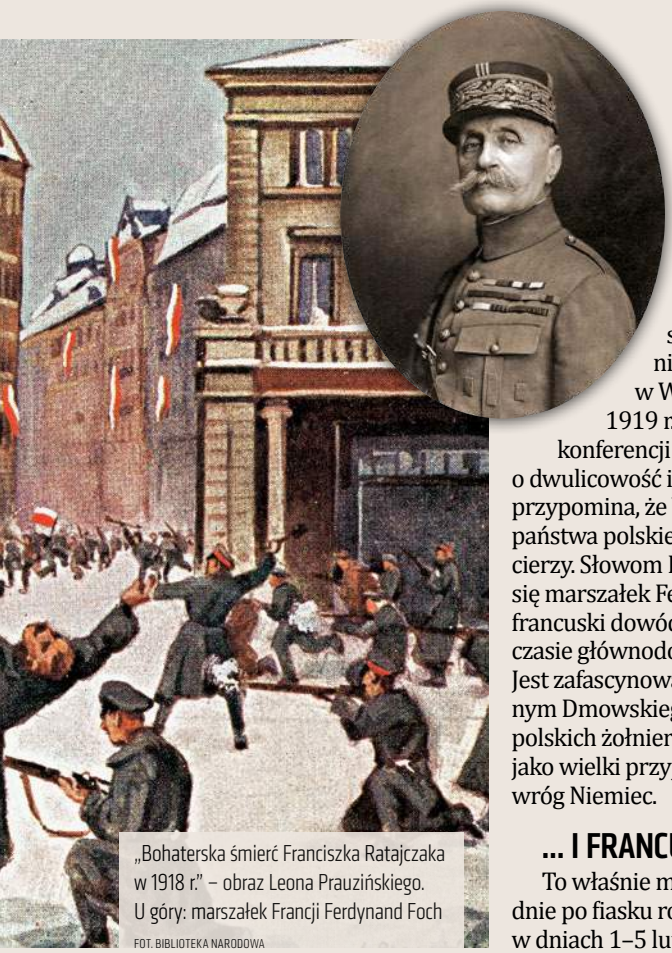

„Bohaterska śmierć Franciszka Ratajczaka w 1918 r." – obraz Leona Prauzińskiego. U góry: marszałek Francji Ferdynand Foch

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

w rozsypce, jednak już w połowie lutego 1919 r. była gotowa do działania militarnego – mówi nam dr Rezler. Historyk przypomina, że po wybuchu rewolucji w Niemczech na froncie zachodnim wśród żołnierzy niemieckich przeważała chęć powrotu do kraju. Jednak w miarę upływu czasu żołnierze niemieccy wracający do domu przekonali się, że w Niemczech nie ma dla nich perspektyw, pracy, że nikt poza rodzinami na nich nie czeka.

– Zaczęła się tendencja odwrotna, żołnierzom niemieckim zaczęło się opłacać wrócić do Wielkopolski i tu przeczekać ciężki czas. Dzięki temu nastąpiła szybka ponowna remilitaryzacja armii niemieckiej – opowiada Marek Rezler.

W tych okolicznościach polski wywiad zdobywa tajne niemieckie plany szykowanej na kwiecień i maj 1919 r. operacji o kryptonimie Wiosenne Słońce. Opracowany przez sztab armii Republiki Weimarskiej na polecenie gen. Hansa von Seeckta tajny plan zakładał atak nie tylko na terytorium Wielkopolski, lecz także – po wybuchu wojny polsko-bolszewickiej – we współpracy z bolszewikami uderzenie na całe terytorium odradzającej się Rzeczypospolitej. Pozyskane przez nasz wywiad plany trafiają do polskiej dyplomacji. Rozpoczyna się kuluarowa gra, której celem będzie zapewnienie bezpieczeństwa wyzwolonemu już terytorium Rzeczypospolitej i powstrzymanie niemieckiej ofensywy w Wielkopolsce. 29 stycznia 1919 r. Roman Dmowski podczas konferencji w Paryżu oskarża Niemcy o dwulicowość i w mocnych słowach przypomina, że Wielkopolska jest kolebką państwa polskiego i musi wrócić do macierzy. Słowom Dmowskiego przysłuchuje się marszałek Ferdynand Foch, wybitny francuski dowódca wojskowy i w tamtym czasie głównodowodzący wojsk alianckich. Jest zafascynowany talentem dyplomatycznym Dmowskiego, ale też bohaterstwem polskich żołnierzy. W historii zapisze się jako wielki przyjaciel Polski i zagorzały wróg Niemiec.

... I FRANCUSKI MARSZAŁEK

To właśnie marszałek Foch dwa tygodnie po fiasku rokowań (prowadzonych w dniach 1–5 lutego 1919 r. w Berlinie) między przedstawicielami Wielkopolski a niemieckimi władzami stawia na ostrzu noża „sprawę wielkopolską", domagając się od Niemiec zawieszenia broni na froncie wschodnim.

14 lutego 1919 r. w Trewirze zaczynają się rozmowy pomiędzy Niemcami a państwami ententy o przedłużeniu rozejmu kończącego I wojną światową z 11 listopada 1918 r. Niemcy postulują podtrzymanie warunków wcześniejszego rozejmu z Compiègne, które nie obejmowały frontu wielkopolskiego. Są bliscy sukcesu, ale wówczas głos zabiera marszałek Foch. Grozi, że jeśli Niemcy nie powstrzymają się od ataków militarnych w Wielkopolsce, sojusznicza armia pod jego dowództwem zajmie Berlin. Groźby alianckiego dowódcy okazują się skuteczne. 16 lutego 1919 r. w Trewirze w Nadrenii-Palatynacie zostaje podpisany rozejm trewirski dotyczący również większości ziem objętych powstaniem wielkopolskim. „Niemcy powinni niezwłocznie zaprzestać wszelkich działań ofensywnych przeciwko Polakom w Poznańskiem i we wszystkich innych okręgach [...]" – głosił dokument.

– Rozejm w Trewirze tak naprawdę uratował powstanie wielkopolskie. Gdyby w połowie lutego nie został zawarty, to prędzej czy później Niemcy zorganizowaliby przeciwko stronie polskiej ofensywę, która dla powstania z pewnością skończyłaby się klęską – uważa dr Marek Rezler.

Nieco ostrożniej sprawę ocenia prof. Olaf Bergmann, który w rozmowie z „Do Rzeczy" podkreśla, że trudno dziś szacować, jakie siły Niemcy byliby w stanie rzucić przeciwko Wielkopolanom. – Nie zapominajmy, że walki powstania toczyły się dalej i Polacy odnosili w tych potyczkach zwycięstwa. Oczywiście Niemcy szykowali większą kontrofensywę, ale jest za mało danych, by oceniać jednoznacznie, czy byłaby ona skuteczna – mówi prof. Bergmann. Historyk dodaje, że rozejm trewirski należy traktować jednak jako wielki sukces, gdyż „umiędzynarodowił kwestię powstania wielkopolskiego".

WALKI TRWAŁY NADAL

Podpisanie rozejmu w Trewirze nie przerwało walk w Wielkopolsce, Niemcy bowiem do kontynuowania starć wykorzystali pretekst, który stanowiło nieustalenie daty wejścia w życie rozejmu trewirskiego.

– Nie były to już walki o rozszerzenie powstania, ale – dla strony polskiej – o utrzymanie zdobyczy, i na liniach demarkacyjnych dochodziło do intensywnych, często krwawych potyczek – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" dr Marek Rezler. – Przykładem może być choćby 17 lutego, gdy dzień po zawarciu rozejmu w Trewirze doszło do walki pod Rynarzewem z niemieckim pociągiem pancernym. Takie starcia toczyły się wtedy na prawie wszystkich frontach powstania – dodaje.

Już po podpisaniu przez Niemcy trewirskiego rozejmu Wielkopolanie starli się z Niemcami m.in. pod Nową Wsią Zbąską, w okolicach Szubina i Klonowca w rejonie Rynarzewa, Międzychodu, Kargowej, Miejskiej Górki, Kępna. Zdarzały się także (m.in. pod wioską Robczysko 12 marca 1919 r.) przypadki ataków wojsk niemieckich na ludność cywilną. Ostatecznie od zawarcia rozejmu w Trewirze do podpisania traktatu pokojowego w Wersalu 28 czerwca 1919 r. w potyczkach wywołanych niemieckimi prowokacjami zginęło ponad 120 kolejnych polskich żołnierzy (w trakcie całego powstania poległo co najmniej 2,2 tys. powstańców wielkopolskich).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł powstał we współpracy z PKN ORLEN.

POLONIA RECORDATUR · POLSKA PAMIĘTA
ORLEN

eprasa.pl d95acbd8fa

FOT. MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES

Jak radzi sobie Łukaszenko

Piotr Kościński

Białoruski prezydent odrzucił rosyjskiego rubla! Nie poddał się naciskom Putina. Mińsk zniósł ograniczenie liczby dyplomatów mogących pracować w ambasadzie USA! Czyli wykonał kolejny gest w stronę Zachodu

eprasa.pl d95acbd8fa

Tym razem poszło o naciski prezydenta Rosji Władimira Putina, który pod koniec ubiegłego roku wyraźnie postawił sobie za cel szybkie podporządkowanie Białorusi. Oficjalnie miało się to nazywać „budowaniem państwa związkowego". Związek Białorusi i Rosji, w Polsce popularnie nazywany „ZBiR", formalnie powstał w 2000 r., ale do faktycznej integracji obu krajów nie doszło.

Putin rozmawiał z Łukaszenką 29 grudnia i 3 stycznia, ale wielogodzinne dyskusje do niczego nie doprowadziły. Zdaniem rosyjskiego politologa Andrieja Piontkowskiego, cytowanego przez portal RBK-Ukraina, w przeszłości działo się podobnie, bo Łukaszenko co rok przyjeżdżał do Moskwy i obiecywał „pogłębione zjednoczenie". – Wypijał szklankę wódki, pięknym gestem ją rozbijał, zabierał 10–12 mld dol. subsydiów na kolejny rok i spokojnie odjeżdżał do domu – wskazuje Piontkowski. Putin pilnie jednak potrzebuje kolejnego sukcesu.

Okazuje się jednak, że choć Białoruś ma 15 razy mniej ludności i wielokrotnie słabszą armię, musi korzystać z rosyjskiej ropy i gazu, to jednak Aleksander Łukaszenko z wielkim trudem, ale potrafi sobie poradzić z Putinem.

RZĄDZI JEDEN CZŁOWIEK

Prezydent Białorusi miał udar mózgu! Takie wiadomości pojawiły się w połowie ubiegłego roku, wywołały niewielką burzę na Białorusi, a potem Aleksander Łukaszenko się pojawił i zdementował pogłoski o swojej chorobie. Jak jednak mówili w Mińsku i Moskwie, jeśli stan zdrowia Łukaszenki się pogorszył, to właśnie przez Putina.

Informacje o rzekomym udarze pojawiły się najpierw na Ukrainie, po tym, jak Łukaszenko przez kilka dni nie był widziany publicznie i odwołał swój wyjazd do Homla. Szybko trafiły do niezależnych białoruskich portali internetowych, a także do mediów w Rosji. Rzecznik Łukaszenki natychmiast uznał, że rewelacje Ukraińców to absurd, a wkrótce pokazano w telewizji spotkanie białoruskiego prezydenta z szefem obwodu mińskiego.

Jednak przez trzy dni Białoruś żyła rzekomą chorobą swego przywódcy. Pojawiały się dowcipy i memy. Wykorzystywano zwłaszcza komedię „Śmierć Stalina", film zakazany w Rosji, ale pokazywany bez przeszkód na Białorusi. W tle pojawiło się jednak kluczowe pytanie: Co się stanie, jeśli Aleksandra Łukaszenki zabraknie?

Przed wyborami prezydenckimi 2010 r. czwórka polskich dziennikarzy, w tym autor niniejszego artykułu, miała możliwość przeprowadzenia wywiadu z Łukaszenką. Rozmowa trwała rekordowe cztery i pół godziny, bo Łukaszenko, jeśli go to zainteresuje, nie ma zwyczaju przerywania wywiadów. Jedno z pytań zadanych prezydentowi brzmiało: „Na panu opiera się państwo, pan decyduje o wszystkich najważniejszych sprawach. Co się stanie, jeśli na przykład pan zachoruje?".

Aleksander Grigorijewicz odpowiedział, że aktualny system jest fatalny i on o tym wie. Białorusi potrzebne są demokracja i stabilny system partyjny. Wymienił nawet konieczne do tego partie polityczne: socjaldemokratyczną, chadecką… – Ale nasza opozycja jest słabiutka. Potrzebne są zupełnie nowe partie – powiedział. – Ja ich zakładać nie będę. Kiedyś jednak powstaną same… – dodał.

I zapewne miał rację. Problem polega jednak na tym, kiedy nastąpi to „kiedyś". Przy okazji zniknięcia i rzekomej choroby białoruskiego prezydenta, pojawiły się spekulacje, co może nastąpić w razie jego zgonu. „Moskowskij Komsomolec" cytował prodziekana Wydziału Gospodarki Światowej i Polityki moskiewskiego Narodowego Uniwersytetu Badawczego – Wyższej Szkoły Ekonomii Andrieja Suzdalcewa. Przewiduje on różne opcje. Pierwsza to wojna rządzących obecnie na Białorusi frakcji – jego zdaniem istnieją aż trzy zwalczające się grupy. Drugi scenariusz to próba przejęcia władzy przez struktury siłowe. Zgodnie z konstytucją, podobnie jak w Rosji, następcą prezydenta jest tu premier. Tyle że na Białorusi szef rządu nie jest znaczącą postacią. Trudno zresztą wyobrazić sobie Siarheia Rumasa, obecnego premiera, w roli szefa państwa – to specjalista od finansów, były szef kilku banków, raczej ekonomista niż polityk. Podobno Łukaszenko rozważa możliwość stworzenia urzędu wiceprezydenta i obsadzenia na nim swego syna, Wiktora, ale być może są to tylko plotki. Dotąd panowało przekonanie, że prezydent szykuje jako swego następcę najmłodszego syna, Kolę, ale jest to jeszcze młody chłopiec i na przekazanie mu władzy prezydent musiałby poczekać jeszcze co najmniej kilkanaście albo nawet dwadzieścia kilka lat.

Warto jednak zadać pytanie, skąd wzięły się pogłoski o chorobie białoruskiego prezydenta? – Przypuszczam, że ich źródło znajduje się w Rosji – twierdzi białoruski politolog Walery Karbalewicz. – Jest to rodzaj psychologicznego ataku na Łukaszenkę przed zapowiadanym jego spotkaniem z Władimirem Putinem – dodaje.

KŁOPOTY Z AMBASADOREM

To, że Łukaszenko może naprawdę mieć problemy ze zdrowiem w związku z postępowaniem Moskwy, pokazuje sprawa ambasadora w Mińsku, Michaiła Babicza. Babicz był przedstawicielem prezydenta Putina w Nadwołżańskim Okręgu Federalnym. W 2016 r. miał zostać ambasadorem w Kijowie, ale Ukraińcy nie wyrazili na to zgody.

I trudno się temu dziwić; na Ukrainie uznano, że ma być „ambasadorem wojny" i wspierać separatystów w Donbasie. To wojskowy, ukończył uczelnię wojsk łączności w Riazaniu i Akademię Sztabu Generalnego. Służył w wojskach powietrznodesantowych i siłach KGB ZSRS, potem pracował w strukturach komercyjnych i wreszcie w administracji państwowej, w tym w latach 2002–2003 był nawet premierem Czeczenii, tuż po wygranej przez Rosjan wojnie. Skąd tak błyskawiczny awans? Podobno ojciec Michaiła, płk Wiktor Babicz, był oficerem KGB w Dreźnie i szefem ówczesnego kpt. Władimira Putina, który właśnie tam odbywał służbę. I teraz rosyjski prezydent spłaca dług wobec byłego naczelnika.

Jak podkreślają media ukraińskie, Rosjanie w przypadku Białorusi zastosowali analogiczne metody do tych z Ukrainy. Zazwyczaj kandydatura ambasadora uzgadniana jest na drodze dyplomatycznej, a dopiero gdy otrzyma agrément (zgodę) strony przyjmującej, można o tym oficjalnie poinformować. Tutaj w obu przypadkach pojawiły się przecieki do rosyjskich mediów, informacje o posiedzeniu komisji spraw zagranicznych Dumy i jej zgodzie na nominację – a więc rzeczy rzadko spotykane w dyplomacji. Ukraińcy po prostu się oburzyli i agrément nie dali. Mińsk, odgrywający rolę najlepszego sojusznika Rosji, nie chciał zaogniać sytuacji. Długi czas białoruskie MSZ twierdziło, że nic o sprawie nie wie, bo nie było jeszcze żadnej oficjalnej propozycji. Pojawiły się jednak wiadomości, że Białorusini odrzucili dwóch kandydatów na ambasadora, a Babicz był jakoby trzecim. Poprzednim kandydatem był podobno gubernator Kraju Krasnodarskiego, eksminister rolnictwa Aleksander Tkaczow.

Dlatego funkcję ambasadora Rosji w Mińsku wciąż sprawował 77-letni Aleksander Surikow. Kierował jednak

eprasa.pl d95acbd8fa

placówką już 12 lat i była to naprawdę sytuacja nietypowa w światowej dyplomacji (reguła to cztery–sześć lat). Rosjanie mają już trudne doświadczenia z mianowaniem swego przedstawiciela w bratnim Mińsku. W 2005 r. został nim były gubernator obwodu saratowskiego Dmitrij Ajackow. Cztery dni po oficjalnej nominacji, na konferencji prasowej w Saratowie Ajackow skrytykował Łukaszenkę – powiedział, że go „złamie". Białoruski prezydent oświadczył potem, że „zajmie się ekstrawaganckimi wypowiedziami przyszłego, a może wcale nie przyszłego ambasadora". I Rosjanie pół roku szukali nowego kandydata…

Ostatecznie jednak Mińsk się ugiął i w sierpniu ubiegłego roku Babicz został ambasadorem. Jak pisała niedawno rosyjska agencja Rex, „ambasador Michaił Babicz aktywnie wziął się za Białoruś. Pracuje bez świąt i niedziel. Babicz faktycznie został przeniesiony z MSZ i pracuje bezpośrednio z Administracją [prezydenta Putina – przyp. red.]". Powód: „Rosja niemal utraciła sojusznika. Kraje zachodu skutecznie realizują scenariusz destabilizacji sytuacji w republice przed nadchodzącymi wyborami"…

Tyle że żadnej destabilizacji nie ma. Chyba że można tak nazwać opór Łukaszenki przed ściślejszą integracją z Rosją. Białoruska opozycja jest słaba, a w kraju panuje spokój.

ZEZEM NA ZACHÓD

Aleksander Łukaszenko, gdy ma kłopoty z Rosją, szuka wsparcia gdzie indziej. Jak informowała w ubiegłym roku oficjalna agencja prasowa Biełta, oświadczył, że stara się wejść na rynek chiński. Dywersyfikacja sprzedaży białoruskiej żywności ma służyć jednemu: „by nie polegać wyłącznie na jednym rosyjskim". Równocześnie oskarżył rosyjskich biznesmenów o to, że przewożą objęte zakazem europejskie towary do Rosji, a potem fałszują dokumenty i twierdzą, że rosyjskie zakazy złamała Białoruś. Przypomnijmy, że w odpowiedzi na europejskie sankcje Moskwa zabroniła importu wielu produktów żywnościowych z Europy.

Decyzja władz białoruskich (czyli z pewnością samego Łukaszenki) o wprowadzeniu prawa do 30-dniowego bezwizowego pobytu dla obywateli wielu krajów (w tym Polski), przylatujących do Mińska, oznacza ostateczne przywrócenie granicy z Rosją. Rosjanie już wcześniej musieli przywrócić kontrole na granicy, do której z Mińska jest niedaleko, po wprowadzeniu przepisu o pięciodniowym pobycie bezwizowym dla cudzoziemców. W obwodzie smoleńskim zbierani byli ochotnicy, którzy tworzyli „ludowe" i „kozackie" drużyny, żeby patrolować granicę między dwoma sojusznikami, członkami jednego Państwa Związkowego.

Michaił Babicz miał być ambasadorem w Kijowie, ale Ukraińcy nie wyrazili na to zgody (Putin i Babicz, Kreml, marzec 2017 r.) FOT. ALEXEI NIKOLSKY/TASS/GETTY IMAGES

Z Zachodem stosunki pozostają chłodne. Łukaszenko okazał się bardzo potrzebny wobec powstania „formatu normandzkiego" i rozmów w Mińsku w sprawie konfliktu na Ukrainie, ale teraz takich spotkań jest niewiele. Bardzo powoli toczą się negocjacje z UE w sprawie ułatwień wizowych dla Białorusinów. W Waszyngtonie gościł jednak wiceszef białoruskiej dyplomacji Aleg Krauczanka. To dość wysoki szczebel jak na „zamrożone" stosunki między oboma krajami. Być może do jakiegoś ocieplenia dojdzie w związku z niedawnymi decyzjami Białorusinów w sprawie personelu ambasady USA.

A chodzi przede wszystkim o pieniądze. Mińsk usiłuje pozyskać kredyt z Międzynarodowego Funduszu Walutowego, obiecując przy tym „reformy strukturalne" swojej gospodarki. Szanse na wsparcie finansowe Białorusi są jednak skromne, bo MFW niespecjalnie w owe reformy wierzy.

Mało kto zauważył inne ważne wydarzenie. W Grodnie w 2018 r. odbyły się obchody 30-lecia nieuznawanego przez Mińsk Związku Polaków na Białorusi, z Andżeliką Borys na czele. Przybyli na nie marszałek Senatu Stanisław Karczewski i m.in. szef kancelarii premiera Michał Dworczyk. W Mińsku marszałek Karczewski spotkał się z szefem izby wyższej białoruskiego parlamentu, a w Grodnie (zresztą w towarzystwie pani Borys) z gubernatorem obwodu (województwa). Same obchody odbyły się bardzo uroczyście i nikt ich nie zakłócił. Niestety, stosunki z Polską mają charakter szczególnej sinusoidy; na przełomie lat 2018 i 2019 pojawiły się niepokojące informacje o usuwaniu z Białorusi kolejnych polskich księży. „Ulgowe" potraktowanie rocznicy ZPB można więc zapewne potraktować jako działanie wizerunkowe, symboliczne, a usuwanie księży – za kontynuację dawno już nakreślonej polityki.

CZEGO CHCE BAT'KA

Nazywany „Bat'ką" („Ojczulek") Aleksander Łukaszenko pilnie potrzebuje pieniędzy dla swej niewydolnej i pozbawionej surowców gospodarki. Putin mu je chętnie da, ale cenę proponuje bardzo wysoką – faktyczną utratę niepodległości przez Białoruś. Rządzący od 1994 r. Łukaszenko ma jednak ogromne doświadczenie w radzeniu sobie i z Rosją, i z Zachodem. Skutecznie lawiruje – nie działa na niego ani „kij", ani „marchewka". A rosyjskie prywatne radio – Echo Moskwy – przeprowadziło niedawno badanie opinii publicznej, zadając pytanie, kto w razie powstania wspólnego państwa powinien nim kierować. Zarówno w Internecie, jak i w badaniu telefonicznym zdecydowanie wygrał prezydent Białorusi. Efekty nacisków Putina i niezwykłej aktywności ambasadora Babicza mogą się więc zakończyć w sposób, którego nie chce ani jeden, ani drugi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą AFiB Vistula oraz współpracownikiem tygodnika „Idziemy".

eprasa.pl d95acbd8fa

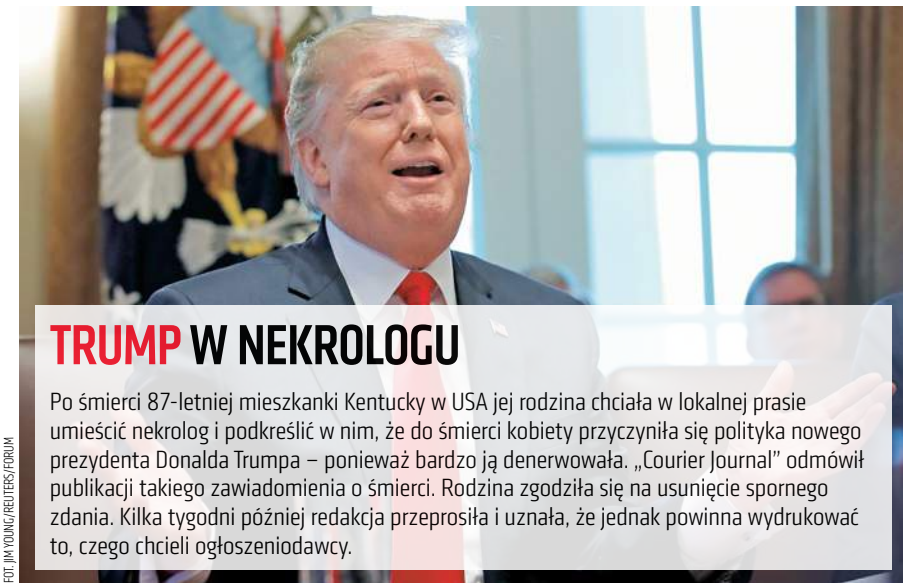

FOT. JIM YOUNG/REUTERS/FORUM

TRUMP W NEKROLOGU

Po śmierci 87-letniej mieszkanki Kentucky w USA jej rodzina chciała w lokalnej prasie umieścić nekrolog i podkreślić w nim, że do śmierci kobiety przyczyniła się polityka nowego prezydenta Donalda Trumpa – ponieważ bardzo ją denerwowała. „Courier Journal" odmówił publikacji takiego zawiadomienia o śmierci. Rodzina zgodziła się na usunięcie spornego zdania. Kilka tygodni później redakcja przeprosiła i uznała, że jednak powinna wydrukować to, czego chcieli ogłoszeniodawcy.

HETEROSEKSUALNA ROZGRYWKA

Wytwórnia gier Ubisoft ściągnęła na siebie gniew postępowych graczy. W dodatku do gry „Assassin's Creed Odyssey" gracze nie mogli wybrać innego scenariusza niż romans kończący się spłodzeniem dziecka. Część się oburzyła, że nie można było wybrać innego związku niż heteroseksualny, a część – że osiągnięcie gracza po spłodzeniu potomka nazwano „Dorastanie", co może sugerować, iż orientacja LGBT jest właściwa ludziom niedojrzałym.

ZAPASY BEZ STYLU

W niemieckiej lidze zapaśniczej w Hesji skandal. Zdyskwalifikowano trzech zawodników jeszcze przed turniejem – dwóch Czeczenów i Bułgara. Wszyscy oni odmówili bowiem podania ręki sędziemu kobiecie. Zasłaniali się zakazem religijnym, zgodnie z którym nie mogą dotknąć kobiety, która nie jest ich małżonką.

KSIĄŻĘ SZOS, ALE PRAWDZIWY

Brytyjski książę Filip „uczestniczył" (jak delikatnie podały tamtejsze media) w wypadku drogowym. Wyjeżdżając na drogę w okolicach królewskiej rezydencji, zderzył się z innym samochodem i jego auto się przewróciło. 97-letni mąż królowej Elżbiety niespecjalnie się tym przejął. Dwa dni po wypadku tabloidy ujawniły, że w tym samym miejscu jeździł samochodem bez zapiętych pasów bezpieczeństwa. Rzecznik policji stwierdził, że księcia „pouczono".

CENZURA ODCIĘŁA CIEPŁĄ WODĘ

Rosyjskie władze chcą dobrać się do wiadomości wysyłanych przez internetowy komunikator Telegram. Jego właściciele odmówili jednak udostępnienia kluczy szyfrujących. Władze zaczęły więc blokować adresy IP w sieci. Doszło do tego, że od sieci odcinane są też inteligentne urządzenia w domach ludzi, m.in. zdalnie sterowany bojler grzejący wodę czy lampka pozwalająca na sterowanie światłem za pomocą smartfona. A komunikator nadal działa. ©℗

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

Frankowe oszustwo wyborcze

ŁUKASZ WARZECHA

Do Sejmu, na razie na poziomie komisji, wrócił temat pomocy dla kredytobiorców frankowych. Chociaż nie, wróć – to źle powiedziane: nie pomocy, ale pozoru pomocy. Czegoś, co bardzo przypomina oszukańczy zabieg w kwestii kwoty wolnej od podatku. Jej podwyższenie wszystkim do 8 tys. zł w ciągu pierwszych stu dni obiecywała Beata Szydło nie tylko przed wyborami, lecz także w swoim exposé. Tymczasem nie było to ani sto dni, ani tym bardziej nie dotyczyło to wszystkich. Podwyższono tylko absolutnie najbiedniejszym, a części obniżono albo zabrano całkowicie. Ale politycy PiS do dziś twierdzą, że przecież kwotę wolną „podwyższyli". I nawet się przy tym nie pocą, choć powinni, mówiąc zwyczajną nieprawdę.

Tutaj będzie prawdopodobnie tak samo. Prezydencki projekt, który jako jedyny ze złożonych w Sejmie ma szansę na uchwalenie, dotyczy tylko pomocy tym, którzy mają bieżące problemy ze spłatą kredytu. W gruncie rzeczy to projekt socjalny, który nawet nie zbliża się do istoty problemu. Tę istotę jakoś jednak politycy PiS, w tym Andrzej Duda, umieli dostrzec przed wyborami. Jest nią przykucie kredytobiorców do kredytu, a nie problemy ze spłacaniem comiesięcznych rat, bo te są marginesem.

Łatwo przewidzieć, co będzie dalej. Ustawa pewnie przejdzie, ale może w jeszcze bardziej ograniczonej wersji, a prezydent i PiS będą twierdzić, że przecież dotrzymali w końcu słowa i „pomogli frankowiczom".

Faktem jest, że żadna siła polityczna dotychczas nie spełniła tak wielu spośród swoich obietnic wyborczych jak PiS – i to trzeba uczciwie przyznać. Faktem jest też jednak, że PiS ma na swoim koncie kilka ewidentnych oszustw wyborczych, dość bezczelnych, i to jest jedno z nich. ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

Jacek Przybylski

– Zrywamy stosunki dyplomatyczne z USA – ogłosił socjalista Nicolás Maduro, gdy Donald Trump uznał lidera opozycji Juana Guaidó za tymczasowego prezydenta Wenezueli. Kraj stanął u progu wojny domowej. Na dwa obozy podzielił się też świat

Socjalista Nicolás Maduro 10 stycznia został zaprzysiężony na drugą kadencję FOT. REUTERS/FORUM

Dwuwładza

Nicolás Maduro to głupsza odmiana Hugo Cháveza, przywódcy lewicowego ruchu rewolucyjnego, zwanego „rewolucją boliwariańską". Socjalistyczny prezydent najwyższe stanowisko w państwie objął po śmierci Cháveza w 2013 r., wygrywając wybory przewagą 1,6 punktu procentowego. Maduro i jego gabinet od lat pokazują światu, do jakiej ruiny socjaliści potrafią doprowadzić kraj. „Gdyby wprowadzić socjalizm na pustyni, to zabraknie tam piasku" – mówiło powiedzenie z czasów PRL. W Wenezueli zaś – bogatej w ropę naftową, złoto, diamenty, a także w ogromne zasoby gazu ziemnego, rud żelaza, niklu, węgla i dawniej jednym z najbardziej wpływowych krajów Ameryki Południowej – dziś ludzie umierają z głodu, a przeciwnicy władz giną z rąk morderców pracujących dla reżimu.

W trwających od 2014 r. protestach zginęło ok. 300 osób, a kilka tysięcy zostało rannych. Co najmniej 3 mln osób przed biedą, koszmarną przestępczością, niedoborami leków i żywności musiało zaś uciekać z kraju. Takiego kryzysu jak obecnie nie było jednak od lat. Jak to się stało, że naftowa potęga znalazła się już nie tylko na skraju załamania gospodarczego, lecz także w zasadzie na granicy upadku państwa? Winna jest polityka Cháveza, która sprawiła, że kraj nie wykorzystał potencjału, gdy ceny ropy były wysokie, a także doprowadziła do załamania przemysłu wydobywczego Wenezueli.

Nicolás Maduro sprawuje zaś rządy w czasach, gdy cena baryłki czarnego złota spadła. Surowcowa klątwa w połączeniu z socjalistycznymi pomysłami na uzdrowienie gospodarki – np. podwyżkami podatków i rządowym nakazem ogromnego podwyższenia płacy minimalnej – doprowadziły do głębokiej recesji i hiperinflacji, która w 2018 r. wyniosła aż 1,7 mln proc. Wenezuela została tym samym jednym z trzech państw świata z inflacją najwyższą w historii, a krajowe banknoty stały się warte mniej niż papier toaletowy. W sklepach brakuje jedzenia, w aptekach podstawowych leków, a w całym kraju co rusz dochodzi do przerw w dostawach prądu. Liczba osób żyjących w skrajnym ubóstwie wzrosła o 40 proc. Przybywa umierających z głodu, coraz częściej matki próbują więc oddać swoje dzieci w ręce tych, którzy są w stanie je nakarmić.

KTO JEST UZURPATOREM?

10 stycznia Maduro został zaprzysiężony na drugą sześcioletnią kadencję. Zaprzysiężenie unieważnił jednak wenezuelski parlament, po czym przegłosował ustawę, w której zapisano, że Maduro jest „dyktatorem uzurpującym sobie władzę". Według oficjalnych danych w wyborach prezydenckich, które odbyły się w maju 2018 r., Maduro zdobył co prawda 68 proc. głosów, ale opozycja uznała je za sfałszowane, ponieważ najważniejsi rywale socjalisty zostali pozbawieni biernego prawa wyborczego, zmuszeni do ucieczki z kraju lub skazani na więzienie. Jedyny rywal prezydenta Henri Falcón uzyskał 21,2 proc. głosów, ale i on skarżył się na to, że zwolennicy Maduro prowadzili zakazaną agitację nie tylko przed lokalami wyborczymi, lecz także wewnątrz nich, a część głosów została po prostu kupiona. Poza tym wyjątkowo niska była frekwencja, która nawet według oficjalnych danych wyniosła niecałe 50 proc.

Unieważnienie zaprzysiężenia Maduro – prezydenta, który dzięki posłusznym reżimowi członkom Najwyższego Trybunału Sprawiedliwości praktycznie zupełnie pozbawił kompetencji demokratycznie wybrany parlament, gdzie zdecydowaną większość mają przedstawiciele opozycji – parlamentarzyści tłumaczą prosto. Skoro wybory były sfałszowane, to Maduro jest uzurpatorem, a stanowisko prezydenta jest nieobsadzone. Zgodnie z konstytucją w takiej sytuacji fotel prezydenta zajmuje przewodniczący parlamentu. W zeszłym tygodniu 35-letni przewodniczący parlamentu i jeden z liderów opozycji, Juan Guaidó, ogłosił się więc tymczasowym prezydentem kraju. Polityk podniósł prawą rękę i powiedział, że „formalnie przejmuje odpowiedzialność krajowego organu wykonawczego", co wprawiło w euforię kilkadziesiąt tysięcy osób wiwatujących na jego cześć w Caracas. Urzędującego prezydenta Nicolása Maduro nazwał „uzurpatorem" i zapowiedział, że wszystkie jego decyzje będą uznane za nieważne. Zaapelował także do wojska oraz urzędników państwowych o wypowiedzenie mu posłuszeństwa, obiecując amnestię tym, którzy w porę odwrócą się od socjalistycznego przywódcy. W środę setki tysięcy demonstrantów wyszły na ulice wielu wenezuelskich miast,

eprasa.pl d95acbd8fa

Lider opozycji Juan Guaidó ogłosił się tymczasowym prezydentem i zapowiada rozpisanie nowych wyborów FOT. CARLOS GARCIA RAWLINS/REUTERS/FORUM

w piekle

żądając ustąpienia socjalistycznego prezydenta oraz jego rządu.

Do protestujących dołączyli również mieszkańcy dzielnic biedy – dotąd wierni socjalistycznej władzy, dzięki której mogli liczyć na zasiłki i dotowaną żywność. A także część prokuratorów i sędziów. Policjanci, członkowie Gwardii Narodowej oraz specjalnych oddziałów wojska nazywanych „szwadronami śmierci Maduro" brutalnie spacyfikowali protesty. Za kratki trafiło również 27 wojskowych podejrzanych o próbę zorganizowania zamachu stanu, którzy – zdaniem ministra ds. komunikacji – ukradli broń i przekazali ją członkom opozycji. Zwolennicy prezydenta zapowiedzieli zaś, że będą go bronić przed „imperialistycznym zagrożeniem". Mimo to protestujący wrócili na ulice.

AUTOKRACI BRONIĄ DEMOKRACJI

Chociaż Juan Guaidó jeszcze kilka tygodni temu – zanim wybrano go na przewodniczącego parlamentu – był stosunkowo mało znany, to jego deklarację objęcia urzędu prezydenta szybko poparły m.in. USA, Wielka Brytania, Brazylia, Chile, Kostaryka oraz Organizacja Państw Amerykańskich, w której skład wchodzą wszystkie państwa Ameryki poza terytoriami należącymi do państw europejskich. – Apelujemy do Maduro, aby się usunął na rzecz prawowitego przywódcy, który odzwierciedla wolę Wenezuelczyków – oświadczył szef amerykańskiej dyplomacji. – Wspieramy was i będziemy wspierać dopóty, dopóki demokracja nie będzie przestrzegana – zwrócił się Mike Pompeo do Wenezuelczyków.

– Wszystkie opcje są na stole – oznajmił z kolei prezydent Donald Trump, gdy reporterzy zapytali go o możliwość zbrojnej interwencji USA w Wenezueli. W odpowiedzi Nicolás Maduro zerwał stosunki dyplomatyczne z Ameryką. I nakazał amerykańskim dyplomatom opuszczenie kraju w ciągu 72 godzin. Socjalistyczne władze w Caracas oskarżyły zaś amerykańskiego wiceprezydenta Mike'a Pence'a o nakłanianie „terrorystów" do przemocy podczas antyrządowych demonstracji.

Po stronie urzędującego prezydenta – socjalisty Nicolása Maduro – opowiedzieli się zaś nie tylko tradycyjni sojusznicy reżimu, na czele z Kubą Raula Castro i Boliwią Evo Moralesa. Murem „w obronie demokracji" stanęły też Rosja, Chiny i Turcja. – Jesteśmy z tobą, nasz bracie Maduro – zapewnił prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan w rozmowie telefonicznej z socjalistą. – Każdy musi respektować wynik demokratycznych wyborów – podkreślał Erdoğan, który w 2016 r. zwycięską ręką wyszedł z nieudanej próby zamachu stanu i którego rządy więcej mają wspólnego z dyktaturą niż z demokracją.

– Traktujemy próbę uzurpacji władzy w Wenezueli jako… naruszenie fundamentów prawa międzynarodowego – ogłosił rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow. Rosjanie ostrzegli też Amerykanów, aby nie ważyli się dokonywać zbrojnej interwencji w Wenezueli, i podkreślili, że samo poparcie dla Guaidó to „droga do bezprawia i rozlewu krwi". Moskwa oskarżyła też Waszyngton o organizację zamachu stanu. – To niemożliwe, aby ta akcja była spontaniczna – oznajmił Aleksiej Puszkow, były przewodniczący komisji spraw zagranicznych w Dumie. – Chiny zawsze wyznają zasadę nieingerowania w wewnętrzne sprawy innych państw, przeciwstawiając się zewnętrznej interwencji w krajowe sprawy Wenezueli – oświadczyła rzeczniczka chińskiego MSZ Hua Chunying.

Skąd tak stanowcze poparcie antyzachodniej międzynarodówki? Caracas z Ankarą, Moskwą i Pekinem łączą autorytarny sposób sprawowania rządów oraz wielka niechęć do demokratycznego Zachodu. Poza tym Ankara w zeszłym roku położyła rękę na wenezuelskim złocie, które wcześniej władze w Caracas sprzedawały Szwajcarii. Turcja inwestuje też miliardy w górnictwo, wydobycie ropy, przemysł wojenny i transport morski. Maduro podpisał także intratne kontrakty na wydobycie ropy zarówno z Rosją, jak i z Chinami.

PRZYSZŁOŚĆ W RĘKACH ARMII

Opozycja pierwszy raz od wielu lat zyskała realną szansę na obalenie Maduro. Guaidó zdobył poparcie wszystkich antyrządowych frakcji, bo zadeklarował, że nie interesuje go objęcie na stałe fotela prezydenta, lecz jedynie odsunięcie od władzy uzurpatora i ogłoszenie nowych, uczciwych wyborów. Jeśli po ewentualnym obaleniu autokraty dotrzyma słowa, to największe szanse na zajęcie miejsca Maduro ma aktywista Leopoldo López – najbardziej znany lider demokratycznej opozycji. Nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla 47-letni polityk w 2015 r. usłyszał wyrok 13 lat i 9 miesięcy więzienia za „nawoływanie do przemocy", a od 2017 r. przebywa w areszcie domowym.

Kluczowe dla przyszłości kraju będzie to, po czyjej stronie opowiedzą się służby bezpieczeństwa – którym Guaidó obiecał amnestię po odsunięciu prezydenta od władzy – oraz to, czy najwyżsi członkowie reżimu dadzą się przekonać do oddania władzy w zamian za zachowanie części przywilejów. Jeśli armia wybierze Maduro, to opozycję czekają brutalne represje. Z kolei podział na różne frakcje wśród armii i służb doprowadzi do rozlewu krwi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Małgorzata Wołczyk

W Hiszpanii rodzi się mniej dzieci, bo nie ma rodzin. Mężczyźni zaczęli się bać związków, w których zawsze przed sądem są na przegranej pozycji

Przemoc uwarunkowana płcią (z hiszp. la violencia de género) to hiszpańska święta krowa, której symboliczne i realne gabaryty znacznie przewyższają słynnego byka – toro bravo. Dogmat o wpisanej immanentnie w męskie DNA agresji jest konceptem wywiedzionym z ideologii gender i wpisanym w porządek prawny od 2004 r., gdy premierem był José Luis Zapatero.

FEMINIZM W PRAWIE

Ostatnie próby upomnienia się o zdrowy rozsądek i zwyczajną równość przed prawem zarówno kobiety, jak i mężczyzny rozpętały w Hiszpanii dawno nieoglądaną burzę medialną. Feminizm radykalny, ten z gatunku zajadłych i agresywnych, narzucił nie tylko oficjalnie swoją narrację o uciskanej przez heteropatriarchat poszkodowanej „mniejszości kobiet", lecz także zapanował w legislacji i sądach. Opłakane skutki tej wojny płci widać już na każdym kroku. „Hiszpania umiera" – to tytuł wielu nagłówków prasowych, które opisują najnowsze zatrważające dane demograficzne ze wskaźnikiem urodzin najgorszym od 1941 r., w którym kraj podnosił się jeszcze ze zniszczeń wojny domowej.

Obecnie wskaźnik urodzin rzędu 8,79 na 1000 mieszkańców to wynik nie tylko ogromnego kryzysu ekonomicznego lat poprzednich, lecz przede wszystkim kierunku zmian społecznych, obyczajowych. Dzietność na poziomie 1,36 na kobietę (przy czym pierwsze dziecko przypada średnio na 32. rok życia kobiety), a także wiedza o tym, że rodzą głównie imigrantki, to kolejne alarmujące dane. Jednak nie dla socjalistycznego rządu Sánchezа zajętego głównie prześladowaniem doczesnych szczątków gen. Franco. Najkrócej mówiąc – nie ma dzieci, ponieważ nie ma rodzin. Kobiety wybierają karierę, mężczyźni zaś boją się wchodzić w związki małżeńskie nie tylko z powodu zamiłowania do swobody i niechęci do brania na siebie ciężaru utrzymania rodziny, lecz także ze strachu przed… hiszpańską małżonką.

Młoda partia prawicowa VOX, która zaczyna torować sobie drogę do ścisłej czołówki ugrupowań, brawurowym wynikiem w ostatnich wyborach w Andaluzji upomniała się o prawa mężczyzn, wykazując dobitnie i na wielu polach, że hiszpańskie prawo najzwyczajniej pod (demokratycznym) słońcem kryminalizuje ze względu na płeć. To samo przestępstwo jest karane inaczej w zależności od „autora": mężczyzna zostanie osądzony znacznie surowiej niż kobieta. W przypadku jednak, gdy w małżeństwie dojdzie do przepychanki lub agresji, kobieta jest w stanie z pomocą panujących zapisów nie tylko wsadzić męża za kratki, pozbawić zupełnie prawa do opieki i widzenia z dziećmi, lecz także ogołocić go z majątku, nawet jeśli nie miała do niego żadnych praw. Wystarczy po prostu złożyć zeznanie, bez konieczności powoływania świadków, wyników obdukcji, aby rozpocząć dochodzenie procesowe, w którym nie istnieje zasada domniemania niewinności dla mężczyzn. To właśnie prawo, z założenia broniące kobiety jako ofiary „maczystowskiej" agresji, stało się przysłowiowym gwoździem do trumny dla mężczyzn. Okazuje się, że mężów „agresorów" dziwnie przybywa w toku sprawy rozwodowej lub romansu z kochankiem, z którym kobiecie zachciało się np. założyć patchworkową rodzinę. Mąż, a priori agresor, musi dowieść wszelkimi sposo-

Polowanie na

eprasa.pl d95acbd8fa

bami, że jest ofiarą fałszywego oskarżenia, co zajmuje mu zwykle miesiące lub lata, w trakcie których traci dobre imię, prawo opieki nad dziećmi i majątek.

Słynna pani adwokat Yobana Carril, która w ostatnich miesiącach wędruje po mediach, uzmysławiając skalę polowania na mężczyzn fałszywie oskarżonych o agresję dla przejęcia władzy rodzicielskiej i majątku, jest jedną z niewielu odważnych osób, które alarmują o problemie, ocierając się wręcz o ryzyko śmierci. Wielokrotnie otrzymywała pogróżki, prosiła policję o interwencję, jako że jej wystąpienia „psują rynek" i przeszkadzają wpływowym lobby czerpiącym zyski i granty z rozpowszechniania swoistego „łysenkoizmu", czyli pseudonauki o gender.

ZAKNEBLOWANI

Polityczna poprawność zakneblowała usta niemal całemu społeczeństwu, a wiele podmiotów gospodarczych, organizacji i fundacji na funkcjonowaniu i propagowaniu osiągnięć myśli genderowej dorobiło się milionów. Genderowe szkolenia, tak obecne w przestrzeni publicznej już od przedszkola, przebudowujące cegiełka po cegiełce i neuron po neuronie „starego człowieka" na miarę otwartego obywatela nowoczesnego świata, nie mogą przecież natrafić na żadną krytykę ze strony anachronicznych konserwatystów, którzy – jak twierdzi lider liberalnej partii Ciudadanos – chcieliby cofnąć się w czasie do XIX w.

Klamka zapadła – całe społeczeństwo musi przyjąć bez zastrzeżeń i oporów, że biały mężczyzna jest winny wszelkim krzywdom tego świata. Znamienne jednak, jak pokazują wydarzenia ostatnich dni, że szajki gwałcicieli pochodzących z Maroka czy Ekwadoru mają twarze chronione medialnie, wszelkimi siłami zataja się ich narodowość, podczas gdy wielce wątpliwa sprawa gwałtu dokonanego przez piątkę pijanych uczestników festiwalu San Fermin (narodowości jak najbardziej hiszpańskiej) stała się sprawą narodową, motywem manifestacji, zaostrzenia narracji o wojnie płci i nowych absurdalnych już projektów prawa.

Co ciekawe, o ile statystyki aktów agresji skierowanej wobec kobiet są prowadzone z buchalteryjną pieczołowitością, o tyle powszechnie wiadomo, że od 2005 r. nie są zbierane żadne dane na temat agresji kobiet wobec mężczyzn, co wbrew pozorom wcale nie dzieje się tak rzadko na półwyspie słynącym z temperamentu swych mieszkańców. I gdy prawicowa partia VOX dopomina się, aby prawo jednakowo chroniło zarówno kobiety, jak i dzieci, starców i mężczyzn przed przemocą domową, a nie maczystowską, spotyka się z furiackim atakiem ze strony liberalnych „elit", mediów i sporej części społeczeństwa, które nauczyło się myśleć zgodnie z obowiązującą hegemonią zwycięskiej lewicowej myśli.

Prasa przypięła wszystkim popierającym partię VOX etykietkę homofobów, maczystów, ksenofobów i winnych potencjalnej przemocy wobec kobiet. Medialny amok, z którym zmaga się przewodniczący tej partii Santiago Abascal, dementując fake newsy i prostując słowa, których nigdy nie wypowiedział, przyprawiłby o zawrót głowy nawet Polaka przyzwyczajonego obserwować gorączkową wojnę polsko-polską.

ABORCYJNA ZMOWA MILCZENIA

O hipokryzji tej lewicowej „wrażliwości" świadczyć może zmowa milczenia na temat liczby przeprowadzonych zabiegów aborcyjnych w Hiszpanii. Tylko w 2017 r. wykonano ich 94 123 (dla porównania – polskie dane za rok 2017 mówią o 1061 zabiegach).

Prawo kobiety do zabicia dziecka pozostaje zdobyczą cywilizacyjną, powszechnie akceptowalną i w pełni zrozumiałą. Tymczasem mężczyzna w Hiszpanii musi trzymać język za zębami, a ręce w kieszeni – zwłaszcza w piątek, gdy mściwa partnerka może pobiec na komisariat i pod pozorem słynnej „violencia machista" wtrącić Bogu ducha winnego partnera za kratki na trzy dni, bo kolegium zbierze się dopiero w poniedziałek.

Wszystko to wydaje się nieprawdopodobne, ale tam, gdzie zwyczajowo nie wiadomo, o co chodzi, jak dobrze wiemy, chodzi o pieniądze. Ogromne. Jak podają prawicowe portale, w samej tylko Andaluzji od 2014 r. dofinansowania, którymi dysponowały stowarzyszenia feministyczne powiązane z socjalistyczną partią PSOE, wynosiły m.in.: 5,3 mln euro dla Federacji Postępowych Kobiet, 4,9 mln euro dla Fundacji Kobiet, 3,5 mln euro na rzecz Federacji Kobiet Rozwiedzionych i w Separacji. Aby zatem interes się kręcił, a pieniądz na granty, szkolenia, opiekę psychologiczną spływał z centrali, wystarczy tylko umacniać ogłoszoną już wcześniej wojnę płci i uznać białego mężczyznę za potencjalnego agresora.

Współczesny Don Kichot nie walczy już z wiatrakami, tylko z machiną niesprawiedliwego prawa i propagandą wyemancypowanych Dulcynei.

mężczyzn

FOT. ADOBE STOCK

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Marek Budzisz

Geopolityczna marchewka

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Najgorszy scenariusz dla 2019 r. to ocieplenie i kłopoty z żywnością. Czy wtedy Rosja wykorzysta zboże jako narzędzie polityczne?

Zdaniem analityków Bloomberga El Niño, czyli zjawisko polegające na utrzymywaniu się podwyższonej temperatury wód oceanicznych w strefie równikowej, spowoduje, że rok 2019 będzie najcieplejszy w ostatnich dziesięcioleciach. Z punktu widzenia światowego rolnictwa skutki, które to ocieplenie wywoła, będą katastrofalne. Największe straty w plonach mogą ponieść trzy istotne centra zaopatrzenia światowej ludności w żywność – Australia, Brazylia i kraje Azji Południowo-Wschodniej, które borykać się będą z suszami. Wielcy eksporterzy mniej wyprodukują i w związku z tym spadnie podaż żywności na światowych rynkach. Z kolei państwa Azji Południowo-Wschodniej, których rolnictwo opiera się na produkcji ryżu, też muszą się liczyć z tym, że w wyniku nieregularnych opadów plony spadną. W efekcie skokowo wzrosnąć może światowy popyt na żywność, czemu nie będą w stanie zaradzić najwięksi eksporterzy. Skutkiem będzie wzrost cen, a może i głód w tych państwach, które z powodów ekonomicznych nie będą mogły sobie pozwolić na zwiększony import. Wszystko to zacznie bardzo przypominać sytuację, która przyczyniła się do wybuchu arabskiej wiosny, tylko że teraz skala zjawiska może być większa.

Polityczne skutki tego, co się będzie działo na rynku żywności, mogą się okazać kluczowe dla układu sił w świecie, zwłaszcza że – jak prognozują analitycy Bloomberga – dwa kluczowe centra produkcji w sektorze rolnym ucierpią w mniejszym stopniu niźli inni: Stany Zjednoczone wraz z Kanadą oraz region Morza Czarnego, czyli Rosja i Ukraina. I to od ich polityki zależeć będzie, jak i czy rozwiązany zostanie światowy kryzys. W związku ze zbliżającymi się wyborami do Dumy, stojąc w obliczu spadającego poparcia społecznego Jednej Rosji i obawiając się, że ludzie mogą nie wytrzymać kolejnego roku zaciskania pasa, Putin zdecyduje się na powtórzenie manewru z roku 2010, kiedy to wprowadził czasowy zakaz eksportu rosyjskiego zboża. Zarazem nie chcąc, aby wysokie ceny na światowym rynku wzmocniły nowego prezydenta Ukrainy w przededniu wyborów do Rady Najwyższej, zdecyduje się destabilizować sytuację w Donbasie i skłoni Turcję do utrudnienia tranzytu statków z ukraińskim zbożem. W tym kontekście działania podjęte przez Rosjan na Morzu Azowskim stają się całkowicie zrozumiałe i spójne z tą wizją, zwłaszcza jeśli zwrócimy uwagę na to, że z portów tego rejonu Rosja eksportuje znaczną część swego zboża.

ZACZNIE SIĘ OD FILIPIN

Pierwsza fala niepokojów społecznych związanych z wysokimi cenami żywności i ze spadkiem dochodów z kurczącego się sektora eksportu ryżu będzie widoczna na Filipinach. Potem rozleje się ona na Malezję i Birmę. Jednak do prawdziwego kataklizm może mieć miejsce w krajach Afryki Wschodniej. Głód ożywi na nowo fale emigrantów szukających teraz już nie lepszego miejsca do życia, ale wręcz możliwości przeżycia, w Europie. Najgorsze jednak sceny będziemy być może obserwować w Egipcie, który jest największym światowym importerem zbóż, którego rząd w obliczu wysokich cen nie będzie w stanie utrzymać subwencji do chleba i zezwoli na drastyczny wzrost cen. Odpowiedzią mogą być rozruchy i destabilizacja sytuacji wewnętrznej w tym kluczowym dla układu sił na Bliskim Wschodzie państwie – czyli czeka

eprasa.pl d95acbd8fa

nas powtórka wydarzeń z 2011 r., jednak na większą skalę. Jeżeli Stany Zjednoczone nie opróżnią magazynów ani nie rzucą na światowy rynek posiadanych zapasów, co przy obecnym lokatorze Białego Domu nie jest wcale pewne, to otworzyć się może pole gry dla nowych graczy, w tym dla Rosji.

Niezależnie od tego, czy tego rodzaju prognozy traktujemy poważnie, czy też uznamy je za kolejne „strachy na Lachy", gołym okiem widać, że żywność może być już niedługo traktowana jako jedno z narzędzi politycznej dominacji i wpływu o geostrategicznym wręcz znaczeniu.

ROSYJSKA CENA

Można przypuszczać, że tak traktują ją rosyjskie władze, które przy każdej okazji podkreślają, iż jednym z największych osiągnięć polityki Moskwy ostatnich lat było zagwarantowanie krajowi bezpieczeństwa żywnościowego. Taki cel miały rosyjskie „kontrsankcje" nałożone na importowaną z Zachodu żywność, które miały doprowadzić do wzrostu rodzimej produkcji. Patrząc na sytuację po czterech latach ich obowiązywania, Kreml nie kryje zadowolenia, bo udział produkcji rosyjskiej w krajowej konsumpcji wzrósł z 60 do 80 proc., a jeśli chodzi o zboże, to jest jeszcze lepiej, bo Rosja stała się głównym jego światowym eksporterem.

Cena, jaką przyszło za wszystko zapłacić, nie jest wysoka, bo embargo żywnościowe, jak argumentują analitycy agencji AKRA, spowodowało spadek rosyjskiego PKB (w ciągu czterech lat) jedynie o 0,2 proc. Obraz jest już znacznie mniej różowy, kiedy zwrócimy uwagę na wpływ rosyjskich kontrsankcji na inflację. Na początku 2018 r. rosyjski bank centralny prognozował, że wyniesie ona w skali całego roku 2,8 proc., teraz mówi się, że raczej trzeba liczyć się ze wzrostem na poziomie 4,2 proc. Może to nieduża zmiana, ale uniemożliwia złagodzenie polityki stóp procentowych, które w tym roku podnoszone były już dwukrotnie, i w rezultacie hamuje ożywienie w rosyjskiej gospodarce. Z prostego powodu: Rosjanie więcej wydają na droższą niż w czasach przed embargo żywność – wydatki na ten cel w rodzinach zamieszkujących rosyjską prowincję wynoszą obecnie 43,3 proc. ich budżetu (przed embargo – 41,8 proc.), w bogatszych miastach 34,4 proc. (wcześniej – 31,3 proc.). Liczba rosyjskich rodzin, która zmuszona jest wydawać na żywność więcej niż 50 proc. dochodów, którymi dysponuje, wzrosła do 23,4 proc. (wcześniej – 20,8 proc.). Zdaniem analityków OECD Rosjanie średnio płacą za żywność więcej o 10 proc., niż wynoszą ceny na światowym rynku. Popyt wewnętrzny jest wątły, a całe gałęzie rosyjskiej gospodarki nastawione na produkcję na rynek od lat praktycznie stoją w miejscu.

Jednak to niejedyna cena „żywnościowej samowystarczalności". Gdyby spojrzeć na jej jakość, to obraz jest jeszcze bardziej ponury. Najlepszym przykładem jest jakość nabiału. Nawet oficjalne statystyki mówią o tym, że każdy statystyczny Rosjanin spożywa rocznie średnio 6 kg masła palmowego, bo oficjalna norma dopuszcza stosowanie przy produkcji nabiału „zamienników tłuszczu" na poziomie 49 proc. Innymi słowy – legalnie do mleka i serów w Rosji dodawać można właśnie tyle masła palmowego. A służby nadzoru co rusz informują o odkryciu na sklepowych półkach serów, do których wyprodukowania nie użyto nawet grama mleka.

Ceną rosyjskiego bezpieczeństwa żywnościowego są zatem wyższe ceny i niższa jakość żywności na rodzimym rynku. Obraz ten do niedawna rozjaśniały napływające z sektora informacje o ciągłym rozwoju, wzroście produkcji rolnej. Teraz i on rozwiał się niczym mgła. Po analizie ostatniego rosyjskiego spisu rolnego okazało się, że 30 proc. wzrostu produkcji w ostatnich latach to wynik kreatywnej księgowości. W ujęciu wartościowym wygląda to tak, że o ile przed korektą, jeszcze w kwietniu 2018 r., wartość produkcji rolniczej w Rosji szacowano na 5654 mld rubli, o tyle po korekcie, w listopadzie, jest ona o 10,6 proc. mniejsza i wynosi 5111,8 mld rubli.

WPŁYW NA BLISKI WSCHÓD

Jednak rosyjskie władze nie rewidują planów i nadal stawiają na skokowy wzrost eksportu płodów rolnych – w ciągu pięciu najbliższych lat z 20 do 45 mld dol. Kiedy spojrzymy na skorygowane informacje rosyjskiego odpowiednika GUS, staje się jasne, co oznaczają te plany. O ile znacząco mniejsza okazała się produkcja na rynek wewnętrzny, przede wszystkim mleka i nabiału, warzyw i owoców, ziemniaków, o tyle praktycznie nie ma zmian, jeśli weźmiemy pod uwagę produkcję zbóż. Rosyjskie rolnictwo, w ramach programu „bezpieczeństwa żywnościowego", nastawiło się na produkcję ziarna. Sprzyjają zresztą temu subsydia rządowe do transportu i magazynowania zboża oraz polityka wspierania eksportu. W efekcie głównie na południu Rosji powstało kilkanaście latyfundiów, z których najmniejsze ma ok. 300 tys. ha ziem uprawnych, nastawionych na produkcję zboża. Cały czas, ciesząc się poparciem władz, wielkie rosyjskie koncerny rolne rosną. I będą rosnąć. Pod koniec kończącego się roku zapowiedziano w Rosji gruntowną reformę ustawodawstwa związanego z własnością ziemi. Nowy kodeks może nie tylko uporządkować te kwestie, lecz także, zdaniem krytyków koncepcji lansowanych przez władze, znacznie przyspieszy rugowanie z roli drobnych farmerów i powiększanie latyfundiów kontrolowanych przez oligarchów. Nie tylko przechwycą oni większość rządowych subsydiów dla rolnictwa, co już się dzieje, lecz także będą w stanie wyprodukować wielkie nadwyżki zboża na eksport.

I o to zdaje się chyba chodzić Kremlowi. Już w ubiegłym roku wpływowy w Rosji Klub Wałdajski, opisując główne filary rosyjskiej obecności na Bliskim Wschodzie i zakładając zwiększenie wpływu Moskwy w tym rejonie świata, obok obecności wojskowej i związanej z wydobyciem węglowodorów, przewidywał użycie, w charakterze instrumentu presji i narzędzia pozyskiwania zwolenników, możliwość eksportu dużych ilości taniego, nawet być może kredytowanego przez Rosję zboża. Zresztą pierwsze kroki w tym kierunku już poczyniono. Egipt jest największym importerem zboża z Rosji, której ambicje nie zawężają się tylko do tego regionu. W trakcie niedawnej wizyty prezydenta Wenezueli w Moskwie zapowiedziano sprzedaż w charakterze „pomocy humanitarnej" dużej partii rosyjskiej pszenicy.

Wydaje się zatem, że lansowana przez Kreml od 2014 r. polityka „bezpieczeństwa żywnościowego" kraju w mniejszym stopniu ma na celu wpływ na to, jak Rosjanie się odżywiają i ile za żywność zmuszeni są płacić, ale bardziej obliczona jest na to, aby dać Kremlowi nowe narzędzie pomocne w zwiększaniu geopolitycznego znaczenia Rosji. Prognozę Bloomberga, od której zacząłem te rozważania, należałoby w związku z tym dość znacznie skorygować. Otóż jeśli na świecie zacznie się kryzys żywnościowy, a Waszyngton nie będzie skłonny pozbyć się swoich rezerw, wówczas na tak opuszczone miejsce będzie chciała wkroczyć Rosja, wykorzystując swe nowe narzędzie presji – zboże.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

Płacz ze szczęścia i płać

FOT. ANTOINE GYORI/CORBIS/GETTY IMAGES

Łukasz Majchrzyk

Amerykanie do perfekcji łączą sport z zarabianiem pieniędzy, a Super Bowl to największe święto biznesu

Od razu sobie wyjaśnijmy, że sport jest w tym czasie również ważny, może nawet bardzo ważny, ale niezwykle istotne jest też zarabianie pieniędzy. Super Bowl (w tym roku 3 lutego) to wielka machina rozrywkowa, z której zyski czerpią telewizje, aktorzy, scenarzyści, przemysł spożywczy, a nawet firmy budowlane. Każdy chce zarobić, bo taka okazja jest raz do roku. Jedno drugiemu nie przeszkadza.

Rozgrywki na boisku toczą się do upadłego, zwycięzcy przechodzą do historii, trener mistrzowskiej drużyny tradycyjnie zostaje polany wiadrem napoju izotonicznego, a kibice mogą świętować. Wiele miesięcy ciężkiej pracy zostaje nagrodzonych. Futboliści amerykańscy to znakomici sportowcy, najlepsi w swojej dyscyplinie. A że przy okazji tworzą znakomite widowiska, które chcą oglądać miliony kibiców? Amerykanów ogarnia wtedy bowiem szał kupowania, przygotowują przyjęcia, chcą spędzać ten wieczór z rodziną i przyjaciółmi.

OGROMNE ZYSKI

Druga strona, czyli gospodarze widowiska, tylko ten trend podsyca. Władze amerykańskich klubów – bez różnicy, czy futbolowych, koszykarskich, czy hokejowych – wychodzą z założenia, że nawet jeśli drużyna, którą wspierasz, przegra mecz, to masz opuścić trybuny zadowolony, bo się dobrze bawiłeś, dostałeś kupon na darmowego pączka (funduje jeden ze sponsorów) albo wziąłeś udział w jakimś konkursie. Tak jest każdego dnia, przy okazji setek rozgrywanych meczów. Sport to biznes, trzeba na tym zarobić i nawet jeśli jakiś klub (Amerykanie określają je słowem „franchise") nie przynosi zysków, to ogromne zyski ma przynosić cała liga (koszykarska, futbolowa czy hokejowa). Super Bowl to w tym sportowo-biznesowym łańcuchu najmocniejsze ogniwo, i to biorąc pod uwagę całe Stany.

Gdyby nie było Super Bowl, telewizje musiałyby je wymyślić. I nie ma w tym cienia przesady. To jedno wydarzenie gromadzi przed telewizorami rekordową w skali USA widownię i nie ma właściwie żadnej konkurencji. Biznes jest tak dobry, że obecnie prawami do pokazywania finału ligi NFL w Stanach Zjednoczonych dzielą się trzy stacje. Dwa lata temu mecz pokazywał FOX, rok temu NBC, więc w 2019 r. trzeba się przełączyć na CBS. Taki kontrakt obowiązuje jeszcze do 2022 r. i można być pewnym, że przy następnym rozdaniu walka będzie zażarta.

To wydarzenie tylko w Stanach Zjednoczonych gromadzi przed telewizorami wyraźnie ponad 100 mln widzów – ostatnio średnio mecz ten śledziło 103,4 mln Amerykanów (NBC), co stanowi wyraźny spadek w stosunku do ponad 111 mln widzów rok wcześniej w stacji FOX. Dodać do tego należy jednak kibiców, którzy śledzili mecz przez aplikacje internetowe, a jest nawet specjalna aplikacja hiszpańskojęzyczna Universo, bo przecież o tych widzów trzeba dbać. Poza USA Super

eprasa.pl d95acbd8fa

Bowl też jest wielkim świętem, nawet jeśli kibice oglądający mecz niewiele z całego widowiska rozumieją, bo futbol amerykański to sport bardzo skomplikowany, gdzie liczą się detale, a eksperci potrafią się zachwycać tym, że dwóch facetów wielkich jak ciężarówki zderzyło się właśnie w ten, a nie inny sposób.

ROZDZIAŁY SZALEŃSTWA

Co tak pociąga kibiców, że zasiadają przed telewizorami na długie godziny, choć sama gra zajmuje zaledwie 40 minut? Amerykanie potrafią zrobić z tego wielkie widowisko, a spekulacje na temat tego, kto wystąpi w przerwie, toczą się wiele tygodni przed meczem. Finał w 2019 r. uświetni koncert zespołu Maroon 5, a w ostatnich latach grali m.in. Justin Timberlake, Katy Perry, Lenny Kravitz, Bruno Mars, Madonna czy Beyoncé.

Mecz jest ważny, ale często toczy się w tle. Kiedy widz siada przed telewizorem, to nie po to, żeby wstać od niego po godzinie, ale jeśli ma być święto, to z odpowiednią oprawą. Amerykanie oglądają Super Bowl rodzinnie, z przyjaciółmi, spotykają się niemal jak w Święto Dziękczynienia. W tym drugim przypadku zjada się indyka, a finał ligi futbolu amerykańskiego opanowały skrzydełka kurczaka.

Powstają różne przepisy: są klasyczne, w sosie barbecue-bourbon, w sezamie, pieczone, czosnkowo-parmezanowe, a nawet inspirowane „Grą o tron" – pieczone w „smoczym ogniu". Nic dziwnego, że przy okazji meczu mieszkańcy Stanów Zjednoczonych pożerają ogromne ilości skrzydełek. Przez cały weekend w 2018 r. mogli ich zjeść nawet ponad 1,3 mld, i nie wydaje się to szacunkiem przesadzonym. Standardowe opakowanie skrzydełek waży ok. 4 funtów (średnia cena to ok. 2,5 dol. za funt) i mieści ok. 16 sztuk (choćby skrzydełka z farmy Sanderson), więc kto chętny, ten niech rozwiązuje równanie, ile Amerykanie wydają w tym dniu na skrzydełka. Jedno jest pewne: hodowcy drobiu z USA są wdzięczni futbolistom za ich trud.

Krajowa Izba Handlu Detalicznego (NRF), która co roku bada plany Amerykanów związane z finałem, szacuje, że w 2018 r. wydatki związane z Super Bowl wyniosły nawet 15,3 mld dol. Nic dziwnego, że przy takiej widowni (łącznie ok. 170 mln Amerykanów choć przez moment zerka na mecz) nie brakuje firm, które chcą się pokazać w trakcie transmisji. I tu zaczyna się kolejny rozdział szaleństwa, bo o reklamach emitowanych w czasie Super Bowl można by napisać solidną pracę. Za 30-sekundowy spot trzeba było ostatnio zapłacić 5 mln dol., a to tylko część wydatków, bo jeszcze trzeba doliczyć niemałe pieniądze dla: scenarzystów, aktorów, reżysera itd. Mimo to chętnych nie brakuje, NBC sprzedała w zeszłym roku cały czas antenowy, który po zsumowaniu zajmował ok. godziny, więc stacja transmitująca spotkanie zarabia na tym setki milionów dolarów.

Czy taki wydatek się opłaca? Część firm decyduje się na reklamę zapewne po to, by pokazać swoją silną pozycję, na takie wydatki stać tylko największych. To nie są też zwykłe reklamy. Agencje prześcigają się w pomysłach na oryginalny scenariusz, zatrudniają znanych aktorów – w 2018 r. piwo reklamował Matt Damon, Anthony Hopkins użyczył twarzy jednej ze spółek z branży internetowej, a Peter Dinklage zjadał nachosy.

Na reklamy emitowane podczas Super Bowl się czeka, a potem o nich dyskutuje i porównuje jeszcze długo po tym, jak zwycięska drużyna podniosła w górę puchar. Dzięki temu przez kilka następnych tygodni reklama jest obecna w świadomości klientów, a w mediach społecznościowych zatacza coraz szersze kręgi. W takiej sytuacji wydatek kilku milionów dolarów nie wydaje się przesadzony.

Na reklamy emitowane podczas Super Bowl się czeka, a potem jeszcze długo się o nich dyskutuje

To wszystko dzieje się w telewizji albo w jej najbliższym sąsiedztwie, a są jeszcze przecież pieniądze, które wydaje się i zarabia w mieście, w którym ten mecz się odbywa. Przez kilka lat w związku z mistrzostwami Europy w piłce nożnej Euro 2012 byliśmy w Polsce świadkami prawdziwego boomu stadionowego. Powstawały obiekty duże, średnie i mniejsze. W pewnym momencie wydawało się, że każde miasto z ambicjami chce mieć swój stadion. Coś takiego dzieje się też w Stanach Zjednoczonych. W ciągu ostatnich 12 lat powstało siedem nowych stadionów futbolowych, a już niedługo budowy skończą się w Las Vegas i Los Angeles. Na każdym z tych stadionów albo już rozegrano Super Bowl, albo taki mecz odbędzie się w niedalekiej przyszłości. Branża budowlana zaciera ręce, bo strumień pieniędzy jest obfity. Stadion w Minneapolis kosztował ok. miliarda dolarów, z czego niemal połowę wyłożyły władze stanowe i władze miasta. W zamian miasto, które jest obiektem żartów w całym kraju, głównie z powodu ostrych zim i małej liczby atrakcji turystycznych, dostało organizację Super Bowl w zeszłym roku.

Nagle się okazało, że w środku zimy na amerykański biegun zimna przyjeżdżają tysiące kibiców, którzy chcą się bawić, spędzić tam kilka dni i wydawać pieniądze. Szacunki komitetu organizacyjnego mówią o 125 tys. turystów futbolowych, dzięki którym budżet miasta zarobił 370 mln dol. Imprezy związane z meczem zaczynają się już kilka dni wcześniej, więc każdy z nich spędził w mieście prawie cztery dni. Spać gdzieś trzeba, więc zarabiały hotele, średnio 249 dol. za noc. Kibice byli głodni, więc odwiedzali restauracje, poza tym kupowali pamiątki.

DO KOŃCA ŚWIATA

Są też ekonomiści, tacy jak Victor Matheson z College of the Holy Cross w Worcester, którzy rozgrzane głowy we władzach miejskich schładzają i przypominają, że nie wszystkie pieniądze zostaną na terenie miasta, a nawet stanu. Kibice będą w większości spali w hotelach należących do wielkich sieci, które swoje siedziby mają daleko od Minneapolis, a koszulki z logo NFL zasilą kasę ligi. Dla gospodarki USA ma to jednak mniejsze znaczenie, bo najważniejsze, że pieniądz będzie krążył.

Z drugiej strony dzięki podatkom nawet w tej sytuacji zarabiały miasto i stan. Średnio każdy, kto przyjechał na Super Bowl do Minneapolis, wydawał dziennie ponad 600 dol., a stanowy podatek od sprzedaży to 6,875 proc. (miasto Minneapolis) dokłada jeszcze swoje 0,5 proc. Artyści, śpiewający, tańczący, a nawet pokazujący sztuczki magiczne (jeśli tacy byli) przy okazji Super Bowl musieli odprowadzić 3 proc. podatku, a sami zawodnicy, trenerzy i członkowie sztabów obu drużyn występujących w finale płacili podatek od gaży, którą zainkasowali z klubu za występ w meczu, od premii za zwycięstwo, nagrody pocieszenia za porażkę, a nawet od wartości pierścienia za mistrzostwo ligi. I niech nikt nie myśli, że w Minnesocie rządzą wyjątkowo chciwi ludzie. Tak samo będzie w tym roku w Atlancie, rok później w Miami i aż do końca świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

A co z OFE?

Nowy kapitałowy filar systemu emerytalnego, czyli PPK – pracownicze plany kapitałowe, staje się powoli faktem, natomiast o przyszłości starego kapitałowego filaru tegoż systemu, czyli OFE – otwartych funduszy emerytalnych, cicho sza.

A przecież, jak kuszono jeszcze dwa lata temu, jeszcze rok temu, przekazanie każdemu właścicielowi konta w OFE większości zgromadzonych tam przez niego pieniędzy na jego Indywidualne Konto Zabezpieczenia Emerytalnego (IKZE), a może nawet na jego konto w ramach PPK, miało być kluczowym impulsem dla realizacji tego pomysłu. A także zachętą dla jego uczestników. Miało być zastrzykiem zarówno kapitału, jak i wiarygodności. W końcu, gdyby pozostałości po OFE – było nie było, niemal równo połowę dawnego, „Wielkiego Systemu OFE", wartego, z grubsza licząc, niebagatelne 150 mld zł – włączono do tym razem już „naprawdę", „na 100 proc." prywatnego filaru systemu emerytalnego, może nie niezbicie, ale na pewno z dużą mocą dowodziłoby, że nowej władzy – PiS, w przeciwieństwie do starej władzy – Platformy, obce są pomysły nacjonalizacji prywatnych oszczędności Polaków, odłożonych przez nich na starość w otwartych funduszach emerytalnych.

Startowi PPK – przypomnijmy – miało towarzyszyć przekazanie każdemu Polakowi posiadającemu swe pieniądze w OFE 75 proc. jego oszczędności na jego IKZE. Pozostałe 25 proc. miało zostać przyszłym emerytom przez rząd zabrane i przekazane do Funduszu Rezerwy Demograficznej, skąd pewnie szybko pieniądze te trafiłyby do kieszeni obecnych emerytów, na których świadczenia musimy dopłacać coraz więcej.

Niestety, mimo że system PPK – prywatnych planów kapitałowych – wkrótce ruszy, śladu realizacji tamtej zapowiedzi próżno szukać w przyjętych rozwiązaniach prawnych. Więcej: niemal w ogóle się przy tej okazji o tym, co pozostało z OFE, nie wspomina. Czyżby dlatego, że rząd – tym razem PiS – nadal traktuje te pieniądze jako swoje, zakładając, iż prędzej czy później je zawłaszczy i wrzuci do owej potężnej – nie do zasypania – dziury, która od lat straszy i jeszcze długo będzie – i to coraz bardziej – straszyć w ZUS?

Jednak może niepotrzebnie zapędzam się w moim czarnowidztwie, może niepotrzebnie nie dowierzam w zapewnienia sprzed miesięcy, bo gdzieś tam, w zakamarkach któregoś z ministerstw, np. finansów, albo w czeluściach Polskiego Funduszu Rozwoju, już trwają prace, i to może nawet zaawansowane, nad rozwiązaniem, które sprawi, że oszczędności zgromadzone przez przyszłych polskich emerytów w OFE zostaną jednak – jak wcześniej obiecano, w większości, a więc w 75 proc. z nich – przekazane na ich IKZE (lub konta w ramach PPK)? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Globalne spowolnienie

Kondycja globalnej gospodarki nie jest dobra, wiele wskaźników sygnalizuje spowolnienie lub nawet recesję.

W typowej sytuacji rządy i banki centralne miały wiele instrumentów, które pozwalały na przeciwdziałanie recesji. Jednak obecnie mamy czasy, które niestety nie wpisują się w ramy normalności. Stopy procentowe w wielu krajach są na bardzo niskim, a w wielu krajach rozwiniętych na zerowym poziomie. Zatem kredyt już jest bardzo tani i tańszy być nie może. Co prawda można sobie wyobrazić dalsze obniżenie stóp procentowych do poziomów ujemnych, ale trudno przewidzieć, jakie przyniosłoby to skutki, gdyby np. koszt kredytu wynosił minus 2 proc., a oprocentowanie depozytów minus 5 proc. W takiej sytuacji oszczędzający prawdopodobnie masowo wycofaliby pieniądze z banków, żeby uniknąć „podatku" od oszczędności, bo taką funkcję pełniłyby ujemne stopy procentowe.

Rządy w wielu krajach rozwiniętych są silnie zadłużone, więc nie mają miejsca na znaczące zwiększenie deficytu budżetowego

Powstałoby ryzyko załamania się systemu bankowego. Banki centralne mogłyby utrzymać zerowe stopy procentowe i drukować jeszcze więcej pieniędzy, ale efektem byłby prawdopodobnie krótkoterminowy wzrost cen akcji, a poprawa koniunktury trwałaby bardzo krótko. To zresztą było ćwiczone na masową skalę w minionej dekadzie i skutkuje obecną sytuacją.

Rządy w wielu krajach rozwiniętych są silnie zadłużone, więc nie mają miejsca na znaczące zwiększenie deficytu budżetowego. Nawet w Niemczech, które od kilku lat mają nadwyżkę w budżecie, dług publiczny jest bliski 60 proc. PKB. W czasach recesji wpływy podatkowe szybko spadają i deficyty budżetowe wzrosną, co przy braku wzrostu gospodarczego doprowadzi do powiększenia relacji długu publicznego do PKB.

W tej sytuacji zaczną działać odwieczne mechanizmy rynkowe i powrócą znane z historii gospodarczej cykle koniunkturalne, oczyszczające gospodarkę z nieefektywnych firm i nadmiaru zadłużenia. To oznacza więcej bankructw i większe bezrobocie. I wydaje się, że taki scenariusz czeka światową gospodarkę w najbliższych latach.

Jednak skoro nie możemy liczyć na wysokie tempo wzrostu PKB, to trzeba ten czas wykorzystać na poprawę jakości wzrostu gospodarczego, co jest możliwe dzięki nowym technologiom, takim jak sztuczna inteligencja i robotyzacja. Dlatego rządy powinny, w ramach ograniczonych środków, więcej pieniędzy przeznaczyć na inwestycje w tych sektorach. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl d95acbd8fa

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

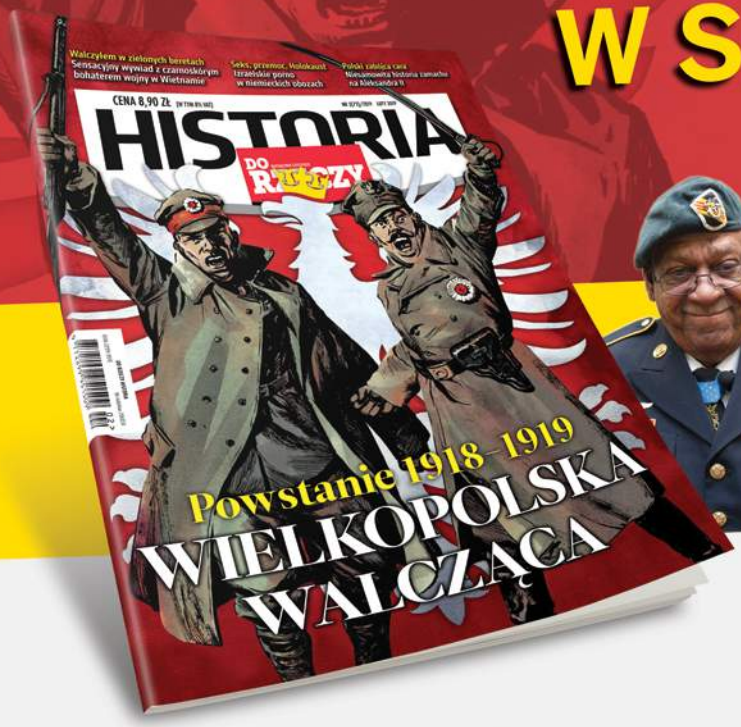

WALCZYŁEM W WIETNAMIE
WYWIAD Z BOHATEREM ZIELONYCH BERETÓW

Marek Rezler – **Wielkopolska Walcząca**
Marcin Bartnicki – **Niemiecki plan ataku na Warszawę**
Piotr Zychowicz – **Seks, przemoc i Holokaust**
Piotr Włoczyk – **Tajemnica syberyjskiego meteorytu**
Nikołaj Iwanow – **Zagadka zdrady generała NKWD**
Zvika Greengold – **Byłem asem pancernym Izraela**
Piotr Semka – **Rosenbergowie: śmierć atomowych szpiegów**
Sławomir Koper – **Polski zabójca cara**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl d95acbd8fa

TEST „DO RZECZY": MIO MIVUE C380 DUAL

Dobra jakość obrazu w dzień zarówno z przedniej, jak i tylnej kamery, wbudowana baza fotoradarów, prosta instalacja i konfiguracja – to największe zalety kamery samochodowej Mio MiVue C380 Dual.

Niestety, sprawcy kolizji w Polsce bardzo często próbują dyskutować o winie lub nagle zmieniać zdanie, gdy policjant informuje o wysokości potencjalnego mandatu. Aby zapewnić sobie większy spokój w tych stresujących sytuacjach, warto zamontować kamerę samochodową. Nagranie z niej może być bowiem użyte jako dowód czy to dla patrolu policji, czy ewentualnie podczas sprawy w sądzie. Sędzia może jednak odrzucić dostarczony materiał filmowy, jeśli zapis jest niewyraźny i uniemożliwia jednoznaczną identyfikację uczestników zdarzenia drogowego, gdy na filmie brakuje rejestru daty i godziny lub gdy nagranie uniemożliwia wskazanie miejsca kolizji lub wypadku (np. poza miastem).

Aby nagranie mogło być wykorzystane jako dowód, konieczne jest też potwierdzenie autentyczności zapisu. Dlatego choć najtańsze kamery można kupić w Internecie już za nieco ponad 100 zł, to warto przemyśleć zakup droższego modelu, który zapisuje film na zewnętrznych nośnikach pamięci (najczęściej kartach SD), a także dysponuje modułem GPS, który automatycznie rejestruje trasę przejazdu od momentu uruchomienia silnika.

W testowanym modelu spełnione są oba warunki. Dodatkowo testowana kamera jest wyposażona w trzyosiowy czujnik wstrząsów, dzięki któremu automatycznie wykrywa kolizję lub wypadek i zapisuje materiał do osobnego katalogu na karcie, który nie może zostać przypadkowo nadpisany. Nagrywanie awaryjne można również

aktywować ręcznie. Co ważne, podczas kilkutygodniowych testów kamerka ani razu się nie zacięła.

Plusem modelu MiVue C380 Dual jest też dobra jakość dziennych nagrań, które są zachowywane w rozdzielczości full HD (1080 p). Zaletami są również szeroki kąt widzenia (130 st. z przodu, 140 st. z tyłu), który pozwala na uchwycenie większej liczby szczegółów, oraz dyskretne rozmiary urządzenia (przednia kamera o wymiarach 51,2 mm x 62,6 mm x 37,4 mm wyposażona jest w ekran o przekątnej 2 cali, kamera tylna to zaś niewielka czarna „kostka", którą przyklejamy do tylnej szyby). Jeśli dojdzie już do kolizji lub wypadku, kamerkę można też wykorzystać jak aparat fotograficzny i zrobić nią zdjęcia z miejsca zdarzenia dla celów odszkodowawczych. Testowany model nie tylko rejestruje trasę, lecz także ostrzega przed fotoradarami. MiVue C380 Dual umożliwia również łatwe udostępnianie nagrań na portalach społecznościowych – zanim to zrobimy, upewnijmy się jednak, czy nie naruszamy prawa do wizerunku i prywatności. Nagrania można też oczywiście wysłać policji, która karze zdecydowaną większość uwiecznionych w ten sposób piratów. Model obsługuje karty pamięci do 128 GB (szkoda, że w zestawie nie ma nawet najtańszej karty SD).

A minusy tego modelu? Niestety, chociaż w dzień uzyskujemy ostry obraz, to w nocy – m.in. przez odblaski świateł – jakość rejestrowanego nagrania pogarsza się na tyle, że chociaż trasę czy znaki drogowe nadal widać dobrze, to już np. tablice rejestracyjne często są trudne do odczytania. Szkoda również, że tylną kamerę trzeba podłączyć za pomocą siedmiometrowego kabla i że jest ona przyklejana, a nie montowana za pomocą przyssawki (tak jak przednia). O wiele wygodniejsze byłoby zresztą połączenie obu kamer za pomocą bezprzewodowego połączenia Bluetooth. Brakuje także możliwości ładowania kamery nie tylko za pomocą ładowarki do „zapalniczki", lecz także podłączenia kabla zasilającego do portu USB. Cena: 749 zł.

©℗ ***Jacek Przybylski***

KAMERA Z GESTEM

Świat coraz bardziej zmierza w kierunku, który zakreślił Jarosław Grzędowicz w swojej wizjonerskiej powieści SF „Hel 3". Co prawda z tymi Chińczykami rządzącymi Polską możemy mieć pewien problem, bo właśnie jednego zatrzymały służby, za to coraz częściej każdy nagrywa każdego i wszystko, udostępnia to w sieci i zarabia w zależności od zainteresowania widzów. Jednak jeśli już filmować i emitować, to materiał dobrej jakości, a więc oprócz żyłki reportera dobrze byłoby mieć solidny sprzęt. Taki np. proponują producenci OBSBOT Tail reklamowanej jako pierwsza na świecie inteligentna kamera z automatycznym sterowaniem.

Urządzenie pozwala na śledzenie ruchu w pomieszczeniu bądź na otwartej przestrzeni (nawet w odległości 40 metrów od kamery) i nagrywanie go w rozdzielczości do 4K w 60 kl./s. Wszystko odbywa się automatycznie, bez udziału operatora, co pozwala właścicielowi kamerki również wystąpić w rejestrowanym obrazie.

Cały bajer polega na tym, że urządzenie samo uruchamia „inteligentny shooting", analizując ruch, i dzięki algorytmom decyduje, kiedy rozpocząć nagrywanie, co pozwolić ma na uniknięcie rejestrowania dużej ilości materiału, na którym nic się nie dzieje, ale może też zacząć nagrywać, bo akurat przeleciała pszczoła. Reżyser czy aktor może też sterować pracą kamery za pomocą wykonywanych z pewnej odległości gestów. Kamerkę można zamawiać na Kickstarterze, wpłacając kwotę ok. 2 tys. zł. Dostawa w kwietniu

A MOŻE NA ROWER?

Pamiętacie rowery typu Pelikan, tak popularne w czasach PRL, później wyparte przez wigry i waganty? Mniej więcej jak Pelikan na pierwszy rzut oka wygląda StepTwin Bike i na szczęście tylko na wizualnym podobieństwie się kończy. StepTwin Bike to lekki, składany rower z podwójnym „niezależnym" napędem. A mówiąc prościej – jest skrzyżowaniem roweru i steppera rowerowego, co oznacza, że łączy zalety jazdy na rowerze i biegania, przy czym nie obciąża stawów, nie grożąc tym samym poważnym urazem. Dysponuje pięcioma przerzutkami zarówno dla lewego, jak i prawego „napędu", co pozwala dowolnie trenować mięśnie lewej lub prawej nogi. Zamawiać można na Indiegogo w cenie ok. 1,1 tys. zł. Dostawa w czerwcu. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d95acbd8fa

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

PAKIET 3 OPOWIEŚCI NIEPOPRAWNYCH POLITYCZNIE PIOTRA ZYCHOWICZA

„ŻYDZI"
„SOWIECI"
„NIEMCY"

~~679 ZŁ~~ > **259,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 420 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d95acbd8fa

W poprzednim sezonie mistrzostwo Polski świętowała Legia Warszawa

FOT. ŁUKASZ GROCHALA/CYFRASPORT/FORUM

Piłkarska wiosna

Radosław Wojtas

Podczas tegorocznej zimowej przerwy w LOTTO Ekstraklasie poziom napięcia spadł tylko nieznacznie. Kibiców elektryzowało zamieszanie związane z Wisłą Kraków. Od 8 lutego emocje powrócą na murawę

Kiedy piłkarze schodzili z boisk przed zimową przerwą, sytuacja w LOTTO Ekstraklasie różniła się znacznie od tej, w której niebawem rozpocznie się runda wiosenna. Po nieudanej próbie sprzedaży Wisła Kraków, zajmująca ósme miejsce w tabeli, wraca do rozgrywek upokorzona i osłabiona. Kibice Białej Gwiazdy liczyli zapewne, że po rundzie zimowej klub pozostanie w górnej, gwarantującej utrzymanie połowie tabeli, ale będą musieli modyfikować swoje oczekiwania. Po odejściu z Krakowa kilku zawodników zmieniła się sytuacja nie tylko Wisły.

PŁYNIE WISŁA, PŁYNIE... NA PODLASIE

W czasie największego zamieszania na rozwiązanie kontraktów z zalegającą w wypłatach wynagrodzeń Wisłą zdecydowali się Zoran Arsenić, Jakub Bartkowski i Dawid Kort. Podczas zimowego okienka transferowego wygasł też kontrakt Zdenka Ondraska. Czech opuścił nie tylko Kraków, lecz także Polskę, by kontynuować karierę za oceanem. Klub z Krakowa postanowił sprzedać też dwóch zawodników – Jesusa Imaza i Martina Kostala. W tej sytuacji miejsce w zespole mogą znaleźć powracający z wypożyczeń piłkarze – Kacper Chorążka, Krzysztof Drzazga i Wojciech Słomka. Wzmocnieniem w trudnym dla klubu czasie ma być transfer Lukasa Klemenza.

O PUNKTY I PIENIĄDZE

Wisła Kraków rozpocznie wiosenną rundę nie tylko z nadszarpniętym morale i wciąż będąc w niepewnej sytuacji, lecz także poważnie osłabiona kadrowo. Co jednak osłabia jednych – wzmacnia innych. Na razie najbardziej wzmocniona budzi się z zimowego snu Jagiellonia Białystok, do której zdecydował się odejść Zoran Arsenić. Jednak prawdziwym wzmocnieniem zespołu z Podlasia był transfer za 650 tys. euro – które znacznie bardziej przydadzą się w tej sytuacji w Krakowie – Martina Kostala i Jesusa Imaza. Jaga zaczynająca piłkarską wiosnę tuż za podium (ale mająca tyle samo punktów co trzeci w tabeli Lech Poznań) znów chce w tym sezonie powalczyć o wszystko, mając zapewne chrapkę na triumf w Ekstraklasie, ale spoglądając już odważnie na europejskie boiska, na których będą chcieli powalczyć piłkarze z Podlasia.

Zadanie ma Jaga niełatwe, do lidera traci w tej chwili dziewięć punktów. A jest nim pierwszy raz w historii na tym etapie rozgrywek Lechia Gdańsk. Piłkarze z miasta nad Motławą są w tym sezonie zdeterminowani i w pozostałych do końca sezonu LOTTO Ekstraklasy 17 kolejkach nie będą odstawiać nogi. Z takim planem ruszą zapewne piłkarze i drugiej w tabeli Legii Warszawa, i trzeciego Lecha Poznań.

Najbliższe 10 kolejek rozegrane zostanie w ramach rundy zasadniczej. Stawką wiosny jest zatem 30 pkt – aż nadto, by zmienić sytuację w tabeli przed rundą finałową. Chociaż statystyki przytaczane przez oficjalny portal LOTTO Ekstraklasy pokazują, że ci, którzy wiosnę zaczynali na szczycie, najczęściej na szczycie ją kończyli. W rozegranych do tej pory pięciu sezonach w systemie ESA37 (z podziałem na rundę zasadniczą i finałową, w której tabela dzielona jest na dwie grupy) w czterech przypadkach liderzy z przerwy zimowej zachowywali pierwszą lokatę na koniec rundy zasadniczej, a po rundzie finałowej trzykrotnie sięgali po złoto i dwukrotnie po srebro. Zawodnicy Lechii Gdańsk będą musieli porządnie się tej wiosny napocić, by nie popsuć tych statystyk. Legia, Lech i Jagiellonia nie sprzedadzą tanio skóry.

Po meczach rundy zasadniczej, czyli po 30. kolejce, tabela zostanie podzielona na pół, dzieląc LOTTO Ekstraklasę na dwie grupy. Każdy z zespołów zagra mecz z każdym ze swojej grupy. Zespoły nad kreską (grupa A) mogą być spokojne o utrzymanie w lidze. Powalczą też o mistrzostwo Polski oraz dwa miejsca dające możliwość wzięcia udziału w eliminacjach w Lidze Europy. Udział w europejskich rozgrywkach to nie tylko prestiż, lecz także pieniądze. Duże pieniądze, zwłaszcza jak na polskie warunki. Jak najlepsza pozycja na koniec rundy zasadniczej oznacza również pewne przywileje, np. możliwość rozegrania większości z siedmiu meczów rundy finałowej u siebie.

W grupie B rozegra się walka o utrzymanie w LOTTO Ekstraklasie. Zespoły drugiej połowy tabeli, które przed rundą finałową zajmą najwyższe lokaty, również będą miały przywilej własnego boiska. Dwie drużyny po rundzie finałowej pożegnają się z Ekstraklasą. Aby uniknąć stresu późną wiosną, już od pierwszych spotkań rundy zasadniczej zespoły ze środka tabeli będą walczyły o pierwszą ósemkę. Jeszcze nigdy w ostatnich pięciu sezonach obec-

eprasa.pl d95acbd8fa

Tabela LOTTO Ekstraklasy przed rundą wiosenną

LP	drużyna	mecze	punkty	z.	r.	p.	bramki
1.	Lechia Gdańsk	20	42	12	6	2	34:17
2.	Legia Warszawa	20	39	11	6	3	34:20
3.	Lech Poznań	20	33	10	3	7	32:23
4.	Jagiellonia Białystok	20	33	9	6	5	34:29
5.	Pogoń Szczecin	20	31	9	4	7	28:24
6.	Piast Gliwice	20	31	8	7	5	27:23
7.	Korona Kielce	20	31	8	7	5	25:23
8.	Wisła Kraków	20	29	8	5	7	33:29
9.	Cracovia	20	27	7	6	7	20:21
10.	Arka Gdynia	20	25	6	7	7	30:28
11.	KGHM Zagłębie Lubin	20	24	7	3	10	31:32
12.	Miedź Legnica	20	21	5	6	9	21:35
13.	Wisła Płock	20	20	4	8	8	30:37
14.	Śląsk Wrocław	20	18	4	6	10	27:30
15.	Górnik Zabrze	20	17	3	8	9	23:37
16.	Zagłębie Sosnowiec	20	12	2	6	12	24:45

nego systemu rozgrywek nie było tak, by wiosna nie przyniosła zmian w podziale tabeli. Nie wydaje się, by inaczej miało być w tym roku. Depcząca po piętach Wiśle Kraków zajmującej obecnie ósmą lokatę Cracovia z pewnością ma chrapkę na bratobójcze porachunki i co najmniej zamianę miejscami z klubem z tego samego miasta. Różnica między zespołami to tylko dwa punkty, ale będąca oczko poniżej Cracovii Arka Gdynia traci do Wisły Kraków 4 pkt, a więc również myśli pewnie o lepszej połowie tabeli.

Na początku piłkarskiej jesieni na miejscach spadkowych są Górnik Zabrze z 17 pkt na koncie oraz Zagłębie Sosnowiec, które w dotychczasowych meczach tego sezonu zgromadziło zaledwie 12 pkt, wygrywając dwa mecze, sześć remisując, a 12 przegrywając. Zawodnicy z Sosnowca potrzebują prawdziwego wstrząsu, by nie skończyć przygody z powrotem do Ekstraklasy na jednym sezonie.

Lepiej radzi sobie drugi tegoroczny beniaminek najlepszej polskiej ligi – Miedź Legnica. Dla zespołu założonego w 1971 r. jako spadkobiercy MZKS Legnica to pierwszy sezon wśród najlepszych polskich drużyn. Rundę wiosenną piłkarze i kibice z Legnicy mogą zaczynać w stosunkowo dobrych nastrojach. Miedź na najlepszą ósemkę po rundzie zasadniczej raczej liczyć nie może, bo plasuje się na 12. pozycji z pięcioma zwycięstwami i sześcioma remisami w 20 meczach, ale na razie są inne zespoły będące znacznie bliżej pożegnania się z Ekstraklasą.

PIŁKARZ KOPIE, KIBIC SKACZE PO KANAŁACH

Piłkarze LOTTO Ekstraklasy wybiegną na boiska 8 lutego – po niespełna 50-dniowej, a więc krótkiej przerwie zimowej. Runda zasadnicza potrwa do kwietnia, a ostatnia jej kolejka rozegrana zostanie na zasadzie multiligi, co oznacza, że wszystkie spotkania rozpoczną się w tym samym momencie. Najprawdopodobniej będzie to 13 kwietnia o godz. 18. Ostatni gwizdek w tym sezonie LOTTO Ekstraklasy usłyszymy 19 maja. Wtedy też zapewne dowiemy się, które kluby nie wywalczą utrzymania się w lidze. Ostatnia runda spotkań grupy B zaplanowana właśnie na 19 maja i dzień wcześniej również wystartuje o tej samej porze, co podkręci emocje kibiców trzymających kciuki za zespoły zagrożone spadkiem.

Gdzie obejrzeć wszystkie mecze LOTTO Ekstraklasy? Rzecz nie jest taka prosta. Prawami do transmisji rozgrywek dzieli się kilka stacji i aby móc obejrzeć każde spotkanie, potrzebny jest dostęp do Eurosport 1, Eurosport 2, Canal+ Sport i nSport+. Cóż – bycie kibicem kosztuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl d95acbd8fa

Wyleczyć serca Polaków

Katarzyna Pinkosz

Znakomici kardiolodzy, świetnie zorganizowane leczenie zawałów, a mimo to wciąż co roku 175 tys. Polaków umiera z powodu chorób serca. Lekarze mają pomysł, co zrobić, by serce nas nie zabijało

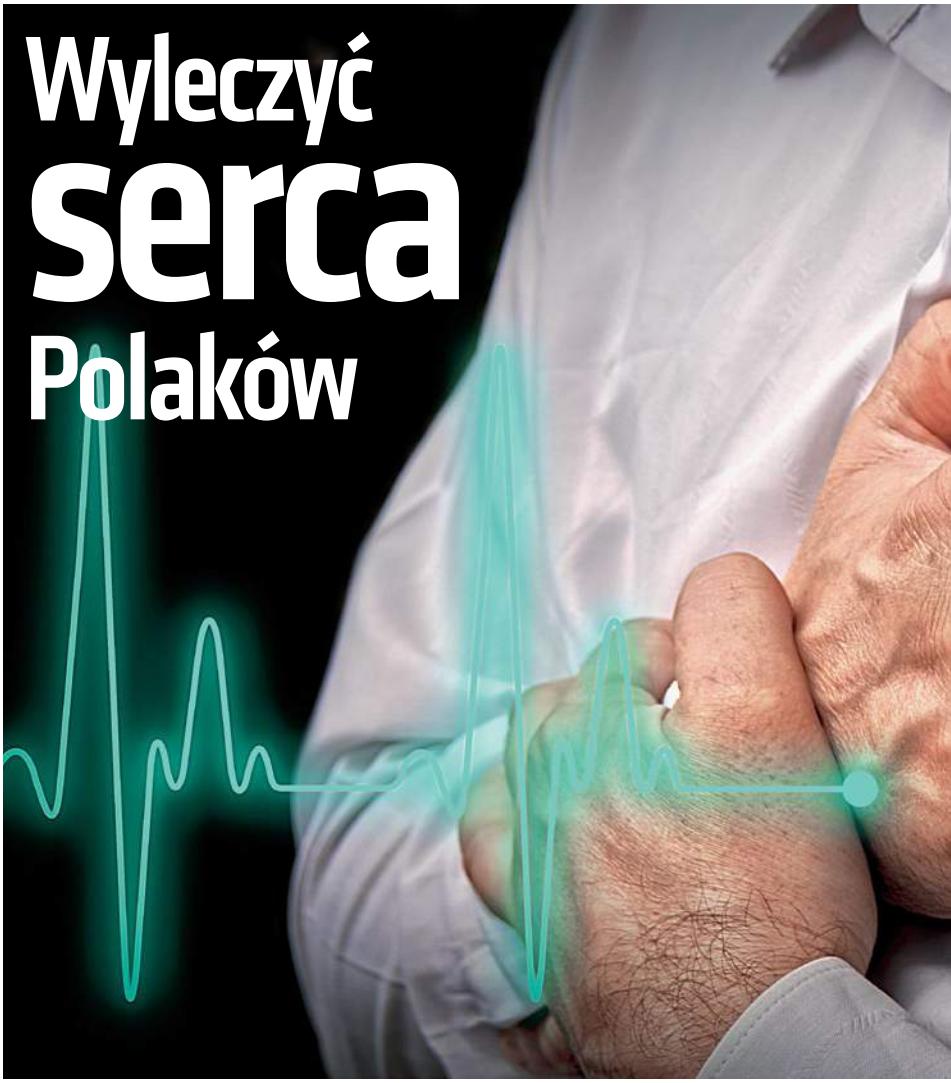

Leczymy zawały najlepiej w Europie – potwierdza prof. Piotr Ponikowski, prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. To zasługa świetnie zorganizowanej opieki: gdy karetka pogotowia przyjeżdża do osoby z podejrzeniem zawału, jest możliwość natychmiastowego wykonania EKG i przesłania wyników do specjalisty z ośrodka kardiologicznego. Jeśli zawał zostanie potwierdzony, to chory od razu jest przewożony do ośrodka kardiologii interwencyjnej. Dyżur w ośrodku trwa 24 godziny na dobę przez 365 dni w roku. Polski system leczenia zawałów jest stawiany za wzór na całym świecie.

Wciąż szwankuje jednak szybkie wzywanie karetki pogotowia. Nadal wiele osób bagatelizuje objawy zawału (ból, pieczenie, uczucie rozpierania w klatce piersiowej promieniujące do barku, ręki, szyi lub żuchwy, bóle brzucha, wymioty, silne poty, duszność z towarzyszącym uczuciem lęku), czeka, że to „samo przejdzie". Tymczasem każda minuta powiększa obszar martwicy mięśnia sercowego.

SUKCES KOS

Leczenie zawałów w Polsce to światowy top, gdy jednak przeanalizowano dane, co potem dzieje się z chorymi, okazało się, że znaczna część z nich umiera już w pierwszym roku po zawale. Główną przyczyną jest brak dobrej opieki po wypisaniu ze szpitala: pacjenci często przez wiele miesięcy czekali na wizytę do kardiologa, niewielu miało specjalistyczną rehabilitację. Nie zmieniali też stylu życia, który doprowadził do choroby. – W ciągu roku po przebyciu zawału tylko niespełna 3 proc. chorych udawało się opanować pięć czynników ryzyka, którymi są: palenie papierosów, nadciśnienie, nadwaga, zbyt wysoki poziom cholesterolu, zbyt wysoki poziom cukru we krwi – potwierdza prof. Adam Witkowski, kierownik Kliniki Kardiologii i Angiologii Interwencyjnej Instytutu Kardiologii w Warszawie.

Program KOS Zawał (kompleksowej opieki po zawale serca), który obecnie funkcjonuje w 50 ośrodkach w Polsce, powoli tę sytuację zmienia. – Ma na celu ciągłość opieki i leczenia przez 12 miesięcy po zawale. Pacjent ma zapewnioną opiekę lekarza pierwszego kontaktu, kardiologa, rehabilitację, a w razie konieczności wszczepienie urządzeń poprawiających pracę serca – tłumaczy prof. Piotr Ponikowski.

Na razie KOS jest wdrażany w niemal co trzecim szpitalu w Polsce. – Po roku trwania programu włączono do niego ok. 20–25 proc. chorych po zawale. Chcielibyśmy, by było ich znacznie więcej – mówi prof. Witkowski. Niestety, szpitale znajdujące się poza siecią na razie nie mogą kierować chorych do KOS. – To dzielenie pacjentów na lepszych i gorszych. Jest już projekt rozporządzenia ministra zdrowia niwelujący ten podział, mamy nadzieję, że wkrótce nowe przepisy wejdą w życie – dodaje prof. Witkowski.

Efekty KOS są znakomite: żaden lek nie jest aż tak efektywny. – Wśród chorych, którzy biorą udział w programie, śmiertelność spadła nawet pięć–sześć razy w stosunku do osób, które nie są w KOS. Dotyczy to wszystkich grup pacjentów, bez względu na wiek czy płeć. Chorzy są zadowoleni, ponad 90 proc. uważa, że powinien być kontynuowany i rozszerzany – przekonuje prof. Witkowski.

KONS GONI KOS

Skutkiem zawału, a także innych chorób, takich jak zapalenie mięśnia sercowego, arytmia, niedoleczenie infekcji wirusowej, może być niewydolność serca. Eksperci nazywają ją epidemią XXI w. – w Polsce dotyka ona już dziś ok. miliona osób. – Serce nie jest w stanie zapewnić organizmowi dostar-

eprasa.pl d95acbd8fa

FOT. ADOBE STOCK

czenia wystarczającej ilości tlenu, żeby mógł normalnie funkcjonować, podjąć wysiłek fizyczny, zmierzyć się ze stresem – tłumaczy prof. Ponikowski. Chory czuje duszność, początkowo po większym wysiłku fizycznym, potem także po coraz mniejszym. Niewydolność serca w ciągu pięciu lat od rozpoznania powoduje zgon u 50 proc. chorych. Jest bardziej niebezpieczna niż wiele nowotworów.

– W Polsce jest późno rozpoznawana i mało skutecznie leczona. Żeby to zmienić, Polskie Towarzystwo Kardiologiczne we współpracy z Ministerstwem Zdrowia zainicjowało program KONS: kompleksowej opieki nad chorymi z niewydolnością serca – opowiada prof. Jadwiga Nessler z Instytutu Kardiologii Collegium Medicum UJ. Ogłoszony w listopadzie 2018 r. pilotaż programu KONS obejmie sześć ośrodków: w Gdańsku, Poznaniu, Warszawie, we Wrocławiu, w Zabrzu i Krakowie. Pacjenci są pod opieką lekarza pierwszego kontaktu i pielęgniarki, a w razie zaostrzenia choroby – kierowani do szpitala. Chorzy, których leczenie jest bardziej skomplikowane, mają być kierowani do tzw. centrów doskonałości. Tam też mają być wdrażane najnowocześniejsze metody diagnostyki i leczenia. – Mamy nadzieję, że KONS powstrzyma epidemię niewydolności serca w Polsce – dodaje prof. Nessler.

INNOWACJE W UDARACH

Ponad 70 tys. osób w Polsce co roku ma udar mózgu. – To nie tylko choroba mózgu, lecz także naczyń krwionośnych. Skrzep zatyka naczynie i dochodzi do uszkodzenia mózgu. W ostatnich latach widać w Polsce wzrost śmiertelności z powodu udaru, jednak wielu pacjentów mówi, że życie po udarze jest dla nich gorsze niż śmierć – opowiada prof. Piotr Musiałek z Kliniki Chorób Serca i Naczyń Collegium Medicum UJ.

Dzięki zabiegowi trombektomii mechanicznej można dziś skutecznie leczyć udar niedokrwienny mózgu. Warunkiem jest przeprowadzenie zabiegu w ciągu sześciu godzin od wystąpienia udaru. Im szybciej, tym lepiej: jeśli udaje się przeprowadzić trombektomię w dwóch pierwszych godzinach, to pacjent może wrócić w 100 proc. do zdrowia. – Jednak czasu jest znacznie mniej niż w przypadku ostrego zawału serca. Mózg mniej wybacza, umiera szybciej – tłumaczy prof. Musiałek.

90 PROC.

O TYLE MOŻNA ZMNIEJSZYĆ LICZBĘ ZAWAŁÓW SERCA DZIĘKI WYELIMINOWANIU DZIEWIĘCIU CZYNNIKÓW RYZYKA

Żeby zabieg mógł być przeprowadzony tak szybko, konieczne jest przede wszystkim zwiększenie świadomości, że takie objawy jak opadanie kącika warg, niewyraźna mowa, nagły niedowład jednej części ciała, zaburzenia widzenia czy bardzo silny ból głowy mogą być objawami udaru i trzeba dzwonić po pogotowie. Konieczne jest też szybkie przewiezienie chorego do szpitala, gdzie znajduje się ośrodek udarowy i jest możliwość przeprowadzenia zabiegu trombektomii. – Niestety, Polska jest na szarym końcu Europy, jeśli chodzi o „sieci udarowe". Na dziś tylko w siedmiu ośrodkach zabieg trombektomii mechanicznej jest refundowany w ramach pilotażu. Ministerstwo wie jednak, że jest to niewystarczające, i chce dołączać kolejne ośrodki, żeby zapewnić pacjentom na terenie całego kraju możliwość leczenia. Zabieg będą mogli przeprowadzać po odpowiednim przeszkoleniu kardiolodzy, angiolodzy, chirurdzy naczyniowi, neurochirurdzy – dodaje prof. Musiałek.

Środowisko kardiologów duże nadzieje pokłada też w mającej wkrótce powstać Agencji Badań Medycznych. – Mamy nadzieję, że dzięki niej będzie możliwe prowadzenie niekomercyjnych badań klinicznych, czyli niesponsorowanych przez firmy farmaceutyczne. Będziemy mogli wdrażać nowoczesne technologie w diagnostyce i leczeniu, a także sprawdzać, jakie przynoszą efekty u polskich pacjentów – dodaje prof. Ponikowski.

MNIEJ JEŚĆ, WIĘCEJ BIEGAĆ

Niepokoi jednak to, że w Polsce zapadalność na choroby serca jest wyższa niż w innych krajach UE. Przykład: na zawał serca choruje o 30–50 proc. więcej Polaków niż mieszkańców Europy Zachodniej. Najlepsze programy i najnowocześniejsze metody terapii nie uzdrowią serca ani naczyń krwionośnych, jeśli będziemy je systematycznie niszczyć wysokim poziomem cholesterolu, nadciśnieniem, złą dietą, paleniem papierosów, nadwagą, zanieczyszczeniem powietrza, nadużywaniem alkoholu, brakiem aktywności fizycznej, stresem. – Gdyby udało się wyeliminować tych dziewięć czynników ryzyka, to liczba zawałów serca zmniejszyłaby się aż o 90 proc. – mówi prof. Piotr Jankowski, sekretarz zarządu PTK.

Niestety, mimo powszechnej wiedzy, co jest dobre, a co złe, aż 8–10 mln Polaków ma nadciśnienie, 60 proc. dorosłych – za wysoki poziom cholesterolu, 25 proc. – otyłość, a 25 proc. pali papierosy. Coraz mniej się ruszamy. – Mamy wrażenie, że coraz więcej osób jest aktywnych fizycznie, jeździ na rowerze, biega. Niestety, to nieprawda: z badań wynika, że aktywność fizyczna Polaków się zmniejsza – alarmuje prof. Jankowski.

KOS, KONS, trombektomia – to programy unikalne w skali świata. Jeśli jednak nie zmienimy naszych zwyczajów, to nie pomogą nam ani centra doskonałości, ani najnowocześniejsze metody leczenia. Codziennymi wyborami decydujemy o zdrowym sercu. A ono lubi, gdy o nie dbamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d95acbd8fa

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Kapelan lisowczyków

W roku 1620 kapelanem lisowczyków – polskich i litewskich żołnierzy lekkiej jazdy służących w Rzeszy i Czechach w czasie wojny trzydziestoletniej – został franciszkanin Wojciech Dębołęcki. Osobowość zgoła niepospolita, pasująca jednak jak ulał do środowiska banitów, hultajów i swawolników, dawnych wojaków Aleksandra Józefa Lisowskiego, teraz służących cesarzowi.

Dębołęcki, urodzony ok. 1575 r. w Konojadach, w rodzinie szlacheckiej, w 1598 r. wstąpił do zakonu franciszkanów, a w 1603 r. złożył profesję. Był potem kaznodzieją w Kaliszu, w 1617 r. gwardianem zakonu w Chełmnie, rok później przebywał w Wenecji i w Rzymie, gdzie zdobył sławę jako wybitny muzyk i kompozytor. Około 1625 r. wstąpił do Bractwa Żołnierki Chrześcijańskiej, w którym został „generałem społeczności wykupywania więźniów" z tureckiej niewoli.

Dębołęcki lub Dembołęcki napisał „Przewagi elearów polskich, co ich niegdyś lisowczykami zwano", wydaną w Poznaniu w 1623 r. kronikę polskich jeźdźców, dzieło ciekawe. Jednak przy okazji został niezwykłym wprost jak na wiek XVII farmazonem i facecjonistą – w tym przypadku historycznym. Twierdził np., że lisowczycy zaciągnięci zostali do służby przez Pana Boga, bez miary chwalił ich bojowe przewagi, pomijając łupiestwa i okrucieństwa, a także rabunki kościołów. „Przewagi elearów" to jednak cenne źródło historyczne, niepozbawione wisielczego humoru wymierzonego w protestantów; autor pisze np. z lubością, jak to po bitwie pod Białą Górą lisowczycy „szable we krwi kacerskiej ocierali, a gardła z kurzawy białogórskiej opłukiwali". Kolejne księgi franciszkanina wzbudzały powszechną wesołość, nawet wśród pisarzy i historyków.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Na największą uwagę zasługuje opublikowany przez Dębołęckiego w Warszawie w roku 1633 „Wywód jedynowłasnego państwa świata", w którym postanowił „odkłamać" historię Rzeczypospolitej. Twierdził więc, że Polacy są narodem wybranym, któremu dane jest panowanie nad światem, językiem polskim posługiwali się już... Adam i Ewa, a greka i łacina wywodziły się właśnie z „zepsutego" polskiego. Dla niedowiarków podawał od razu przykłady, aby nikt broń Boże nie pomyślał, że autor tak wiekopomnego dzieła konfabuluje. I tak słowo „Babilon" wywodziło się od polskiego „babiego łona", „Grek" – od słowa „grzeczny", „Gallus" – od „goły", a łacińskie „paradissus" od polskiej „pary dusz". Uważał i szeroko głosił, że język słowiański miał pochodzić od starożytnego syryjskiego, którym mówili Adam, Noe, Sem i Jafet (o Chamie, przodku chłopów, oczywiście nie wspominał), dlatego powinien być wywyższony nad inne języki.

Dębołęcki był także bodaj pierwszym polskim wieszczem narodowym – przepowiadał, że Rzeczpospolita zwycięży w walce z Turcją, a jej królowie zdobędą Ziemię Świętą, skąd będą rządzić całym światem. Sam zresztą udowadniał, że tron tegoż świata został dawno temu przeniesiony przez Scytów z Libanu do Korony Polskiej, więc Polacy – jako ich potomkowie – dziedziczą władzę polityczną nad wszystkimi nacjami na Ziemi.

Brat Wojciech miał także inne, bardziej przyziemne przywary, gdyż był niezłym birbantem i moczygębą w zakonnym habicie. Przez lata toczył spory ze starszyzną zakonu franciszkanów, ponieważ – jak głosiła wieść gminna – przepił i przehulał w zamtuzach pieniądze na wykup chrześcijan z bisurmańskiej niewoli. W celu oczyszczenia się z zarzutów musiał iść na pielgrzymkę do Rzymu, gdzie przebywał przez dwa lata, począwszy od 1630 r. Po powrocie był kaznodzieją konwentu lwowskiego i w dalszym ciągu toczył spory z przełożonymi zakonu. Ostatecznie, pogodzony ze współbraćmi, umarł w zaciszu klasztornym przed 1647 r.

A jak brzmiał tytuł jego wiekopomnego dzieła historycznego? Zostawiłem go na koniec, gdyż jest on zaiste barokowy:

Wywód jedynowłasnego państwa świata, w którym pokazuje ks. Wojciech Dembołęcki z Konojad Franciszkanin Doktor Theologiey świętej, a Generał społeczności wykupywania więźniów, że najstarodawniejsze w Europie Królestwo Polskie, lubo Scythyckie: samo tylko na świecie, ma prawdziwe successory: Jadama, Seta, Japheta; w panowaniu świata od Boga w Raju postanowionym, i że dlatego Polski Sarmatami zowią. A gwoli temu i to się pokazuje, że język słowiański pierwotny jest na świecie. Nie gań aż przeczytasz: bo wydany jest za pozwoleniem i przywilejem Jego Król. Mości: po przejrzeniu na to wysadzonych Theologów y Historyków. ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

Energiczne cięcie kosztów

Po wejściu w życie ustawy pozwalającej uniknąć podwyżek ceny energii elektrycznej koncerny energetyczne szukają oszczędności. Na pierwszy ogień idą wydatki na sponsoring i promocję

O połowę niższe wydatki na sponsoring w 2019 r. i wyraźną racjonalizację kosztów zapowiedział właśnie Tauron, jeden z czterech państwowych gigantów energetycznych. To m.in. efekt przyjętej pod koniec grudnia ustawy, która zamroziła ceny na energię elektryczną, dzięki czemu nie wzrosną rachunki za prąd. Jednak nie tylko o ustawę tu chodzi – Tauron już od jakiegoś czasu prowadzi politykę cięcia wydatków. Rezultaty widać w coraz lepszych wynikach finansowych: to pięcioprocentowy wzrost przychodów ze sprzedaży w pierwszej połowie 2018 r. (w porównaniu z pierwszym półroczem 2017 r.), które przekroczyły 9 mld zł oraz dwuprocentowy wzrost EBIDTA do poziomu 2,2 mld zł.

– Obecnie w Grupie TAURON trwa projektowanie planu działań sponsoringowych na kolejny rok. Znajdą się w nim wyłącznie projekty gwarantujące wypracowanie największego ekwiwalentu dla marki Tauron przy zachowaniu optymalnych kosztów – zapewnia Daniel Iwan, rzecznik prasowy Grupy Tauron.

Tym samym Tauron zamierza osiągnąć założone cele sprzedażowe i zwiększać rozpoznawalności marki za pomocą innych narzędzi. Jakich konkretnie? Dowiemy się już wkrótce.

OSZCZĘDNY BUDŻET

Na razie koncern zamierza mocniej skupić się na działaniach z zakresu zrównoważonego rozwoju i społecznej odpowiedzialności biznesu.

– Osią wszystkich działań w zakresie społecznej odpowiedzialności grupy jest bezpieczeństwo pojmowane nie tylko pod kątem zapewnienia niezawodności dostaw energii do klientów, lecz także m.in. w kontekście dbałości o otoczenie, zapewnienie bezpiecznych warunków pracy dla ponad 24 tys. pracowników Grupy czy ochrony danych ponad 5,4 mln klientów – dodaje rzecznik Taurona.

Te działania to np. autorskie akcje, takie jak Domy Pozytywnej Energii (projekt skierowany do domów dziecka) czy akcja edukacyjna Bezpieczniki TAURONA, ucząca m.in. o tym, jak powstaje prąd i jak się nim bezpiecznie posługiwać. Tauron od lat wspiera też Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratownicze. Zresztą na polu społecznej odpowiedzialności Tauron jest aktywny od lat, czego potwierdzeniem może być obecność koncernu w zestawieniu indeksu spółek odpowiedzialnych społecznie – RESPECT Index.

Podobnych ruchów rynek spodziewa się po pozostałych spółkach energetycznych – Enei, Enerdze i PGE. Ta ostatnia nie podaje szczegółów, ale jej przedstawiciele zapewniają, że budżet marketingowy Grupy PGE jest zawsze kształtowany w sposób oszczędny, aby uzyskać jak najlepsze rezultaty przy jednoczesnej dyscyplinie kosztowej.

– W tym roku również tak będzie. W określaniu działań promocyjnych spółka przestrzega prawa, a w szczególności dobrych praktyk sponsoringowych dla spółek Skarbu Państwa. Całość wydatków na marketing w Grupie PGE kształtowana jest również w zgodzie ze wskazaniami rady nadzorczej, reprezentującej akcjonariuszy – klaruje Maciej Szczepaniuk, zastępca dyrektora Departamentu Komunikacji Korporacyjnej w Grupie PGE.

PRZEGLĄD PROJEKTÓW

Natomiast Enea podjęła decyzję o dodatkowym przeglądzie projektów promocyjnych i sponsoringowych i rezygnacji z części zaplanowanych na ten rok inicjatyw.

– Sytuacja na rynku energii elektrycznej wymaga podjęcia działań i wysiłków na rzecz dalszego obniżania kosztów operacyjnych, w tym wydatków sponsoringowych i promocyjnych – podkreśla Mirosław Kowalik, prezes Enei. – Analizujemy nasze plany pod kątem ich dodatkowej optymalizacji kosztowej. Ograniczenie zaangażowania przygotowujemy w taki sposób, by jego skutki w jak najmniejszym stopniu wpłynęły na społeczności lokalne, do których głównie adresujemy nasze aktywności promocyjno-sponsoringowe – dodaje prezes Kowalik.

Magdalena Gryn

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl d95acbd8fa

KAWA SŁODKA JAK MIŁOŚĆ OD DOMINIKI ĆOSIĆ

Nie jestem perfekcyjną panią domu i dotyczy to także gotowania. Zdecydowanie wolę jeść, niż sama przyrządzać jedzenie (najbardziej lubię tradycyjne polskie dania, np. rosół, flaczki, placki ziemniaczane czy pierogi), zresztą na ogół nie mam też czasu na popisy w kuchni. Jeśli gotuję, to najprostsze potrawy, wymagające najmniej czasu i wysiłku. Na przykład zupy: pomidorową, ogórkową, kukurydzianą czy barszcz czerwony. Nie wiedzieć czemu na ogół każda zupa ma konsystencję gulaszu, ale przynajmniej jest bardzo dobrze przyprawiona i smaczna. Najczęściej robię coś na szybko, np. pomidory duszone z fetą i czosnkiem lub stek z pieprzem i cynamonem. Zdarza się, że wyszukuję w Internecie przepisy, ale najczęściej kończy się na ich czytaniu. Zapamiętałam jednak i czasem, zwłaszcza zimą, robię tzw. zupę syberyjską.

Do gotującej się wody w garnku po kolei, stopniowo, dodaję kilka ziemniaków dokładnie wymytych i wraz ze skórką pokrojonych w kostkę, kilka całych ząbków czosnku i kilka łyżek siemienia lnianego. Oczywiście trzeba doprawić mocno solą i pieprzem. Gotować do momentu, w którym ziemniaki będą już miękkie. Ponoć poprawia to odporność i przeciwdziała przeziębieniom.

Jako pół-Serbka lubię także kuchnię bałkańską (poza baraniną, której nigdy nie jem), ale także bardziej jako konsument niż producent. Polecam jednak przy tej okazji przepis na tradycyjną, naprawdę stawiającą na nogi kawę.

FOT. ARCHIWUM DOMINIKI ĆOSIĆ

Kawa po bałkańsku

Oczywiście najlepiej przyrządzać ją w mosiężnej dżezwie. Do zimnej wody wsypujemy, w zależności od potrzeb, 2–3 łyżeczki zmielonej kawy. Gotujemy powoli, zbierając pianę i przekładając ją do filiżanki. Dodajemy cukier. Gdy kawa zaczyna wrzeć, dolewamy trochę zimnej wody i znów pianę przekładamy do filiżanki. Dopiero po drugim wrzeniu przelewamy całość do filiżanki. Serbowie mówią, że kawa powinna być czarna jak noc, gorąca, mocna i słodka jak miłość – taka właśnie jest ta kawa! ©℗

Dominika Ćosić jest dziennikarką, korespondentką TVP w Brukseli.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Pogadamy na fejsie

Życie towarzyskie upada… ludzie nie zapraszają, wolą iść do knajpy, niż zrobić kolację w domu – poskarżył się znajomy. – Jak myśmy to wszystko robili w PRL-u, kiedy w sklepach z trudem można było dopaść kawałek chabaniny, a jak się już dopadło, to trzeba było to wszystko przytargać do domu? Ale wtedy ludzie się bawili...".

Jest to twierdzenie z kategorii „dawniej pogoda była ładniejsza, a dzieci grzeczniejsze", ale faktem jest, że życie towarzyskie w domach jakoś podupadło. Mieszkania lepsze, standard życia też nie taki znów niski, tylko nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio byłam do skarżącego się znajomego zaproszona.

FOT. ADOBE STOCK

Moje pokolenie zaczynało samodzielne życie w małych mieszkaniach, a mimo tego imprezy były częste i huczne. To ostatnie niestety także w dosłownym sensie, ku utrapieniu sąsiadów. W kłębach dymu papierosów Carmen (w najlepszym razie) lub sportów radomskich (w gorszym) towarzystwo tłoczyło się w kuchniach na powierzchni nie większej niż 6 mkw. Za popielniczki służyły brudne szklanki i talerze z zastygłą resztką bigosu. Do picia było wino Egri bikavér w najlepszym razie, a w gorszym Gellala, do jedzenia to, co się udało zdobyć. Nikt się nie wysilał na elegancką kuchnię. Czasy foodies, kulinarnych show i miliona książek kucharskich były jeszcze przed nami.

Nie wszyscy nasi rówieśnicy załapali się na mieszkania, wynająć było trudno i drogo, w latach 80. wielu 30-latków z już nawet sporo podrośniętymi dziećmi mieszkało jeszcze z rodzicami. I nie zawsze starszych państwa udawało się posłać do kina. Czasem więc, ku zdziwieniu rozbawionych imprezowiczów, kuluarami przemykał się ukryty gdzieś w zakamarkach domu tatuś, którego potrzeba fizjologiczna wygoniła do łazienki. Musiał się, biedak, przeciskać wśród alkoholowych oparów i niezbyt trzeźwych gości.

Dzisiaj życie towarzyskie i gastronomiczne prowadzi się na Facebooku i Instagramie. O ileż prościej! Nie wymaga wydatków, dźwigania ciężarów ani gotowania. Może odbywać się bezproblemowo, szczególnie jeśli naszymi znajomymi są ludzie z tego samego co my plemienia politycznego. Pogadamy sobie na fejsie, wymienimy poglądy. Po co aż się zapraszać? Tylko kłopoty i ekspensa. Ubrać się, kupić kwiaty, przebrnąć przez korki... Zamiast gotować gary jedzenia dla tłumu, można zademonstrować estetyczne danie nouvelle cuisine, które przygotowało się dla dwóch osób i zjadło w tym samym gronie.

Nie lepiej obejrzeć serial na Netflixie? ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

MocArty
RMF CLASSIC
2018

RMF Classic

Wejdź na
www.rmfclassic.pl

Zagłosuj i wygraj zaproszenia na Galę Finałową oraz wiele innych cennych nagród!

eprasa.pl d95acbd8fa

Czas inwestycji

To wyjątkowy czas dla polskich kolei – dzięki stabilnej sytuacji finansowej i pozyskaniu funduszy zewnętrznych Grupa PKP realizuje największy w historii program inwestycyjny

Trzy dni przed końcem ubiegłego roku, dokładnie 28 grudnia, Centrum Unijnych Projektów Transportowych PKP S.A. podpisało siedem umów na łączną kwotę 605 mln. Pozyskane w większości z unijnego budżetu pieniądze pójdą na modernizację i budowę 59 dworców. Wspomniane umowy to element Programu Inwestycji Dworcowych na lata 2016–2023, pierwszego tak dużego programu dworcowego w historii polskiej kolei. W tym czasie spółka zamierza zmodernizować lub wybudować od podstaw ok. 200 obiektów na terenie całej Polski. Wartość całego programu szacowana jest na ok. 1,5 mld zł. Podstawowym źródłem finansowania będą fundusze unijne, m.in. z takich programów jak Polska Wschodnia, Program Infrastruktura i Środowisko czy Regionalne Programy Operacyjne. Pozostałe ok. 35 proc. środków mają zapewnić budżet państwa i sama kolej. W efekcie PKP zyska obiekty dworcowe na miarę XXI w. – funkcjonalne i nowoczesne. Jak będą wyglądać – widać na przykładzie budynków oddanych do użytku w ub.r. w: Jaworze, Strzelinie, Poznaniu (Dworzec Zachodni i Poznań-Garbary), Żarowie, Siechnicach, Świętej Katarzynie i Smardzowie Wrocławskim.

– PKP S.A. realizuje inwestycje na niespotykaną wcześniej skalę. Kluczowy dla spółki Program Inwestycji Dworcowych na lata 2016–2023 ma celu przede wszystkim poprawę jakości obsługi podróżnych z mniejszych miejscowości, pomijanych we wcześniejszych planach inwestycyjnych – mówi Krzysztof Mamiński, prezes zarządu PKP S.A.

INNOWACYJNE DWORCE SYSTEMOWE

Zakwalifikowane do modernizacji budynki będą dostosowywane do potrzeb wszystkich grup podróżnych, także niepełnosprawnych, dla których przewidziano takie udogodnienia jak: windy, pochylnie, tablice multisensoryczne, ścieżki prowadzące dla osób niewidomych i niedowidzących, oznaczenia z alfabecie Braille'a czy usługa asysty. W przypadku nowo budowanych obiektów nie sposób nie wspomnieć tu o autorskich projektach PKP – Innowacyjnych Dworcach Systemowych. IDS-y to nowe parterowe budynki z ekologicznymi rozwiązaniami (np. panele fotowoltaiczne, odzysk wody deszczowej do spłukiwania toalet, oświetlenie LED, pompy ciepła). W ramach Programu Inwestycji Dworcowych 2016–2023 powstanie ich ok. 40. PKP pracują też nad innowacjami, które mają zwiększać efektywność eksploatacyjną dworców. Jedną z takich innowacji jest system inteligentnego zarządzania budynkiem (ang. BMS – Building Management System), integrujący ze sobą dworcowe instalacje, takie jak: wentylacja, klimatyzacja, węzły ciepła, zasilanie, oświetlenie, fotowoltaika, media (liczniki energii, wody, ciepła) czy schody ruchome. Działaniem nakierowanym na innowacje jest też uruchomienie przy wybranych dworcach, do których należą Katowice, Katowice-Ligota, Gliwice i Częstochowa, stacji do ładowania samochodów elektrycznych. Docelowo stacje te będą mogły stanowić bazę dla usługi e-carsharingu, umożliwiając pasażerowi wypożyczenie lub pozostawienie samochodu elektrycznego.

SZYBKO I WYGODNIE NA KAŻDYM ETAPIE PODRÓŻY

Kompleksowy program inwestycyjny Grupy PKP ma w założeniu zapewnić pasażerom wysoką jakości usług na każdym etapie podróży: od nowoczesnych dworców poprzez krótszy czas przejazdu dzięki modernizowanym liniom kolejowym do komfortowych pociągów.

Szybsze i bezpieczniejsze podróże pociągiem zapewni realizowany przez PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. największy w historii Krajowy Program Kolejowy, w którym znajduje się ponad 220 projektów o wartości ponad 66 mld zł. Do 2023 r.

eprasa.pl d95acbd8fa

FOT. MARCIN ZIEBA

PLK obejmą pracami 9 tys. km torów, z czego 8,5 tys. km zostanie dostosowanych do wyższych prędkości. Ośrodki o znaczeniu wojewódzkim zyskują połączenia o średniej prędkości 100 km/godz. Efekty prac dla podróżnych to krótsze podróże pociągiem oraz komfortowe stacje i przystanki dostosowane do potrzeb osób o ograniczonych możliwościach poruszania się. Na torach będzie jeszcze bezpieczniej, m.in. dzięki budowie bezkolizyjnych skrzyżowań i przebudowie przejazdów kolejowo-drogowych. Prowadzone są inwestycje, które służą poprawie przewozów towarowych. To oznacza mniej ciężarówek na drogach, mniejsze korki, a tym samym większe korzyści dla środowiska.

Jednocześnie w województwach powstają coraz lepsze połączenia i tym samym tworzy się spójna sieć kolejowa. Na tych zmianach zyskują pasażerowie kolei i nadawcy ładunków – zauważa Ireneusz Merchel, prezes zarządu PKP Polskie Linie Kolejowe S.A.

Komfortową podróż zapewnią pasażerom także inwestycje w tabor, bo PKP InterCity realizują największy w historii program inwestycyjny o wartości 7 mld zł: „PKP InterCity – Kolej Dużych Inwestycji". Tylko w 2018 r. spółka podpisała lub rozszerzyła umowy na zakup i unowocześnianie taboru na łącznie ponad 2 mld zł. W ramach tej strategii spółka docelowo zmodernizuje ponad 700 wagonów i kupi 185 nowych, a także zostanie zakupionych 19 nowych elektrycznych zespołów trakcyjnych, 14 zaś zostanie zmodernizowanych. Ponadto PKP InterCity kupią 118 lokomotyw elektrycznych oraz spalinowych, a także zmodernizują blisko 200 lokomotyw elektrycznych i spalinowych. Dzięki temu po 2023 r. blisko 80 proc. połączeń realizowanych przez PKP InterCity będzie obsługiwanych przez nowe lub zmodernizowane tabory.

Jak zapewniają przedstawiciele Grupy PKP, na programie skorzystają wszyscy pasażerowie, ponieważ skład PKP InterCity będzie dostosowany do potrzeb różnych grup pasażerów. Zyskają też polscy producenci, m.in. PESA Bydgoszcz, Fabryka Pojazdów Szynowych H. Cegielski, Newag, dzięki czemu nakłady PKP InterCity przyczynią się do rozwoju polskiej gospodarki.

INNOWACJE I WYZWANIA

Stałe podnoszenie jakości świadczonych usług oraz rozwój siatki połączeń krajowych i międzynarodowych przekładają się na wzrost liczby pasażerów. W 2018 r. PKP InterCity przewiozła ponad 46 mln osób, co oznacza 8-procentowy wzrost liczby podróżnych w stosunku do roku poprzedniego. Branża kolejowa, w tym PKP InterCity S.A., w ostatnich latach bardzo intensywnie się rozwija, realizując historyczne inwestycje, podnosząc na co dzień jakość świadczonych usług, dążąc w kierunku innowacyjności, wskazując kierunki na przyszłość – te zmiany doceniają pasażerowie, którzy coraz liczniej korzystają z naszych połączeń – mówi prezes PKP InterCity Marek Chraniuk.

Najbliższe lata to czas nowych wyzwań stojących przed polskimi kolejami. Czeka je bowiem wdrożenie liberalizującego rynek przewozów pasażerskich czwartego pakietu kolejowego, w którym PKP widzą szansę na jeszcze intensywniejszy rozwój połączeń i zbudowanie pozycji marki na arenie międzynarodowej. Duże nadzieje grupa wiąże też z budową Centralnego Portu Komunikacyjnego, do którego już teraz intensywnie się przygotowuje, planując zakup innowacyjnych składów zespolonych, w których podróżni będą mogli nadać swój bagaż i odprawić się przed lotem.

– PKP InterCity potrzebują pojazdów innowacyjnych i niezawodnych, nowoczesnych i odpowiadających potrzebom podróżnych, zdolnych poruszać się z prędkością nawet 250 km/godz., łatwo dających się konfigurować. Dzięki współpracy z takimi partnerami jak Narodowe Centrum Badań i Rozwoju oraz z polskimi producentami stworzymy pojazdy, z których pasażerowie będą chętnie korzystali – dodaje rzeczniczka PKP InterCity.

Kolejarze myślą też o rozwijaniu rynku przewozów towarowych. PKP CARGO S.A. inwestuje zwłaszcza w sektor intermodalny. Rada nadzorcza spółki zaakceptowała skorzystanie przez przewoźnika z opcji zakupu pięciu lokomotyw Vectron, które będą prowadzić pociągi w międzynarodowym korytarzu transportowym północ-południe, który łączy Morze Bałtyckie z Adriatykiem i Morzem Czarnym. To kontynuacja umowy z 2015 r., gdy przewoźnik nabył 15 takich pojazdów. – Kupując wielosystemowe lokomotywy Vectron, realizujemy strategię rozwoju Grupy PKP CARGO, której jednym z celów jest zdobycie przez nas pozycji lidera na rynku państw Trójmorza, przez które przebiega europejski korytarz północ-południe – podkreśla Czesław Warsewicz, prezes PKP CARGO S.A. I dodaje, że nabycie nowych lokomotyw to odpowiedź przewoźnika na oczekiwania rynku, gdyż przewozy intermodalne dynamicznie rosną od kilku lat, w tempie dwucyfrowym. Koszt tej inwestycji to 112 mln zł.

Ponadto Grupa PKP CARGO kupi prawie 1 tys. platform intermodalnych: 936 platform do przewozu kontenerów w połączeniach krajowych między portami morskimi a terminalami lądowymi – ten zakup ma kosztować 451,5 mln zł, oraz 220 platform do realizowania połączeń międzynarodowych za ok. 115 mln zł.

Rozwój przewozów intermodalnych, zwłaszcza z kierunku wschodniego (Nowy Jedwabny Szlak), wymusza także rozbudowę terminala w Małaszewiczach, przy granicy z Białorusią. Za 32 mln zł uda się wykonać prace budowlane i kupić nowe maszyny przeładunkowe, żeby obsłużyć kilka razy więcej pociągów z Chin, Rosji i Białorusi, niż to ma miejsce teraz.

eprasa.pl d95acbd8fa

JUBILEUSZOWY MODEL LINCOLNA JUŻ WYPRZEDANY

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Lincoln, luksusowa marka w koncernie Ford Motor Company, sprzedała wszystkie 80 egzemplarzy modelu 80th Anniversary Continental Coach Door Edition zaledwie miesiąc po tym, jak w Internecie udostępniono zdjęcia limuzyny. Charakterystyczną cechą kosztującego ponad 110 tys. dol. auta są drzwi otwierane w przeciwnych kierunkach i zamykane elektronicznie. Bogaci prezesi nie będą musieli po nie sięgać. Pod maską auta pracuje trzylitrowy silnik V6 o mocy 406 KM. Klienci, którzy kupili nowe limuzyny, na ich dostawę poczekają co najmniej kilka miesięcy. Pierwsze egzemplarze mają do nich trafić latem obecnego roku.

ELEKTRYCZNA SZWECJA

Władze Szwecji podjęły decyzję o wprowadzeniu zakazu sprzedaży nowych samochodów z tradycyjnymi silnikami spalinowymi. Jak ogłosił premier Stefan Löfven, zakaz ma wejść w życie w roku 2030. Do tego czasu władze w Sztokholmie mają znacząco rozwinąć infrastrukturę służącą do ładowania samochodów bezemisyjnych. W sąsiedniej Norwegii podobny zakaz ma wejść w życie już w 2025 r. Z kolei władze Danii zapowiedziały, że od 2030 r. w ich kraju nie będzie można kupić nowego samochodu z jednostkami Diesla. Wprowadzenie zakazu sprzedaży aut z silnikami spalinowymi zapowiedziały już też: Francja, Holandia, Irlandia, Islandia i Wielka Brytania.

REWOLUCJA NA NIEMIECKICH AUTOSTRADACH

Niemcy są jedynym państwem na świecie, w którym przeważnie na autostradach nie ma żadnych limitów prędkości. Obecne władze w Berlinie chciałyby jednak, aby od 2023 r. na wszystkich autostradach obowiązywało ograniczenie prędkości do 130 km/godz. Powód? Rządowa walka z zanieczyszczeniami powietrza. Wprowadzenie limitu prędkości ma doprowadzić do redukcji emisji spalin i pomóc w walce ze zmianami klimatu. Jednocześnie Niemcy rozważają podwyżkę podatków na paliwa, zlikwidowanie wszystkich ulg podatkowych na zakup samochodów z silnikiem Diesla, a także wprowadzenie ulg na samochody elektryczne i hybrydowe. Decyzję co do zastosowanych rozwiązań władze w Berlinie podejmą zapewne najwcześniej w marcu. Już teraz pewne jest zaś, że od października przyszłego roku niemieckie autostrady staną się płatne.

CHEVROLET JAK BUGATTI

334 554 klocki i ponad 2 tys. godzin pracy potrzeba było, aby z klocków Lego zbudować czerwonego pick-upa Silverado 1500 LT Trailboss w skali 1:1. W wymarzonej zabawce małych i dużych chłopców – o długości 6 m, szerokości 2,43 m i wysokości 1,8 m – dzięki zastosowaniu elektrycznych silniczków Lego Technica da się zapalić reflektory. Niestety, ważące 1,5 t auto nie jeździ. Wcześniej z klocków Lego zbudowano m.in. zabawkową wersję Bugatti Chirona. Ułożona z ponad miliona klocków Lego Technic i 2304 silniczków o łącznej mocy 5,3 KM rozpędza auto zabawkę do 20 km/godz. Oryginalny Chiron ma silnik o mocy 1,5 tys. KM i potrafi rozwinąć prędkość nawet 420 km/godz. ©℗

opracował Jacek Przybylski

eprasa.pl d95acbd8fa

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl d95acbd8fa

SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kultura władzy

Stało się! Paweł Lisicki „nakazał" pisać mi tutaj co miesiąc! O wszystkim! Najpierw pomyślałem sobie, że skoro o wszystkim, to o niczym, ale później zreflektowałem się, że to świetny pomysł. Lubię małe formy publicystyczne. Będę więc pisał o wszystkim, nie zakładając z góry jednorodnej formy przekazu.

Premierowy tekst Andrzeja Nowaka w tej rubryce, poświęcony obchodom 100-lecia odzyskania niepodległości (których nie uważam za sukces), przypomniał mi o 90. rocznicy urodzin Anny Walentynowicz i ogłoszeniu przez Sejm RP roku 2019 Rokiem „Anny Solidarność". Na myśl przyszły mi słowa esbeków, którzy uwięzionej pani Ani powiedzieli w styczniu 1984 r.: „Wałęsa już jest w encyklopedii, a pani tam nie ma i nigdy nie będzie. Wiedzieliśmy o tym już w 1980 r.". Encyklopedie przeszły do lamusa; ten, który miał w nich być na stałe, okazał się płatnym kapusiem, którego akta po 1989 r. sprywatyzował szef tajnych służb; Walentynowicz zaś ma swoje pomniki, tablice, biografie… I szacunek wielu Polaków. W roku Anny Walentynowicz mógłby powstać o niej film dokumentalny lub fabularny. Powinien, ale nie powstanie, bo dobra zmiana w telewizji, instytutach i innych urzędach takich przedsięwzięć zaplanować nie potrafi, nie mówiąc już o wykonaniu ani spójnej wizji walki o pamięć.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Wizja – no właśnie! Pochylając się w ostatnich tygodniach nad „Kiszczak papers", czyli spuścizną archiwalną po Czesławie Kiszczaku, zdałem sobie sprawę, że on to dopiero miał wizję! Szef wszystkich – cywilnych i wojskowych – tajnych służb w latach 1981–1990 zdawał sobie sprawę z tego, że aby skutecznie i trwale rządzić, konieczna jest transmisja wpływów w szeroko pojętym świecie kultury i nauki. Doceniał to jak żaden inny czekista, inwestując nawet – pewnie w tym przypadku nie do końca świadomie – w swoją przyszłość i wizerunek już w III RP. Myślałem kiedyś, że pasem transmisyjnym Kiszczaka do „świata kultury" był gen. Krzysztof Majchrowski, który prowadząc przez lata swoich agentów-literatów, tak pokochał swój „obiekt" zainteresowania, że sam – pod pseudonimem – publikował na łamach „Literatury" czy „Kultury" (nieparyskiej).

Nic bardziej mylnego! To Kiszczak okazał się – w oczach adresatów – takim miłośnikiem i znawcą literatury pięknej, gry aktorskiej, filmu i teatru, że całkiem pokaźna grupa społeczności reprezentującej kulturę wysoką (o solidarnościowych korzeniach) zobaczyła w nim swego przyjaciela i protektora (nie tylko mogącego przyznać paszport). Dzięki temu spojrzałem inaczej na jego żonę – Marię, która uchodzi w mediach niemal wyłącznie za wariatkę, a przecież „robiła" też „w kulturze i literaturze". Jej rola w docenieniu przez męża-generała sfery kultury, którą być może najpełniej z bolszewików doceniali Stalin z Berią, wydaje się istotna. Fenomen Kiszczaka jeszcze niejeden raz nas zaskoczy. W każdym razie Kiszczak w moich oczach urasta do miana nad-Jaruzelskiego! Także ze względu na to, że rozumiał, iż na dłuższą metę nie da się rządzić bez własnego zastępu klakierów i potakiwaczy z teatru, filmu, ze scen muzycznych, z kolorowych stacji, jeszcze bardziej kolorowych gazet i portali. Bez kultury (masowej i obrazkowej) nie da się, i już! Dlatego dzisiaj tabuny pierwszoligowych artystów nie znoszą „Kaczora", a o polskim Berii mówią z szacunkiem… Że transformacja pokojowa, odpowiedzialność, konstruktywizm, opór wobec twardogłowych we własnych szeregach…

„Pragnę wyrazić mój najgłębszy szacunek dla tych, którzy decydują dziś o losach naszej Ojczyzny. Ich mądrość i umiarkowanie są godne najwyższego podziwu. Podziwu tym większego, jeśli chodzi o tych działaczy, od których wymagało to historycznego zwrotu i wewnętrznej przemiany. Zdolnym do tego może być tylko wielki polityk. Polityk-obywatel. Obywatel, który traktuje politykę jako służbę społeczeństwu. Radością napawa mnie fakt, że w Pańskiej pracy, jak i w Pańskim liście odnajduję echa powyżej opisanej postawy" – napisał 19 lutego 1990 r. w odręcznym liście (wszystko wielkimi literami!) do generała sam Andrzej Seweryn.

Koleżka Seweryna rzucił kiedyś w stronę dziennikarza: „Odpieprz się od generała!", mając na myśli Jaruzelskiego. Innym razem ten sam koleżka mówił o Kiszczaku, że to „człowiek honoru", czyli w gruncie rzeczy znów powtórzył te swoje: „Odpieprz się od generała!". Zastanawiam się wciąż, czy nie naśladował komisarza Berii, który zwracając się do pewnego towarzysza, rzucił: „Co się tak przypier...liście do towarzysza Josifa Wissarionowicza? Dobrze wam radzę, odpier... się od niego, bo będzie z wami źle!". ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Ech, zamiast podlewać, kastrują...

A niby mówią, że ładnym kobietom to jest łatwiej w życiu. Akurat, a gdzie tam! Weźmy np. dwie ładne kobiety w kolorze blond widywane koło prezesa Narodowego Banku Polskiego. Im jest ciężko właśnie z powodu urody połączonej z osiągnięciami wymiernymi. Ciężko pracują w banku, są wykształcone i zarabiają sobie tam pieniążki za ciężką pracę, co już napisałem, ale warto powtórzyć. Niektórzy mówią, że panie zarabiają jakieś 65 tys. zł miesięcznie około na głowę. Można przeżyć, o ile nie szasta się groszem, naturalnie.

Te dwie panie są skromne i się po prostu nie przechwalają, ile zarabiają, bo pieniądze lubią ciszę, a w ogóle to może są też takie panie, które zarabiają mniej niż 65 tys. miesięcznie, i po co mają mieć dyskomfort? Więc się nie przechwalają, tylko sobie ciężko pracują po cichu.

No, ale zazdrośnikom, zawistnikom zawsze niedobrze! Zawsze żeby innym dopiec i za nogi na łez padół ściągnąć. I oni teraz uchwalają takie prawo, że prezes NBP ma wszystkich informować, ile jego pracownice zarabiają, i że nie mogą zarabiać tyle co on, a muszą mniej. No gdzie tu sprawiedliwość? Przecież wiadomo tak ogólnie, że dobry szef to mało pracuje albo wcale, bo on ma obowiązki. Dobry szef od pracy ma ludzi, a za pracę ciężko pracujący pracownicy powinni zarabiać ciężki grosz, a tu ciężkie tylko kamienie pod nogi.

Dużo te dwie kobiety (chciałem napisać „biedne", ale jakoś się powstrzymałem) spotkało krzywdy od innych. Na przykład „Gazeta Wyborcza" dała tytuł w ich sprawie: „Dwórki! Sio!", co jest czystym językiem nienawiści, dyskryminacją ze względu na płeć, nawoływaniem do wypędzeń i przemocy. Tak robić nie można, chyba że „Gazecie Wyborczej". Jej można, bo ona zawsze ma dobre intencje. Tak słyszałem. Słuch mi siada, ale nie o to chodzi.

Chodzi o to, że to jest zła droga tej partii wiodącej, która ustawą chce ograniczyć zarobki kobiet w kolorze blond i w ogóle w innych kolorach też. Przecież ustawą można inaczej, bez zawiści, bez zazdrości, bez niechęci. Można pozytywnie. Na przykład, że kobiety niezależnie od koloru mają zarabiać po 65 tys. zł albo, żeby się budżet spiął, to po jakieś 60, no i od razu takiego szoku nie miały, że z 3 na 65 tys. Łyżeczką, małe kroki na wielkie góry, na pewno i tymi 60 tys. niektóre kobiety by się zadowoliły. Tak myślę.

I co? Trudno tak ustawę napisać? Można, tylko trzeba pozytywnie myśleć. Nie kastrować, tylko podlewać ludzkie szczęście, żeby Polska rosła w siłę, a obywatelkom żyło się dostatniej. Ale cóż, gdzieś tam brzęczą jednak słowa Bertranda Russella: „Gdyby ludzie pragnęli własnego szczęścia bardziej niż nieszczęścia innych, moglibyśmy niebawem mieć raj na ziemi". ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Programowanie moralności

Jakie płatki śniadaniowe wybierzesz? Jaką płytę kupisz? Na jaki kolor ufarbujesz włosy? Czy pociągniesz za spust? Zabijesz człowieka? Poświęcisz się dla czyjegoś dobra, a może wybierzesz drogę na skróty, zamiatając pod dywan własną bierność? Pytania można mnożyć i z banalnych przechodzić stopniowo do kwestii egzystencjalnych oraz eschatologicznych – o istnienie Boga, granice człowieczeństwa, definicję świadomości, stosunek do obcych.

Coraz częściej współczesna popkultura (scenariusz gry komputerowej czy interaktywnego serialu) chce, abyś ty – widzu i graczu – nie tylko biernie śledził losy bohaterów, lecz także czuł razem z nimi. Był nimi, brał odpowiedzialność za ich wybory. Pod sam koniec roku 2018 przypomniał o tym film Charliego Brookera „Bandersnatch", połączony fabularnie z dystopijnym serialem SF pt. „Czarne lustro". Tam, tylko za pomocą pilota, kreśliliśmy ścieżki, którymi poruszał się Stefan – introwertyczny programista z lat 80., do geniuszu zmierzający po trupach. Tym jednak, co w „Bandersnatchu" zaskakiwało i sprawiło, że stał się czymś więcej niż dodatkiem do leniwego wieczoru oraz popcornu, był fakt, że w miarę nawarstwiania się kolejnych dramatycznych decyzji widza Stefan zaczynał się orientować, że ktoś nim steruje. Zyskiwał samoświadomość, przełamując barierę tzw. czwartej ściany – niewidzialnej granicy separującej aktora od widza. Zupełnie wprost mogliśmy mu zakomunikować, że odpowiadamy za jego losy w Netflixie, a on sam jest częścią filmu. W ten sposób „Czarne lustro" zaczęło odbijać również nasze oblicze. To my zaczęliśmy mieć krew na rękach, a nie Stefan, który zrozumiał, że został zabawką w czyichś rękach.

W grze „Detroit. Become Human" system rozgałęziających się konsekwencji opracowano do perfekcji, a na koniec każdego z epizodów, podczas których sterujemy ruchami emancypujących się androidów, możemy prześledzić alternatywne drogi rozwoju sytuacji oraz globalne statystyki. Ile osób w tej samej sytuacji poświęciło małą dziewczynkę, a komu wydawało się rozsądne, aby zaatakować napastnika, zasłaniając ją własnym ciałem? W pewnym momencie gra proponuje nam nawet wypełnienie ankiety, w której pyta wprost: czy wierzysz w Boga, ile czasu spędzasz przed telefonem komórkowym. Większość graczy nie wierzy, a 80 proc. przy telefonie spędza „cztery godziny lub więcej". Co to o nas mówi? Kto czyta te dane? Jakie wnioski z nich wyciąga? Czy utylitaryzm i moralna intuicja większości będą wpływały na programowanie zachowań autonomicznych samochodów w sytuacji wyboru mniejszego zła – potrącić dwóch dorosłych czy jedno dziecko? Na te pytania już dzisiaj musimy zacząć sobie udzielać konkretnych odpowiedzi, aby nie być zaskoczonym jak Stefan, że robi to za nas ktoś inny. ©℗

eprasa.pl d95acbd8fa

OKIEM BLOGERKI

Walka pozorna

KATARYNA

ART. 257 KODEKSU KARNEGO: ***Kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości lub z takich powodów narusza nietykalność cielesną innej osoby, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.***

Po zabójstwie Pawła Adamowicza Rzecznik Praw Obywatelskich przedstawił 20 rekomendacji do skuteczniejszej walki z „mową nienawiści", począwszy od prawnego jej zdefiniowania. Osobiście nie mam pewności, czy powinniśmy wprowadzać nowe narzędzia prawne, gdy nie chcemy lub nie potrafimy korzystać z tych, które już mamy. Obawiam się też prób penalizowania czegoś tak nieostrego jak „mowa nienawiści", ale z pewnością jest o czym rozmawiać.

I tak wszystko rozbija się o to, czy rasista jest nasz

Zajmę się tylko jednym, pierwszym na liście postulatem rzecznika. Adam Bodnar postuluje nowelizację niektórych przepisów Kodeksu karnego – w tym tego, który przytaczam na wstępie – „pod kątem penalizacji czynów popełnionych wobec innych grup mniejszościowych, narażonych na dyskryminację, w szczególności osób LGBT oraz osób z niepełnosprawnością". Nie jestem przekonana do tego postulatu, niewiele znam przypadków nawoływania do nienawiści wobec osób z niepełnosprawnością, ale skoro one miałyby się znaleźć w tym artykule, to dlaczego nie inne grupy dużo częściej padające ofiarami mowy nienawiści?

Dużo częściej niż osoby z niepełnosprawnością ofiarą mowy nienawiści padają przecież dzisiaj politycy i wyborcy poszczególnych partii czy szerzej – osoby o wyrazistych poglądach na któryś z kontrowersyjnych tematów. „Feminazistki" chcące zabijać dzieci. „Katofaszyści" chcący piekła kobiet. Jeśli koniecznie chcemy rozszerzać listę osób szczególnie chronionych przed publicznym znieważaniem, to trzeba ją będzie rozszerzyć dużo bardziej, niż to postuluje rzecznik. Tyle że to i tak nic nie zmieni.

W 2015 r. prokuratura z tego właśnie artykułu postawiła zarzuty Kubie Wojewódzkiemu za wspólne z Michałem Figurskim chore żarty o gwałceniu Ukrainek, i nie był to jedyny raz, kiedy nad „poczuciem humoru" ulubieńca salonów pochyliły się sądy, uznając treści z jego audycji za rasistowskie. Wydawać by się mogło, że postawienie zarzutów i sądowe rozstrzygnięcia w tak delikatnych sprawach jak ksenofobia i rasizm powinny wpłynąć na pozycję i popularność celebryty, ale jakoś nie pamiętam, żeby ktoś po tym ogłosił bojkot jego programów. Ani dyżurni antyrasiści, ani dyżurne feministki. I na pewno nikt z dzisiaj moralnie wzmożonych.

Za to gdy rok temu ten sam Kuba Wojewódzki do swojego programu zaprosił Tomasza Adamka, został w „Wysokich Obcasach" ostro za to skrytykowany przez Sylwię Chutnik, bo „zapraszanie takich osób jak Tomasz Adamek do programów rozrywkowych daje przyzwolenie na szerzenie rasizmu". Tak, zapraszanie Adamka do Wojewódzkiego, a nie fakt, że rasistowskie żarty Wojewódzkiego nie zagroziły jego medialnej pozycji. Jaki jest więc sens gmerania w Kodeksie karnym, jeśli i tak wszystko rozbija się o to, czy rasista jest nasz – a więc zabawnie prowokujący – czy nie nasz – a więc do pilnego wsadzenia? Po co się głowić nad definicją „mowy nienawiści", gdy ta jest oczywista i stosowana z powodzeniem przez każdą ze stron. Mowa nienawiści to gdy oni o nas. Gdy my o nich, wtedy to tylko krytyka. Ewentualnie satyra. Ostatecznie sztuka. ©℗

PODSŁUCHANE

Coś trzeba zrobić

Piotr, może napij się kieliszeczek? Taką nalewkę tu mam. Bo jakiś taki jakby podenerwowany jesteś.
Ja? Nie, no skąd. Ale napić to bym się napił.
Pokazali mi ten twój wywiad u Mazurka. Słuchaj, coś z tym trzeba zrobić.
Tak, Jarku, absolutnie, zgadzam się. Musimy wrócić do repolonizacji, to tak nie może wyglądać, że sobie będą pytać, o co chcą.
Jakiej repolonizacji? Co ty chcesz, żeby nam tu znowu te Timmermansy i Tuski na głowy wsiadły? A potem kolejne wycofanie się na z góry upatrzone pozycje? Dość mieliśmy takich odwrotów. Z tobą coś trzeba zrobić.
Ale... jak to?
Tak to. Ja na przykład tylko tam chodzę, gdzie mnie nikt nie zaskoczy. Więc albo przestań chodzić do Mazurka, skoro tak na ciebie działa...
To wtedy Mazurek powie, że się boję.
... albo jakoś spokojniej reaguj.
Kiedy on...
Piotr, opanuj się, bo rozlejesz, a to dobra nalewka jest. Jak już musisz wyjść w trakcie rozmowy, to coś lepszego wymyśl, życiowego takiego.
Ale że co na przykład?
Że czajnik zostawiłeś na gazie. To się zawsze sprawdza. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Panie Zybertowicz, jakim prawem w programie telewizyjnym u p. Olejnik w dniu 24.01.2019 r. ubliżasz mi i pomawiasz mnie publicznie?".

LECH WAŁĘSA *na Twitterze po słowach o tym, że był płatnym donosicielem Służby Bezpieczeństwa*

eprasa.pl d95acbd8fa

Refleksja o sporcie

fot. Jerzy Gumowski

Ponieważ jestem ciężko uwrażliwiony na niesprawiedliwość, poruszył mnie — może nie tyle zniesmaczył, ile negatywnie zbulwersował — werdykt czytelników i widzów, którzy w tradycyjnym Plebiscycie **„Przeglądu Sportowego”** (wyniki ogłoszono 5 stycznia, na Gali Mistrzów Sportu 2019 transmitowanej przez Telewizję Polsat) wybrali Sportowcem Roku 2018 siatkarza Bartosza Kurka (złotego medalistę Mistrzostw Świata), a nie skoczka narciarskiego Kamila Stocha (złotego medalistę olimpijskiego z Pjongczangu, triumfatora Pucharu Świata, zwycięzcę wszystkich konkursów Turnieju Czterech Skoczni), dano mu drugie miejsce. Które jest taką samą kpiną (lub większą) jak siódme miejsce niezrównanej Anity Włodarczyk. Gdyby ona wygrała — kręciłbym nosem mniej. Gdyby zajęła drugie miejsce (za Stochem), też wszystko byłoby (według mnie) w porządku. Lecz zwycięstwo plebiscytowe Kurka świadczy tylko i wyłącznie o tym, że moce umysłowe głosującego „elektoratu” są kompatybilne z masowym uwielbieniem Zenka oraz Sławomira tudzież tasiemcowych *„seriali dla babci i Lali”*.

Żeby wszystko było jasne: uwielbiam siatkówkę (grałem w szkolnej reprezentacji), każdy turniej z *„naszymi”* oglądam pełen emocji, ostatni złotomedalowy sukces w Turynie przyjąłem euforią, kocham ich jak cała *„Polska kibolska”*. Kurek to moim zdaniem wyborny siatkarz (choć jeszcze niedawno miewaliśmy lepszych reprezentacyjnych atakujących zawodników, exemplum Wlazły). Jednak plebiscytowo/rankingowo ustępuje Stochowi, bo osiągnąć sukces pomagało mu na parkiecie pięciu kolegów w każdej minucie każdego spotkania, a mistrz skoków narciarskich podczas każdego boju zmagał się z przeciwnikami samodzielnie, bez żadnej pomocy (prócz pomocy ze strony Opatrzności Bożej, czego też życzę każdemu). No i od kiedy to złoty medal mistrzostw świata (zresztą drużynowych) znaczy więcej niż indywidualny złoty medal olimpijski?! „Elektorat” **„Przeglądu Sportowego”** zakpił sobie z utartych gradacji wartości, postawił na głowie zdrową hierarchię waloryzującą sportu. Naszych siatkarzy słusznie uhonorowano tytułem Drużyny Roku 2018, i to powinno wystarczyć.

Stoch przegrał ten plebiscyt nie tylko przez słabe IQ głosujących, lecz i przez pecha, a nawet przez kulminację niekorzystnych dlań okoliczności. Po pierwsze: był wcześniej dwukrotnie polskim Sportowcem Roku, więc zapewne duża część głosujących uznała, że *„już się nachapał”*, trzeba wreszcie dać złoty laur innemu. Po drugie: sukces siatkarzy był chronologicznie świeższy (wrzesień 2018), był więc lepiej pamiętany niż Olimpiada (luty 2018) i rozmaite poprzedzające ją europejskie zawody narciarskich skoczków (Mistrzostwa Świata w Lotach — srebro Stocha; Puchar Świata — Kryształowa Kula Stocha; i inne). Po trzecie: przez cały ostatni kwartał roku 2018 media krzyczały, że Kurek to MVP Mistrzostw Świata i w ogóle najlepszy siatkarz świata według rozmaitych speców, a mało kto usłyszał wiadomość z samego końca roku 2018, że w prestiżowym międzynarodowym plebiscycie AIPS (Międzynarodowe Stowarzyszenie Prasy Sportowej), wyłaniającym najlepszego sportowca świata, Stoch znalazł się na rewelacyjnym siódmym miejscu, nieosiągalnym dla żadnego innego polskiego sportowca. I wreszcie po czwarte (najważniejsze): dokładnie w tym samym czasie, gdy u nas trwało apogeum plebiscytowego głosowania — u Niemców i u Austriaków trwał Turniej Czterech Skoczni, gdzie nie mogący odzyskać zeszłorocznej formy Stoch spisywał się kiepsko. Rzecz prosta głosujący czytelnik **„Przeglądu Sportowego”** i głosujący widz Polsatu nie powinni byli brać tego pod uwagę, plebiscyt bowiem tyczył

∞

Artur Oppman (Or–Ot): „Kiep wybierze laur...”

∞

osiągnięć całego minionego roku 2018 (czyli tego, podczas którego Stoch był w sezonie zimowym 2017/2018 *„dominatorem”* skoków), nie zaś bieżących wydarzeń, wszelako *„przekaz podprogowy”* (podświadomość) cały czas serwował głosującym informację, że *„Kamil daje ciała”* akurat, co musiało mieć na wyborcze decyzje znaczący wpływ.

Bartosz Kurek, przyjmując laur podczas uroczystej ceremonii, zachował się z klasą, oddając Stochowi należny hołd (rzekł ze sceny do mikrofonu: *„ — Kamil, jesteś bogiem, ja tu tylko na chwilę wskoczyłem”*), co pewnie złagodziło tyczące wyniku *„mieszane uczucia”* takich malkontentów jak ja i skłoniło ich do przelotnej refleksji à propos *„rządów większości”*, czy ściślej: na temat ułomności demokracji, o której niektórzy sarkają: *„Gdyby demokracja mogła przynosić sprawiedliwość, byłaby zakazana”*. Że nie jest ona perfekcyjnym systemem — wiadomo odkąd istnieje demokracja. Stąd Winston Churchill mawiał: *„ — Demokracja jest najgorszym z ustrojów”*, dodając: *„ — Ale wszystkie pozostałe są jeszcze gorsze”*. Masa głosujących ludzi raz wybiera świetnie (Reagan , Thatcher), a innym razem fatalnie (Stalin, Hitler), często promując niesprawiedliwość, choć wydaje się głosującym, że wybrali sprawiedliwość. W przypadku plebiscytów sportowych zdarza się to dużo rzadziej niż w przypadku elekcji politycznych, no i skutki są o niebo/piekło mniej uwierające, nie żerują drapieżnie na marzeniach, sumieniach, kieszeniach czy też istnieniach ludzi co błędnie głosowali.

Zatem, wbrew łacińskiej sentencji *„Vox populi — vox Dei”*, zbiorowy głos nie musi być zgodny z wyrokiem Nieba, taka już natura tłumu. W dzisiejszych czasach tam, gdzie nie chodzi o politykę, tylko o rozrywkę, o estradę, o epatowanie publiki, winien być zgodny z komercją, z wolą sponsorów, reklamodawców — z biznesem. Pod tym względem sportowiec fruwający nad siatką był tego roku bardziej atrakcyjny od sportowca fruwającego nad skocznią. Czy sugeruję coś trefnego? Ależ skąd, ani mi w głowie przywoływać Gruzina reklamującego rolę liczących głosy, wskazuję jedynie, że zbiorowa mądrość ludu jak ulał wstrzeliła się tym razem w zapotrzebowanie rynkowe, to wszystko. I wcale nie proponuję, by o tytule Sportowca Roku decydowało — miast hordy kibiców — wąskie grono czołowych ekspertów (vulgo: fachowców), autorytety bowiem (również *„autorytety moralne”*, lub może nawet te zwłaszcza) mają, prócz czasami dziwacznych gustów, rozliczne słabości (towarzyskie, układowe, branżowe, kopertowe, itp.), co mogłoby wypaczać rezultat częściej i drastyczniej.

Przegrana Kamila Stocha pokazuje jeszcze jedno: że Górale marnie się plebiscytowo zmobilizowali w tym roku. Kwestii regionalnych/lokalnych nie wolno lekceważyć. Myślę, że gdyby głosowali tylko mieszkańcy Słupska — Sportowcem Roku zostałby *„Bobby”* alias Robert Biedroń, jako superkolarz, mistrz pedałów. Kaszubi głosowaliby hurtem na *„Donka”* Tuska, czempiona *„haratania w gałę”*. A całe bydgoskie na *„Radka”* Sikorskiego, snajpera afgańskiego Talibanu (konkurencja: strzelectwo sportowe, trochę inna niż strzelectwo myśliwskie *„Bronka”* Komorowskiego, na którego zagłosowaliby wszyscy członkowie Kółek Łowieckich WSI/WSW). Że co?... Że mówię teraz o Dupkach Roku, a nie o Sportowcach Roku?... Istotnie, cosik mi się u krańca felietonu pokiełbasiło, zboczyłem z tematu, zacząłem mylić dziedziny tudzież konkurencje, taki lekki bełt myślowy, choć gdybym musiał znaleźć jakieś alibi dla tego chwilowego *„odlotu”*, to tłumaczyłbym się raptownym przypływem tzw. *„poczucia humoru”* (w ramach którego dałoby się też lansować 3 × P: Strażakiem Roku — Pawlak, Filozofem Roku — Palikot, Erudytą Roku — Petru), lub perswadowałbym, że polityka jest również sui generis grą sportową, bowiem trzeba w niej cały czas twardo walczyć, przemagać wrogów — prześcignąć, przegonić, przemielić, przewalić, przekabacić, przedryblować, przedawkować. Od treningu, do dopingu. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl d95acbd8fa

Graj, gdzie chcesz i kiedy chcesz
LOTTO JEST WSZĘDZIE

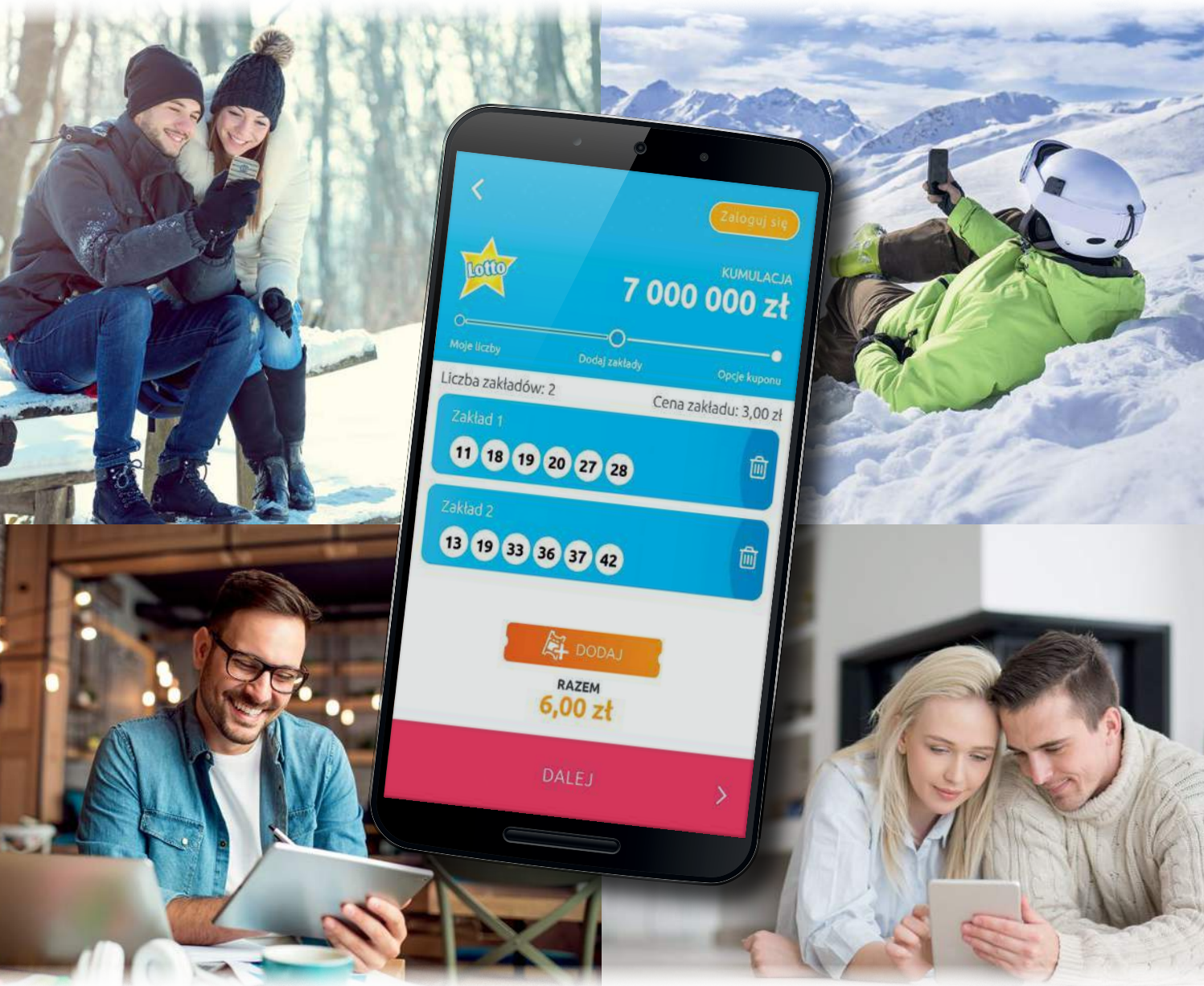

Gdy wygrasz, damy Ci znać

Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl d95acbd8fa